

## Stanisław Ligoń

### BERY I BOJKI ŚLĄSKIE

#### SPIS RZECZY:

1. Ło kunszcie łosprowianio wiców .....	2
2. O górniku słów kilka i o tym, jako jest z mężów nojlepszym .	7
3. Dioboł się łożenił .....	10
4. Krótko mówiący świadek.....	11
5. Ło Pistulce.....	13
6. Babsko kuracyjo.....	16
7. Mioł szczęście.....	20
8. Ło dobrym wychowaniu - słówek pora.....	21
9. Jak się zachować na weselu.....	24
10. Gowa.....	28
11. Cłowiek.....	30
12. Opis świni.....	30
13. Opis konia.....	31
14. Krowa.....	32
15. "Zymftowy" kot.....	33
16. Jak powstała moda?.....	34
17. Dioboł w biedaszybie.....	35
18. Z gruby, huty, werku i inkszej przejętej roboty.....	40
19. Dioboł w kopalni - Humoreska.....	43
20. Ło banie i baniorzach.....	46
21. Ło dochtorach, aptykorzach i jeich łofiarach.....	53
22. Ło sądach, sędziach i jeich kundmanach.....	59
23. Ło gonie i myśliwcach.....	64
24. Ło wojokach i kasami.....	68
25. Z małżyńskich miodów, ło dziołchach, niewiastach i teściowych .....	71
26. Nasze skrzoty i najduchy.....	80
27. Ło szkole, szkolorzach i rectorach.....	84
28. Wczasy... wczasy.....	88
29. Ło buksach, chacharach i inkszych miglancach.....	91
30. Ło dziadach i inkszych smykach.....	101
31. Bery cienkie i rube, chude, tłuste i spod frópa.....	103
32. Bieda w biedaszybie.....	126
33. W niedziela przy żeleźnioku .....	134
34. Na wycieczce w Tychach - Gustlik warzy piwo, Karlik klyci bery a Haźbietka śpiewo .....	137
35. Kiepi ten, co więcej daje, niżli może!.....	141
36. Stanik bydzie górnikiem.....	142
37. Słowniczek gwarowy.....	145

## 1. Ło kunszcie łosprowiano wiców

Ludzie prowdziwie światowi mogom się wdycki raduwać powodzyniem i wzięciem w towarzystwie - obok naturalnie inkszych jeszcze zalet - wtedy, jeśli poradom łosprowiać wice - a casym jeszcze większym, jeśli wcale nie łosprowiajom wiców...

Boć o wiela dobry taki kawalorz raduje się zasłużonym i stałym uznaniem i każdy go rod widzi, to na łopak, kiepski i usmolony łosprowiacz, kieremu się zdo, że nie ma lepszego nad niego, wzbudzo kole siebie wstręt i każdy by go nojlepiej wytrząs na pysk.

Momy śtyry sorty tak zwanych łosprowiaczy wiców, a mianowicie:

Nr 1. Łosprowiacz mo przy tym łosprowiani<sup>i</sup> zawsze gęba spokojne i poważno, za to ci, kierzy słuchajom, trzymajom się łod śmiechu za brzuchy

Nr 2. Śmieje się ten, kiery łosprowio i ci, kierzy go słuchajom

Nr 3. Łosprowiacz śmieje się jak koń, abo jak nagi w pokrzywach, zaś ci, kierzy go słuchajom, pozwieszajom smutno łeby i ani słoweckiem się nie łodezwiom

Nr 4. Słuchający chytają za stołki, flaszki, śklonki abo inksze ciężkie rzeczy i pierom z nimi łosprowiacza

Takie som okropne skutki kiepskiego i usmolonego łosprowiacza. W jakisik amerykańskiej gazycie cytołech roz tako okrutno historyjo. Otóż jakiś taki usmolony łosprowiacz ze sorty numer 4 łopedzioł kiejs za porządkiem coś łosiem takich usmolonych i głupich wiców. Ci wszyscy, kierzy go słuchali, wpadli w tako złość, że chycili pana brata za łeb, wywlykli go nadwór, łobloli petrolejem, zapolili, a potem dokoła niego tańcowali jakiś indiański taniec. Potem przywiązali do niego postronek i płowili go w rzyce, zaś jak go z tej rzyki wywlykli, to go włócyli po gościńcu. Zaś zbańturzone ze snu bez to larmo matki dźwigały kole łokien swoje dziecka i padały:

- Dziwejcie się, kochane dziatki, jaki to koniec czeko takiego, kiery łosprowio głupie i stare wice. Dowejcie pozór, coby i was kiejs coś takiego nie trefiło.

No i na łopach.

Jo znom jednego karlusa, takiego se nic nie znaczącego i skromnego, kiery tam tak dalece nic nadzwyczajnego nie poradzi (no troszycka tam poradzi babrać na płótnie abo papierze - myślą ło malowaniu, żebyście zaś niekierzy nie myśleli ło cymś inkszym) - ale za to faron wiecie poradzi łosprowiać, jak mało fto (sorta numer 1). I co z tego? Wszystkie kobietki łod szesnostego roku do lot sto przajom mu, pieszcom go i całujom, no a chłopci cęstujom go gorzołkom, piwskiem i nojfajniejszymi cygaretami (śtyry za pięć

groszy) i nie wiadomo, jakie go tam jeszcze szczęście skuli tego ceko! Jeny mu szczęście zowiścić, aże zowiścić.

Kożdy łosprowiacz musi se zmiarkować trzy rzeczy, kiere som związane z jego fajnym kunsztym, mianowicie:

1. Wic, czyli kasek musi być krótki.
2. Fajnie łopedziany.
3. Koniec zaś niełoczekiwany.

Nojważniejszym ze wszystkich jest punkt pierwszy, to jest zwięzłość. Długi wic jest jak nie przymierzając srogi komin fabryczny, na kiery się włazi na piechty. Toć widok z wierchu, jak się tam wlażło, jest bardzo piękny, ale cóż, kiej tyn, co wloz, zmęcół się przy tym farnońsko i wszystkiego mu się potem łodechce. Łościąganie wica jak guminu, łosprowianie roztomaitych drobiazgów bez znacznio psuje wice i jeno drożni tych, kierzy go cierpliwie słuchajom. Słuchający taki doprowadzony do łostateczności, kiej straci cierpliwość, może nawet popełnić mord, za kiery nie powinien być strofowany. Joch som słyszoł roz, jak jeden łosprowioł wica, a był to niby na pozór karlus ucony, ba padali, że ponoć jakiś dochtór, cy coś takiego. Łosprowioł tak:

- Łopowiem państwu fajnego wica. Ta rzec zdarzyła się w niewielkim mieście. Miasto to było, jakech im już pedzioł, niesrogie, ale bardzo ruchliwe; leżało kajś nad Przemszą, ładowali tam na szify mąka, krupy, no i drzewo z pieskiem. Ludność tego miasta to byli przeważnie handlyrze, to jest tacy, co się to zaj-muwali handlym. Skuli tego w tym miasteczku była moc szynków, w tych szynkach zaś toczyło się kupa ludzi, popijali se gorzołka, piwo, selter, limonada. Roz do jednego z tych szynków - juzech zapomnioł blank, jak się zwoł, może pod "Nogą wieprzową", cy tyż pod "Starym kokotem" dość, że przyszoł tam roz taki naprany handlyrz. Dyć znocie, moi państwo, takiego napranego handlyrza, kiery to som nigdy nie wie, cego by chcioł. Toż kiej wloz, kozoł se jeszcze dać gorzoły, potem styry porcyje wursztu ze zymftem, potem gulaszu, no i piwa, piwa przede wszystkim! Siedzi se tak, je i pije - pije i je, a nad nim wisi klotka, a w tej klotce siedzi se kanarek, prowdziwy harcer i śpiewo jak sto drewien! Ja. Handlyrz słucho, słucho i łogarnył go zachwył. Toć wiecie, że kanarki śpiewajom bardzo pięknie, lo tego tyż nazwali nawet wyspy Kanarskie jeich mianem. Przylatuje kielner, taki se zwyczajnie karlus z rubom paplą, poklabustrowanym szakiecie i cornom hadrom pod pachom i pado:

- Słuchom, pana dobrodzieja, co mogą dać?
- Wielu kosztuje ten kanarek?
- Ten? kosztuje dwiesta złotych.
- Kożcie mi go upiec na maśle!

Kielner spostrzego, że handlyrz jest bogaty i może se na tako zachcianka pozwolić. Sjon klotka z kanarkiem, a zaniós go, nie padając nic, do kuchni. Za mało chwilka przyniósł pieczonka.

- Sam, majom kanarka!

- Ja? Toż dobrze, uchlastnom mi tam za dwadzieścia groszy!

Słuchacze zaśmioli się bez grzeczność, bo se myśleli, że wic się już skończył. Ale kaj tam! Łosprowiaczowi było jeszcze żol rozstać

się ze swoim pięciomilowym wicem. Łobliznył się i zacon łosprowiać dalej:

- No cóż tak na mnie gały wytrzycosz? Łodchlastnyć mi tam z tej pieczonki za dwadzieścia groszy i fertik!

Kielner zaś skrzeczy:

- Jakoż to! Toch jo dlo nich zmarnował takiego drogiego fajnego kanarka, to przeca nie idzie!

- Panie starszy! Radzą im po dobroci, zawrzą se ten pysk i nie godajom nic. Jo chcą za dwadzieścia groszy kąszczek tego kanarka i już!

Zrobiło się larmo, łostuda i pranie. Poszli po policyjo i, zdo mi się, że spisali protokół.

Wszyscy słuchacze siedzieli, jakby im chto gęby zaklajstrowoł, a jeden z nich poszoł do przedpokoju, wyszukoł mantel łod tego łosprowiacza i wypolił w nim cygaretom srogo dziura.

Któż z was, mili moi czytelnicy, potępi go za to? Wiem, że żoden. Toż z tego widzicie, jak się nie powinno łosprowiać wiców.

- Taki wic to powinien mniej więcej wyglądać tak: Bez łotwarte dźwierze jakiegoś fajnego kafeju zagłado cyjasik głowa.

- Przebocom, cy majom napoleonki ze ślagzana?

- O, ja, proszą bardzo, wieżom sam.

Włazi terozki cało figura. Sejmuje z łeba czopka i pado głosem żałośliwym:

- Litościwi panoczkowie, dejcie kąsek kołoca z ślagzana, jużech bez trzy dni nic nie jod.

Abo:

- Panie Hosenduft! Całe miasto łosprowio, co Kugelman żyje z jeich kobieta.

Na to pado Hosenduft:

- Oj-joj! Wielgie mi szczęście! Jak byda chcioł, to tyż byda z niom żył!

Abo:

- Richard, cegoż się ty trzymosz za gęba?

- No dziwej się, Karlik, ten buks tam chcioł mię piznać w pysk.

- No, jak cię chcioł, to cię jeszce nie piznył, czamu się tedy trzymosz?

- No bo mię piznył!

- To trąbo jedna, czamu godosz, że cię chcioł?

- No, mamlasie jeden, jakby przeca nie chcioł, to by mię nie piznył!

Abo:

Na lotnisko w Poznaniu przyszło jakieś małżyństwo. Łon był handlyrzem, chcieli łoboje aeroplanym pofurgać do Gdańska, bo im strasnie było pilno. Pilot łobejrzoł se ta parka i pado, że nie może z nimi polecieć, bo pado, że takie małżyństwo nie poradzi tak długo siedzieć cicho. Zacnom się przegaduwać abo wadzić, ręcyskami na prawo i lewo ciepać, łona, to jest ta żona tego handlyrza, zacnie mnie za ręka szarpać, jo zapomnia o motorze i może z tego być wielgie nieszczęście.

- Ale my nie bydziemy się wadzić, bydziemy blank cicho siedzieć, bo my z tej sorty małżonków, co se jeszcze przajemy. Mogom, panie pilot, być spokojni.

- No to dobrze - pado pilot - zabiera wos, ale pod warunkiem, że jak się kiere z wos, aby słówkiem łodezwie, to za każde słowo zapłacicie mi sto złotych.

- Dobrze! - pado łona.

- Ty, Tomasz, czy się godzisz?

- Godzę się - pado mąż.

Siednyli do aeroplanu i polecieli. Kiej przybyli do (ułańska, wyloz pierwszy pilot i łogłodoł maszyna. Potem pado do pasażyra:

- No, panie, trzymoł się pan, ani słówkiem się nie łodezwoł?

- Ani słówkiem - pado pasażyr - ale ło mało co, to bych był przegroł.

- No, po jakiemu?

- Ano, jużech chcioł wrzasknać, jak mi kole Bydgoszczy baba wyleciała, alech se prędko pysk zatkoł tycyskiem i anich pary nie puścił.

Tak, widzicie, mniej więcej trza łosprowiać.

Gorzyj jednak, jak ktoś, co łosprowio, zacnie łopisywać miejsce, kaj się to stało, zacnie godać ło latach swoich bohaterów, abo jak łoni wygladali, wtedy, bratowie, wica diobli weznom!

Nie ma tyż nic gorszego nad łosprowiaczy łoztargnionych, abo zapomliwych...

- Łopowiem państwu wica... Było to w roku tysiąc łosiemset pięć dziewięćdziesiątym... Nie, co jo godom - w tysiąc dziewięćset... dziewięćset... Pierzyna, zaroz, w kierym to było roku...?

- Ale smolić tam na rok - wołajom słuchacze - łosprowiajom dalej...!

- Razem, razem! W mieście Jełabudzie mieszkoł jakiś Grek... nie... nie Grek, a jakiś Ormianin. Hm? Nazywoł się... jakoż się to ten pieron nazywoł... A to dopiero, blank sam se zaboczył.

- Ale smolić tam, jak się nazywoł, dalej! - skrzecom słuchacze.

- Toż ten karlus pojechał se łokrętem... nie, prze-proszom, nie łokrętem... poszoł se na piechty...

- Aeroplanem!

- Nie, wtencas jeszcze nie było aeroplanów. Naroz spotkoł jakoś staro pani... pani X. Chociaż nie... łona była bardzo jeszcze młodo, bo była w podróży poślubnej. Ale nie, mogła być młodo, bo przeca nie miała zębów! Bo wiecie... przeca cały wic polygo na tym... A może tyż nie... Aha!

Jeśli ftoś takiego łosprowiacza zatrzaśnie, to nie tylko że nie dostanie strofy, ale go jeszcze za to wynadgrodzom! No toć inaczej być nie może!

Som tyż i tacy łosprowiacze, co to zacnom w towarzystwie łosprowiać coś takiego trocha śmierdzącego, rozwlekłego' - naroz się zacerwieniom, jak kęs surowego mięsa i przerywajom.

- A co dalej?

- Prze-proszom... dalej... to trocha świńskie, joch blank zapomnioł, że sam som kobiety...

Nieszczęściem w towarzystwie som też tak zwani podpowiadacze wiców.

- Panie Karlik! Bydom tak dobrzy i łopedzom tego wica, co go to łosprowiali łońskiego tydnia... Takechmy się z niego uśmioli.

- Jakiego wica?

Nie wiedzom, ło tym małym Hanysku, co to prosił we szkole rehtora ło urlop, a kiej go się relilór spytoł, na co chce mieć urlop, pedzioł: - Mój lutu pedzieli, co u nos w doma bydzie jutro łogień, że »ic spolimy.

- No, panie Karlik, niech nam to łopedzom!

No, powiedzcie, moi mili czytelnicy, co mo wtedy zrobić taki Karlik?

Czasem można tyż łopedzieć jakiegoś starego i łoklepanego wica, ale trza się dobrze zastanowić kaj. We fajnym towarzystwie, takim, co to łazi po kafejach i wycytuje wice w rozmaitych gazetach, trza się, bratowie, mieć na baczości.

Roz przy stoliku siedziało sześć osób: trzech aktorów, dwóch redaktorów i jedyn adwokat. Usiodłech se kole nich, bo mię wołali i chcieli, co bych im łopedzioł jakie wice. Zaconech łosprowiać wszystkie znane mi anegdoty.

Zaś po każdej łopedzianej wszyjscy wyjmowali se z kabzy śnuptychle i przykłodalı końce do uszów, tak ze ich twarze były łobramuwane cymś biołem.

Jużech nie móg wytrzymać. Pytom się:

- Co to mo znaczyć?

- To? Siwo broda!

- Czamu siwo broda?

- Ano, bo wszystkie jeich wice, panie Karlik, kiere nom łopedzieli, som już takie stare, że majom siwo broda!

Toć gorszyłech się skiż tego bardzo.

Jak się łosprowio wice, to trza się jednak tyż troszka licyć ze składem słuchających.

Som wice ło dziółchach. Som i ło wydanych kobiet. Som też specjalnie męskie. Te wice z trzeciej wymienionej kategorii można też łopedzieć tej drugiej wymienionej kategorii, ale przodzi trza spenetrować, co i komu można pedzieć. Ale broń Boże łopedzieć coś takiego niewinnym uszkom dziółszek, dziepiero byś se narobił: wszystko, co im łopowiesz, to stare, wyśmiejom się z ciebie, to już downo słyszały! A jakże... Ano, takie to już mamy casy...

Postęp - padajom wszyjscy!

Byłech kiejś w jakimsik towarzystwie u znajomych. Dziółszki łobstąpiły mnie i prosiły, aby im Karlik łopedzioł jaki fajny wic, ale taki ze zymftem.

- No, jo bych woni tam, dzióbecki, pedzioł takiego wica, ale się boja, czy tam w nim nie bydzie trocha za dużo tego zymftu!

O, to nic nie szkodzi, łopedzom, łopedzom, Karliczku kochany!

Zarozki... - Muterko, idźcie se ino na chwilka do drugiej izby i zawrzyjcie za sobom dźwierze...

Ano, czy to nie postęp, powiedzcie, moi państwo?...

No, na tym kończą swoja nauka, jak łopowiadać wice. Myślą, że się niejednemu z wos, moi kochani czytelnicy, przydo... prawda?

## 2. O górniku słów kilka i o tym, jako jest z mężów nojlepszym

Humoreskę, czyli bajkę, tę poświęcam w dniu świętej barbórki, wam, górnicy kochani, wasale dostojni i mili, wiarusy dzielne, walczący o wolność tego kraju, zAWSZE w pierwszych szeregach. Od zarania mojej młodości łączy mnie z wami więcej niż przeciętny sentyment. Toć i śp. ojciec mój, ten pieśniarz waszej doli, przeszło lat trzydzieści pracował w kopalni, sławnym "Heinitzu" w Bytomiu. Nie jako bergmon co prawda, ale dostarczał wam jako maszyniok światła do podziemi i światła do waszych serc polskich.

Z rozrzewnieniem każdorazowo wspominam te czasy, kiedy jako dzieciak wyprawiany przez matkę z wieczerzą do tatulka, zastawałem w maszynhauzie gromadę was, spracowanych po szychcie, nie spieszących się do rodzin, a wsłuchanych w opowiadanie o naszych dawnych dziejach. Nic tych nabożeństw nie przerywało, chyba warkot maszyn i czasem głos umorusanego intruza, który wołał: "Świetlorz, tam przyszoli - buła zgasła". Wtedy pryskał czar.

Toteż wam, stara wiaro, którzyście jeszcze przy życiu i którzy te czasy tak niedawne, a jednak dalekie, pamiętacie, wam, którzyście tu na wolnej ziemi i wam, którzyście tam pozostali, z tego miejsca cześć i serdeczne "Szczęść Boże"! Zaś gwoli rozweselenie słuchajcie historyjki:

Chciołbyh wom - mili czytelnicy - pedzieć coś małowielu o górniku, czyli jak sam u nos pospolicie padają, o bergmanie.

Jakby mi się tak chto spytoł, kto był pierwszym górnikiem, to bym mu łodpedzioł, że wiadomość o górniku sięga furt na zadek, to jest nie ino do casów przedhistorycznych, ale i przedgeologicznych i przedpotopowych, bali, siego jeszcze bardziej nazod, to jest aż do dziejów Olimpu.

Słyszeliście przeca już coś o tym Olimpie, kaj to te roztomaite pogańskie bożki i bożkinie siedziały. Prawią wom to skiż tego, żeby niekiery nie myśłoł, że to jakoś destyla. Otóż jakiś poeta z tego Olimpu już wtedy śpiewoł:

Górnik to górnik, ten śmiałek Sam w ślady wiózł Prometeja. Tak stare mówią kroniki. Kroniki mówią tak, nie ja.

Co go ciągnęło na Olimp i jaki był magnes czaru? Jak głoszą, chciał się koniecznie Boskiego napić nektaru.

Bogowie go też wpuścili, Czego im nikt z nas nie gani i wlażł tam górnik "bibuła" o wiecznie wyschniętej krtani.

Z Apollem wypił bruderszaft, i wszystkie muzy z nim pija, A nawet, o, przeniewierstwo! Jak słyhać, jest na "ty" z Jowiszem. Szczyt oburzenia. Do takiej aż wspiał się skali, że - było do przewidzenia - Z Olimpu chłopu wyćpali...

Od tego zaczął, że Hebe Skaptował, trafił tym w sedno; Zaledwie kwatyrka wychylił, już padoł: - Dej jeszcze jedna.

Ehej! Zeus pewnego razu zakrzyknał, aż grzmiało w piekle, ten popijała wciąż trabi! Nektaru ubywa wściekle!

Kroniki stare łosprowiają, że bogowie mszcząc się za to, że tyla tego nektaru wysłepoł, stworzyli na-skwol przed potopem cało kupa "ichtiozaurów", "plezjozaurów", "iguanodonów", "pterodactylów" i

roztomaitych inkszych krokodylów i gizardów na to, żeby górnik-sztajger miał z czego zryć przy egzaminie w szkole górniczej. Przełaząc terozki z dziejów mitycznych, czyli bojk owych, wprost do stwórzynio świata, niepodobno spomnieć o tym:

Że w mgle chaosu w eterów kryształach już były dla nas rudy i metale.

Że ledwie w skórę oblekł się nasz globek, już pierwszy górnik mógł iść na zarobek.

A kiejs my już od razu wleźli do rajy, to nie ma żodnej wątpliwości, że Adam, pierwszy nasz ojciec, był górnikiem. On to, widzicie, pierwszy nosił listek figowy miast łaty. Nosił go po prowdzie na przodku, a nie, jak był powinien, na zadku, ale to już wina Ewy, kiero chciała, żeby tak było, czamu, to nie wiem, podobno tako wtedy była moda w rajy.

Noe, kiery podczas potopu jeny dlotego się nie utopił, bo wysmarował arka terem i asfaltem, świadczy, że i on był górnikiem-nafciarzem.

Przechodząc dalej ta naszo biblijka do Herodota i Nestora, to oni zawsze kajś cosik wspominają o górnikach i hutnikach.

Noj starszym dokumentem górnictwa z tych czasów to słup soli, w kiery zamieniono została żona Lota, skuli ciekawości. (Dzisiok by się to już nie przytrefiło, bo już ciekawych Lotek nie ma, prawda. Kiebych tak chcioł furt jeszcze godać o górniku i wyliczać jego wszystkie zalety i cnoty, to zaszołbych za daleko - tak daleko, żeby ich, wierzą, potym stamtąd wcale widać nie było.

Nojwiększym i nojmilszym, jak to padają, walorem naszego bergmana jest to, że górnicy wszyscy są nojlepszymi mężami! (No, czy nieprawda, kobietki, wy od górników?) Toć, bo i tu poeta prawi: Jeżeli kiedy do męża gwałtem zatęskni podwika. K'temu swój rozum wytęża, by zwabić liczkem - górnika.

Miłość ta ku górnikowi mo jednak jeszcze inksze, głębsze powody, kierych tak od razu nie dostrzeżesz.

Czy jest po prowdzie jaki poeta, kiery by poradził łopisać piękność kobiety bez skarbów, kiere górnik na świat ło tychże kobiet z wnętrza ziemi wydobywo?

Słuchajcie, jak tu śpiewo poeta:

Twe oczka z turmalinu, jak złoto - włosy płowe, twe usta są z rubinu, a zębki opalowe.

Twe biodra, jak z granitu, twa cera marmurowa, twój język z karnalitu, a srebrem twoja mowa.

I, co też prawda szczera, że każda z was dostojna, w tem srebrze nie jest sknera, aż nadto jest w nim hojna.

Twej rączki alabaster wydaje nam rozkazy, twą wolę bierzem za ster, opoko milion razy.

Na inne minerały, zapuszczam już zasłonę, bo by się pogniewały brylanty - kruszce one!

Zresztą, co tu dużo gadać! Czy nie górnik, wy piękne nasze i słodkie, dostarcza woni świecidełek i klejnotów, kiere, choćby przeca nojskromniejszo z was zawsze mo rada? Czy nie górnik, powiedzcie!

Toć i tu pieśń mówi:



Na bryłę patrz złotą: Górnika w niej trud!

A każdy z nos gotów, pierzyna, śpiewać dalej:

Czego chcesz luba? Czy bryły złota? Powiedz! Wygrzebię sam piasek z rzeki! Rozkaż, pobiegnę do Kalifornii, Chociaż kraj to jest dość daleki.

Ural, Arizona, Meksyk, Sumatra - To dla górnika bagatela: W głąb ziemi drze się po klejnot drogi, który cię zdoła i rozwesela.

A teraz jeszcze jedna dość ważna rzecz. Arystoteles, czy jakiś inkszy pieron, kiery to męczy w gimnazji naszych przyszłych sztajgrów, pedzioł: "Similis simili gaudet", to znaczy: podobne cieszy się podobnym. Łobejrzyjcie se ino górnika w paradnym jego stroju. Czy nie zmiarkujecie podobizny z kobietą? Jakła z kraglem, knefliki gryfne świecące, aksamit, kołpak, czyli czopa, podobny do gorczka, z kierym kobieta wdyczy obcuje, no i piórko, stojące na nim - a prowda jeszcze łata, czyli fartuszek, po prowdzie nie z przodku, a ze zadku, no, ale nasze dzisiejsze Ewy, w przeciwieństwie do downej, woła zaś, żeby górnik miał ten fartuszek na zadku! Czamu - to już jeich rzecz - dość, że tak jest!

Życie górnika, jak wiadomo, jest pełne grozy i niebezpieczeństwa, toteż nie ma dziwoty, że górnik, aby o tym nie myśleć, musi się od czasu do czasu narkotyzować rozmaitymi eliksyrkami ostro woniącymi. Złośliwi i brutalni ludzie padają, że se bergman załół pała! To nieprawda - a jeśli się kiejs coś takiego przytrefi, to tylko samotnemu, nigdy zaś żyniatemu.

W zaginionych kronikach kopalnianych w Wieliczce znaleziono wiersz, kiery brzmi w starej gwarze:

Idzie górnik drogom, karbidkom wywija, pewno nieżyniaty - łozar się bestyja.

To słowo pewno nieżyniaty - świadczy nojlepiej, że coś takiego się nigdy żyniatemu nie przytrefiło.

Tak było downij. Czasy się po prowdzie mało-wiela zmieniły, ale zaś nie tak bardzo! Prowda?

Ale też za to ten żyniaty górnik jaki miły, kiejs:

Dzióbeczka wartko lubej daje,

I bieży w podziemne skarbnika kraje...

Dzióbek, czyli całus, to dla górnika rozkosz nojwiększo...

Pożegnanie... Chwila rozstania... do szybu, setki metrów pod

ziemia... Czy idzie wtedy pedzieć do męża: - A nie łozryj się zaś jak bela, po szychcie. - To się pado... ale delikatnie... a

nojlepiej kożę się to pedzieć "świgermutrze"! Łona to już tam wyruchtuje tak, że zieć górnik nigdy się nie bydzie sprycoł z nią ło takie ździebko - zwyczajnie - nigdy nie wiesz, czy za chwilka nie pódziesz tamtędy. Majtniesz ręcykiem, no i "szczęść Boże, staro szolo!" To wystarczy. O tak, tak - groza jest zawsze do szczęścia potrzebno.

A one, te nasze dzióbki? Jakież łone som za to dlo górników?

Przają im, jak sto drewien i som im więcej abo mniej wierne, do grobowej deski... A jeśli kiedy przyjdzie czas, to zazwyczaj te starsze prawie nigdy się po roz drugi nie wydajom, zaś te młodsze,

jak się wydadzom, to jeny za górnika, jeśli się chto inkszy prędej nie trefi.

Ano, trudna rada!... i "Szczęść Boże!"

### **3. Diobół się łożenił!**

Zdarzyło się kiejsik, że zastrejkowoł diobół, a to na skuli tego, że mu w piekle było za gorąco. Chcioł się ździebko na ziemi ochłodzić.

Nie namysłajac się duzo, wyjechoł z czeluści na powierzchnia.

Idzie se tak idzie, aż tu naroz uwidzioł jakoś młodo i bardzo szykowno dziołszka. Przypomnioł se, jak mu to kiejs jego piekielni koledzy łosprowiali, że małżeństwo mo ponoć być niebem na ziemi... Wziena go chętka spróbować. Czamu ni!...

Nie zastanawiając się długo, podszed do napotkanego aniołeczka i prawi:

- Dobry dzień! piękny dzióbeczku. Czego to tak wcześnie szukajom po świecie?

- Szukom chopa - odpowiada, szczyrzac zęby dziołcha.

- No to się dobrze skłodo - śmieje się diobół - bo j o szukom baby... A kiejs się tak pięknie słożyło, to bychmy się można i smówili?

- Czamu ni - pado dziołcha i poczyno se tego przypadkowego konkurenta łogladać, jak to padajom, łod stóp do gowy...

- A coś ty za jeden? - zapytuje.

- O, joch jest diobół - odpowiada skromnie zapytany, a nie czekając łodpowiedzi dodaje z ostrożna: - Jeśli mię przyjmiesz za męża, spełniać ci byda wszystkie twoje życzenia, moc bowiem moja jest wielko...

Diobelskie to wyznanie spodobało się dziołszce, tym bardziej że i uroda chłopa przypadła jej do gustu. Niezadługo też a pobrali się...

Dzień przed weselem pyto diobół oblubienicę:

- Szczęście ty moje, powiedz mi, co bych móg dzisiok uczynić dlo ciebie?

- Co uczynić? Słuchej: wesele musimy wyprawić sute, takie jakiego jeszcze świat nie widzioł. Jodła i picio musi być tela, żeby wszystkie moje przijaciółki popukały ze zazdrości... Idź i przynieś wszystkiego, wina, gorzołki, likierów, roztomaitego mięsiwa, ptactwa, ryb, no i wszelakich innych maszkietów do tego...

Jak wicher wylecioł diobół na miasto i za chwila przyprycył wszystkiego, czego sobie jeno dzióbeczek jego życzył. Weselne stoły uginały się od wszelakiego jodła i trunku. Cóż. kiedy młodo pani nie bardzo była za kontent. Mięsiwo niedobrze było przyprawione, to za pieprzne, to za kwaśne... A trunki to samo: gorzoła za słabo, a wino kwaśne jak łocet... Kręciła przy tym dziobem i wszelakimi babskimi sposobami okazywała swoje niezadowolenie.

Diobół zmartwiony chcioł swoja babeczka udobruchać, toż przichlybiając się i nadskakując, pyto:

- Powiedz, dzióbeczku ty mój, czym bych mógł uradować twoje zasmucone serduszko?...

- Czym? Pójdiesz i przyniesiesz mi skarbiec złota.

Diobół rypnął do drzwi i poszoł, jakby mu chto papryki nasypoł.

Zaniedługo powrócił i przypryczył spory miech złota.

Ale i tu dzióbeczek jego okazał niewdzięczność.

- Toś mi tego ale prziniósł, aże prziniósł! Dyć tego prawie tela, jakby kot napłakoł... Kaj ta twoja moc, kieromeś się tak

przechwoloł... Zbierej się zaroz i przynieś mi poradziesiąt

pięknych szat i wszelakiego kobiecego stroju, Przeca jako twoja żona nie mogą paradować w jednej kiecce, na pośmiewisko ludziom.

I zaś poszoł diobół i zaniedługo przydźwigoł wszystko, czego sobie jeny żoneczka jego życzyła. Ale mosz dioble kropocz! - zaś źle.

Kiecczyska niemodne, tu nie podobo się kolor, sam zaś fason do luftu, przy tej za mały fason z przodku, przy drugiej za wielki na zadku, to źle, a tamto niedobre...

Diobła aże skręcało z markotności, aże schudł łod zgryzoty.

Tańcowoł jak pudel wedle aniołeczka i molestowoł, czem by jom zaś mógł udobruchać. Wreszcie popuściła i pado:

- Nie mom nic, co bych se mogła zawiesić na karku, wrazić do uszów i na palce... Przynieś mi pereł i brylantów, kiere podniosom moja uroda...Chcą mieć takie, żeby moje przyjaciółki z zowiści dostały morziska...

Diobół lotoł jak opętany i naznosił roztomaitych świecidełek, ale cóż, zaś wszystkiego było za mało i nie takie, jakie sobie ubzdała...

I tak porząd biedne dioblisko lotało, tropiło się i zносиło cuda, kiere jednak nigdy nie poradziły zadowolić diobelskiej żoneczki.

Aż wreszcie i jemu brakło cierpliwości. Kiedyś ryknął, aże zadźwięczały szyby:

- Pierona z taką babą! Dyć to gorsze jak som Lucyper! Ze skóry by można wyskoczyć przy takim jancykryście!...

A na to z czarownym uśmiechem łodpedzioł słodki dzióbeczek:

- O, tak mój luby, zrób mi ta przyjemność i wyskocz ze skóry, to musi być dziepiero zabawne... Wyskocz ze skóry, proszę, proszę!...

Diobół se tego nie dół dwa razy pedzieć. Wyskoczył ze skóry, bo już mioł dość tego nieba na ziemi. Prasknął do dźwierzy, a będąc na dworze tompnył kopytem ziemia, kiero się rozstąpiła i jak rakietka spuścił się nazod do piekła. Powrócił zaś do kotłów i prosił majstra Belzebuba, żeby go jako palacza przidzielił do łoddziału dlo kobiet...

Od tego czasu już nigdy nie zachciało mu się zakosztować tego zachwalanego "nieba na ziemi".

#### **4. Krótko mówiący świadek**

Na muzyce w karczmie przyszło o dziołcha do bijatyki. Pietrek dół w pysk Francikowi, zaś Francik piznął Pietrka w sznupacka, po czym obaj wnieśli skarga do sądu o łobraza i uszkodzenie cielesne.

Pietrek (na rozprawie) pado, że Francika ani dotknył, jeny Francik

jego maznół, zaś Francik pado, że łon broń Boże Pietrka nie rusył, a Pietrek łonemu podbiół ślypie!

Nie było rady, sędzia musioł przystąpić do przesłuchania świadków. Pierwszy świadek, podany przez Pietrka, Gustlik Drzystoń, nieco głuchy, podaje, że jest żeniaty, katolik i mo troje dzieci.

- Cworo! Łon cygani - przerwoł oskarżony Francik, sądząc, że musi wszystkiemu przeczyć, co łopowie świadek podany przez przeciwnika.

- Jakto cworo? Przeca troje: Hanys, Wiluś i Barbórka.

- A Maryjka?

- Ta już wydano, to się nie rachuje!

- Zatem ojciec czworga dzieci - dyktuje do protokołu sędzia. - Czym się trudnicie? No, jako macie profesyjo?

- Sekundant.

- Co? Co? Jaki sekundant?

- No dyć im zaś padom, sekundant, jak zwyczajnie.

- Skrzypkorz, panie sędzio, wiedzą - wtrąca Francik.

- Ni żodyn skrzypkorz, ino sekundant - broni się Drzystoń - skrzypkorz gro prym, a jo sekundo.

- No, no, więc muzykant. Ile lat macie?

- A bo jo to wiem.

- To któż ma wiedzieć? Mniej więcej: dwadzieścia, osiemdziesiąt?

- E, zarozki, zaś tam łosiemdziesiąt, bydzie można kole pięćdziesiąt.

- Nie jesteście krewni Pietrka ani Francika?

- A jezech ta przyjociel, ale daleki.

- Jakiż to? Cóż on do was za krewny?

- Matka Pietrka i łociet Francika, to se ta przychodzili jako chmotrowie, a mój ujek to, wiedzom, był szwagier łod brata kobiety Piotrkowego ojca.

- Zeznajcie szczerą prawdę, jak to było na tej muzyce, kej się Pietrek z Francikiem powadzili.

- To było tak: podchodzi ku mnie Hanys i pado: "Drzystoń, wiela to chcecie za łobegranie panny młodej i za granie na weselu?" A jo padom: "Wiela bydzie ludzi?" - Bo trza im wiedzieć, panie sędzio, że jak za tyła ludzi na weselu, totyż i tyła pólzłotków do mycki ciepia.

- Krótko, mój człowieku, powiedzcie mi o tym, jak się pobili.

- Zarozinki, panie sądco. A wtem przylatuje chmoter i pado: "Dobry dzień, chmotrze", a jo mu tyż padom: "Dobry dzień, chmotrze..."

- Gadajcie o bitce, a nie o kumotrze. To do rzeczy nie należy!

- Razym, panie sędzio. Jakech mu pedzioł dobry dzień kum...

- Krótko i wężłowato gadajcie, czyście widzieli bitkę, czy nie?

- A dyć zarozinki, panie sędzio. Wtedy chmoter pado: "Jutro Hanysowe wesele". A jo mu padom: "Atoli wiem, że jutro wesele, a Michoł z Antkiem za družbów"

- Nie Antek, jeno Richard był družbą - przerwo! Francik.

- Chmoter padali, że bydzie Antek. Jo godom po prowdzie, bo przed sądym to trza jak na spowiedzi.
- Tak jest - przerwał zniecierpliwiony sędzia. - Gadajcie więc prawdę, jak się bili.
- Zarozicki, panie sędzio. Ano, to jak my tak z chmotrem rządźili, przyszoł lgnac, tyn, co to łońskiego roku kupiół kobyła od Francika...
- Gadajcie do miliona diabłów, czyście widzieli bitkę, czy nie?
- A tociech widziół, zarozki im to łopowiem, panie sędzio. - Ten lgnac przywitoł się po katolicku z nami...
- Dajcież do kroćset spokój z tymi Francikami i Ignacami, a gadajcie o bitce. Graliście na weselu.
- Sekundowołech, panie sędzio.
- No dobrze. Któż i o co zaczął bijatykę? Czy Pietrek uderzył Francika? A Francik, czy uderzył Pietrka?
- Zarozinecki, panie sędzio. To tak było: mych-my siedzieli kole żeleźnioka, wiedzom, tak jak kiejby sam, kaj stoi Pietrek - a szynkwas był sam, kaj Francik stoi. Jak się goście poceni schodzić, pado karcmorz: "Paknijcie się na lewo..."
- To nie ma nic do sprawy! Gadajcie krótko, jak było z tą bijatyką!
- A dyć już chnet powiem, panie sędzio. Mychmy się pakli na lewo.
- Nieprowda, bo na prawo! - przerywo Francik.
- Na lewo, niech Pietrek poświadczy.
- Na prawo! - wrzeszczy Francik.
- Cicho! - krzyknał sędzia zirytowany i chwytając świadka za rękaw, krzyknał mu w ucho:
- Gadajcie, trąbo, krótko i węźłowato: kto kogo bił, a nie coście gadali i robili, to mnie nic nie obchodzi. Gadajcie w dwóch słowach, kto kogo bił, rozumiecie, krótko, krótko!
- Drzystoń namysłił się i rzekł:
- Piznoł w pysk, dostoł w pysk! Jak krótko, to krótko.

## **5.Ło Pistulce**

Kiedys dawno, jeszcze przed pierwszą wojną, ucząc się artystycznego rzemiosła, między innymi i w Berlinie, poznałem tam tak zwanego szucmana. Mieszkaliśmy razem z nim w sąsiedztwie, na piątym piętrze czynszowej kamienicy przy Oranienstrasse. Przy bliższym poznaniu okazało się, że to mój ziomek, czyli jak jeszcze padają landsman rodem ze Śląska. Odkrycie to zacieśniło sympatię, jaką ku sobie od pierwszego poznania poczuliśmy. Często, czy to spotykając się z nim na schodach, czy też odwiedzany przez niego w mojej skromnej pracowni, gawędziłem sobie wesoło o naszym Śląsku i landsmanach. Czuł się Polakiem i bardzo rod rządził śląską gwarą. Nazywał się Pikulik. Otóż pewnego razu przychodzi sasiad do mnie i wzburzony opowiada o przygodzie, jaka mu się dnia tego zdarzyła. Polecono mu odstawić do sądu jakiegoś bukslika, podejrzanego o różne sprawy natury kryminalnej. Nazywał się Pistulka.

- Kiejch go tak wiód - prawi mi Pikulik - dzierzac go za ręcyisko, naroz ten buks łobroco się do mnie i pado:

- Panie wachmajster!

- No cegóż zaś, pieronie? Cyś jest małe dziecko, ze nie poradzisz wytrzymać! Dockej, zarozicki bydziemy na gerichcie.

- Panie wachmajster, jo nie ło to, wiedzom, jo bych chcioł cosik inkszego!

- Ja, inkszego... a cegóż to?

- Ano panie wachmajster wiedzom, j o sam mom marka, chciołech se kupić żymła i kęs wusztu, bo mom, wiedzom, głód jak sto pieronów. Bydom tacy dobrzi, panie wachmajster, i dozwolom, przeca joch tyż jest człowiek!...

- Dzisz, co się to ślimokowi zaś zachciewo... Głód mo. Joch już łod dwu godzin nic nie mioł w pysku, a nic nie padom "Dinst je dinst", pieronie. Vorwärts, marsz i już!...

Ale cóż, berdyjo zaś mię zacon prosić i molestować, a robił to z takim płacliwym głosem, żech, wiedzom, zmięknół. Padom se: dyć to tyż przeca człowiek! Prawiechmy szli kole piekarza, toż padom mu:

- No toż wiązuj do sklepu i kup se, co ci potrza. Jo sam byda na ciebie cekoł... Ino uwiń się, wartko, wartko... - "Dinst je dinst", pieronie!

Poszoł. Jo cekom ćwierć godziny, cekom pół godziny, cekom trzy ćwierci godziny, a tego gizda nie ma...

- Nie ma cię... o ty diobli lumpie, już jo se po cia poda. Dockej! Wlazuja do sklepu i padom:

- Dobry dzień, panie piekorz! Kaj to jest ten chop, co se to żymły kupował sam.

- Ten chop - pado piekorz - ja no, dyć łon już dawno poszoł.

- Maryjko święto, poszoł dawno, a kaj?

- A cy jo wiem kaj... Poszoł już przed trzy ćwierci godziną, sam po zadku, bez te dźwierze!

- O ty pieroński lumpie, ty chacharze milioński, ty podciepie jancykrysta... dockej, chyca jo cię, aże chyca!

I rychtyk, cego nie robi Pon Bócek. Idą jo se po połedniu na wachsztuba, naroz dziwom się, a sam lezie Pistulka.

- Halt, Pistulka... Halt... bo strzela! Ty diobli szymo, ty cygonie zatracony... dom jo ci po zadku uciekać, aże dom! Chyciłech go za kragiel i marsz!

Idymy, idymy i kiejchmy już niedaleko wachsztuby, pado zaś ten gizd łośkliwy do mnie:

- Panie wachmajster, nie gorszom się, wiedzom, na mnie... jo już nie byda uciekoł... sprawiedliwie. Puszcjom mię do piekarza, jo bych se rod żymła kupił... tak mi się jeść chce, jak sto diobłów... Bydom tacy dobrzy, panie wachmajster, jo zarozicki wyleza. Bydom tacy dobrzy!...

No i cóż by łoni na to pedzieli, panie Karlik? Tacy, wiedzom, som ludzie.

- Do piekarza chcesz, zryć ci się zaś chce - padom do Pistulki. - Ano nie ma rady, jeść człowiek musi, toż idź, pieronie, kup se żymla, a jo sam na przodku byda czakoł... Na przodku, Pistulka, miarkujesz, cobyś mi zaś bez zadek nie myśłol uciekać!

- Ni, panie wachmajster!

Joch se jednak pomyśłol: nie ma tak dobrze, pieronie! Myślisz, żech jo taki głupi! Byda jo terazki wachował przy dźwierzach na zadku. Już jo cię dopadną. Dockej, braciszku!

Pistulka włoz do piekarza, a jo mig do dźwierz na zadku.

Cekom ćwierć godziny, cekom pół godziny, a Pis-tulki jak nie ma, tak nie ma.

- Nie wylazujesz, ślimoku?! Dobrze, już jo se po ciebie poda... nie szkodzi! Wlazują do sklepu i padom:

- Dobry dzień, panie piekorz. Dajom mi sam tego karlusa, co se to żymla u nich kupił!...

- Karlusa, co se żymla kupił?... - pado piekorz. - A dyć łon już dawno poszoł.

- Maryjko! poszoł? Kaj, kierędy poszoł?

- No dyć sam, bez te dźwierze na przodku! O już, wierzą, bez trzy ćwierci godziny jak poszoł.

Ło ty zatracono marcho, ty cyganie świński! Dockej, dopadną jo cię, aże dopadną!

Za pora dni mom jo służba na "Szpittelmarkcie". Chodzą se tam i nazod. Naroz dziwom się, a sam niedaleko stoi Pistulka i łobgryzo se, jakby nigdy nic, jakieś jabłko.

Jo po gibku ze zadku i chap go za kragiel.

- Dobre południe, Pistulka, jakoż się to majom? A może bychmy zaś poszli do piekarza po żymlę, co?

Bydziesz ty miol żymlę, pieronie, już jo ci się terazki ło lepszy kust postarom, aże postarom! Naprzód marsz! Kiej tak tego gizda wieda, zasiechmy przyśli kole tej samej piekarni. I coby łoni, panie Karlik, nie pedzieli. Ten zatracony chachor zaś zacyno skamleć:

- Panie wachmajster, jo wiem, żech jo jest taki pieron, kiery ani nie jest wert, że żyje na świecie. Przebocom mi, żech im uciek, ale to mię dioboł skusił. Jo już terazki tego bych nie zrobił. Łoni som fajny chop! Bydom tacy dobrzy i dozwołom mi se kupić plecionka u piekarza, tak mi się, wiedzom, jeść chce, że nie moga wytrzymać. Puszcom mię, panie wachmajster, przeca to łostatni roz, już jo se terazki posiedzą, aże posiedzą i nie byda już tak wartko żymlę łogładoł. Puszcom mię po żymlę, kochany panie wachmajster! Fanzolac tak, płakoł jak małe dziecko.

No toć, serce tak mi zmiękło jak śmierkiejza. Padom mu:

- Ty chacharze paskudny, zepsuty, chcesz zaś za błozna robić starego szucmana. Zaś ci się do piekorza zachciewa, marcho zatracono i do nieszczęście chcesz doprowadzić człowieka!... O, już ci się to nie udo, aże nie udo! Chcesz zryć, dowej mi sam pieniądze na ta plecionka! Już ty mi nie uciecesz ani zadkiem, ani przodkiem. Sam bydziesz stół przed dźwierzami i bydziesz cekoł, a jo som poda po plecionka! Chacharze zatracony, cygónie ty diobelski!...

No i poszoł Pikulik, ale tyż i poszoł Pistulka. Kiery zaś z tych dwóch dostał order za spryt, tego się niestety nie dowiedziałem.

## 6. Babsko kuracyjo

Z moim najlepszym przocielem Zalewają, wiecie, coroz to gorzej i choroba wie, cy nie bydzie jeszcze gorzej. Przeszło tydzień leży już borocek, stęko i kwięko, a umrzeć jakoś ani rusz. A szkoda, bo jakby się tak miał jeszcze aby jeden tydzień, to przeca lepiej by zrobiół, jakby łodrazu łodwalil. No nie?

Poszołech po dochtora, kiery prziloz i wymacoł w chorym łokrutno choroba, kiero się po łacińsku "gripa" nazywa.

Zalewają, kiej mu to dochtór pedzioł, co mo, ani się nie skrzywiół, ino się łobrócił gębą do ściany i smolół na wszystko. Toż mu też padom po dobroci:

- A cóż se ty mazoku diobli myślisz? Uwalółeś się do klapy, kożesz się pielęgnuwać, jakbyś był bergdyrektorem abo posłem. Tak przeca dalej być nie może. Abo braciszku łodwol kita, abo wstowej z bebeców i już.

Nic mi na to borok nie pedzioł, alech poznoł po jego poczciwej minie, żeby mi nojlepiej był napluł do łoców, kieby poradziół gowa dźwignąć ze zoglówka. Ale we cwortek, jakiechś się podziwoł na przociela, toch się aż złęknół.

Leżoł se boroczek żółty jak trikołowo koszula, nos mu się zrobiół śpicasty, wargi i uszy zbielały i przypominoł fajnistego nieboszcyka - kiery już bez rok leży w zimnym dole.

Padom se:

- Mój Boże! Nie mom na świecie ani łojca, ani matki, ani żodnej bogatej ciotki, a jeny tego jedynego przijociela. a ten mnie też chce łopuścić. Ni, to tak być nie może! Łon musi żyć, choćby lo mnie samego. Tożech też podszedł ku niemu, pogłoskołech go po gębie i padom:

- Hanys, ślimoku ty! Nie bydź przeca świnió-rzem i nie uciekej łode mnie. No, uśmiechnijzys się, zdechłoku. Co, nic nie padosz? Gorszysz się na mnie? Aboś, wierzą, głodny, co? Może spuścisz harynka -no fajny... zaprawiany, co? A może kęs wusztu ze zymfem. co? A gorzołki napijesz się... no toć... jeszcze by nie!

Hanys jeno gową pokiwoł, że ni i ani się słówkiem do mnie nie łodezwoł.

- O pierona - padom se - jak ty braciszku już gorzołki nie chcesz, to już z tobą forbaj!

Zacynech lotać po izbie jak głupi i rwać se z łeba szkuciny, ale mi w tym przerwoł dochtór, kiery był wloz, łobklupoł zaś chorego, podziwoł się na niego bardzo wesoło, mnie zaś pędzioł smutno:

- Źle jest z waszym przocielem, bardzo źle. Jeny jakiś cud go może wyretować z ręcyków śmierci.

Zapisoł jakieś papry i poszoł, a we mnie się zol zacón buntować. Co sam terazki robić? Kaj tu ratunku szukać?

Chyciłech recept, zawarech dźwierze i poleciołech do japytyki po lekarstwo.



Po drodze trefiłek Gracyno, naszo somsiodka, kiero mieszko na drugiej stronie.

- No jakoż tam, panie Bernat, co tam słychać z jeich przocielem Hanysem?

- O źle - padom - pani Graca. Dochtór pedzioł, iż ino jakiś cud może go wyretować!

- E, pierdoły! Co tam wiedzom dochtory, psinco! Mój stary ledwo zipoł, taki był chory, a jakech się do niego zabrała, zarozki wydobrzył. Jo tam zarozki do wos przida i łoboca, co się tam jeszce z niego do zrobić!

I przyszła, mój Boże, ale nie sama, przyszło z niom całe babskie konsilium: prziszła Kokotka i prziszła Gruchlicka.

Wszystkie baby podziwały się na Hanysa, potem se wszystkie pousiadały na boku, a jeny Gracyno siednyła se przy łóżku i zacyna chorego wypytywać:

- Gowa ich boli?

- Boli - łodpedzioł cicho Hanys.

- A w gordzielu ich boli?

- Boli.

- A pod łopatkoma żgo ich?

- Żgo.

- A jeść mogom to?

- Ni.

- A godoć poradzom?

- Ni.

- Wyplyniom no język.

Hanys pokozoł język, kiery ból blank bioły.

- To jest influrenca! - wyrokuje Gracyna - a ni żodna usmolono gripa. Muszom się, mój synecku, festelnie wypocić, a zarozicki wszystko bydzie dobrze.

Łona się cofnyła, a na jej miejsce siednyła se Kokotka i pado:

- Cy gowa ich boli?

- Boli.

- A gordziel boli?

- Boli.

- A pod łopatkoma żgo ich?

- Żgo.

- Jeść nie mogom to?

- Ni.

- A na wielki dwór mogom to?

- Ni.

- Ja, ja, to jest richtik influrenca! - pado pani Kokot i cofając się łodstąpiła miejsce Gruchlicce, kiero siednyła se przy Hanysie i pado:

- Żgo ich to, Hanysku?

- Żgo.

- A gowa boli?

- Boli.

- A w gordzielu boli?

- Boli.

- A morziska nie majom?

- Ni.

- A jeść mogom to?

- Ni.

- Ja, ja, sprawiedliwie, to zicher jest influrencyjo! Nie ma co wiela godać, ino fest trza dać na poty i fertig.

Poszmerały cosik między sobom, zawinyły rękowy i nuż się bierom do roboty. Gracyno łospoliła w Żeleźnioku.

Kokotka prziniosła blank nowo cegła, a Gruchlicko bez ten cos łoglądała jakoś bardzo genau Hanysowe strzewiki, kiere stoły kole łózka,

- A co pani Gruchlik myślom, bydzie to co z Hanysa?

- No toć, że bydzie! Jak my się we trzi do niego zabieremy, to mu tam umrzeć nie domy, aże ni!

- Oj, pani Gruchlik, niechżys im to Pon Bócek wynagrodzi, tak mi jest, jakby mi kamień sjeni ze serca. Nie wiem doprawdy, jak im mom dziękować.

- No dobrze, dobrze! Nie majom tam co dziękować - pado mi baba do ucha. - Ale jakby tak, nie dej Boże, jeich kamrat umar, to niech nie zapomniom, a dajom mi jego strzewiki. Wzienabych je do mojego starego, bo łon borok już bez zolów łazi.

Jak mi to baba pedziała, toch jom chcioł ślypiami przebodnać, ale łona tego nie widziała, bo łoglądała galoty chorego, kiere wisiały na łózku.

Terozki wlazła do izby cworta baba, Pytlicka. Przilazła ku choremu, podziwała się i naroz załomała ręcyska:

- Maryjko święto! Co się to może bez tydzień z cłowieka zrobić! Dziepiero na święta był taki wesoły i zdrowy, a teraz leży jakby na marach. Oho! borocku, nie bydzie z ciebie nic, aże nie bydzie!

- Widzieliście grundeloka! - krzyknyła Gracyno. - Při konającym godo ło takich rzeczach. A dyć żeby ci pysk spuch od ucha do ucha, łoszkubku jedyn!

Chciała łodsztuchnyć babsko łod łózka, ale ta ani myślała łodejść. Schyliła się nad chorym i pyto:

- Cy boli ich gowa?

Chory wytrzyscół łocy szyroko i ryknał z cołkiej siły:

- Łeb mię boli, gordziel mię boli, żgo mię, jeść nie mogą, morziska ni mom, i nie pytej mię, carownico, ło nic, bo jak ci zdiela, to cię wszyscy diobli weznom!

Stęknół, łobrócił się do ściany, a Pytlicka wściekło, splunęła na ziemia.

- A dyć umierej se som... ślimoku jeden! To cłowiek się lituje nad nim, chce mu pomóc, a taki podciep sprzezywo cię i łodsyło cię do diobłów.

I strzeliła dźwierzami.

Po odejściu Pytlicki zacyna się babsko kuracyjo... Przodzi Gracyno do kupy z Kokotkom łowinyły Hanysowi brzuch zimnym umszlagiem, czyli kompresem, łowinyły mu też gowa jakomsik hadrom, a dziepiero potem wraziła mu Gruchlicka górkco cegła, łowinięto mokrom szmatom, pod nogi. Chory wrzasknył przeraźliwie i chcioł się wydostać z ręcysków tych trzech bob, ale nie stykło mu siły.

- Parzy ich? - pyto się Gracyno.

- Oj, parzy! parzy! - jęcoł chory. - Weźcie ta cegła, bo umrza! Jęcoł tak żałośliwie, że mi się aż coś robiło. Doscocyłech do łóżka i chciołech wytrząść to ceglisko, aleć babska na mnie łozdarły gęby.

- Cisnomżys, mazoku diosecki, bo mogom co łoberwać. Dzisz go, rajca miłosierny! Trzimo boroka chorego już bez cołki tydzień i dowo mu się męcyć! My tam wiemy, co robić. Cofnąć się, bo byście mogli co nachytać. Cóż było robić, cofnyłech się, boch se padół, a może mu prawie baby pomogom. Za chwilecka dziwom się na chorego boroka i widza, że blado jego skóra robi się cerwiono, a na czoło wyłażom srogie kropie potu.

- Zarozki mu bydzie lepiej! - pado Gracyno.

- O, dziwejcie się, jak się to nieborocek już fajnie spociół - pado Kokotka.

- Jeszce tak ze świerć godziny musi wytrzymać

- pado Gruchlicka - a dziepiero potem łobocymy, co bydzie dalej. Ale tej świerć godziny borok Hanys nie wytrziomół. Zbladnoł zaś, a gowa zwisnyła mu bez cucio ku ziemi.

- Zemdłoł - pado Gracyna.

- Ja, ja, richtig zemdłoł - potwierdziła Kokotka.

- Gruchlicko, moiściewy, przinieście ino wasze srogie koryto łod pranio!

Poleciała wartko Gruchlicka i przyprycyła srogachne koryto i cekąła, co ji dalej łozkażom. Chory Hanysek leżoł zemdlony i chociaż go babska szarpały i sam i tam, i z niem roztomaicie wyrobiały, na koniec gichnyły na niego cołki kibel wody, jakoś nie przichodził do siebie. Gracyno jednak miała gowa na karku, wartko łozpostarła deka na dylinach i do kupy z Gruchlickom położyły zemdlonego na nią. Potem przewróciły na niego koryto, zaś Kokotka prziniosła jakiś srogachny tuczek (kierym się tucze lo świń kartofle) i nuże tym tuczkiem prać we koryto. Zdowało się, że chtoś z kanony strzyło - takie wom to zrobiło larmo.

Ale pomogło - bo naroz łodezwały się spod koryta jęki. Wtedy wom babska wyciągnęły chorego spod koryta, położyły go zaś na łóżku i przykryły go wszystkim, co ino było w izbie.

- Bydzie żył! - zawołała Gracyna. - Terozki, jak się jeszcze roz spoci, to zarozicki choróbsko popuści!

Pousiadały se te miliońskie dochtórki przy łóżku, a joch stoł bezradny i czekołech, kiej się to ta babsko kuracyjo skońcy.

- Bernat! - zawołał naroz chory. - Dej mi ździebko wody!

- Razym, Hanysku, razym!

Ale zanimech polecioł z gorckiem nabrać stągwi wody a sam już Gracyno przitknęła mu do gęby sklonka z wodą, kierom chory pragliwie wysłepoł. Kiej wypił wszystko do dna i się małowiel pokrzepioł, naroz Gracyno wrzasknyła przeraźliwie.

- Maryjko święto!

- Co się stało? - padom.

- A bestyjo! - wrzasknyła Gracyna. - Ten jancykryst! Aby cię, ślimoku, porwało! A dyć mnie ta marcha uzarła w palec!

- Niech się gisz diobli som kuruje, jak je taki fałszywy! -  
chyciła za chustka i ino roz praskła dźwierzami.

Kokotka i Gruchlicka łostały i zdowało się, że som rade, że se Gracyno poszła. Ale radość ich nie trwała długo, bo kiej Kokotka chciała pomacać chorego Hanysa po piętach - ten dźwignął łobie nogi i świtnył dochtórka, że łodleciała aże pod ściana.

- Ażeby cię pokręciło, ślimoku! - wrzasknyła i tyż uciekła. Łostała jeno Gruchlicka, kiero widać musiała mic\ cystę sumienie, bo nie uciekła, jeny porządliwie przigłądała się na strzewiki Hanysa.

Zol ji było Hanysa, ale jeszcze więcej zol ji było jego strzewików. Czekala jeszcze coś ze dwie godziny, ale kiej widziała, że chory nie umieru, pożegnała go serdecznie.

- No, z pon Boćkiem, Hanysku - pado. - Chowiom się dobrze. Potem się łobróciła ku mnie:

- Słuchajom, Bernatku, jakby se to chory jeszcze łozwożył i umar, to łostawiom mi te jego strzewiki lo mojego starego.

Hanys się jednak, po tak fardońskiej babskiej kuracyji, namysłił inaczej i wyzdrowioł, z cego się jo - a myśla, że i wy moi kochani czytelnicy - radujecie.

## **7. Mioł szczęści**

Roz wybrol się też stary Niedoba na pogrzyb swojigo sómsioda. Niż jeszcze z domu wyszeł, prawi mu jego staro tak:

- Jura, a dej se pozór, abys dzisio wczas do domu prziszeł, nie zaś tak jak zaobycz o drugi w nocy. Pamiętaj, że mosz pojczany czorny ancug, abys go w gospodzie nie obloł jakom gorzołkom. Ja, a coch ci to jeszcze chciała...Aha! Dzisio bedem schody sztrajchować, tak dej pozór, abys mi ich nie zaszmatloł. Przed dziesiątom musisz już być doma, bo o dziesiątej se chytom roboty. Słyszysz?

- Ale słyszym, dyć słyszym. Nic się nie bój, Jo-hanko, jo przidem dzisio wczas do domu. Uwidzisz!

Jednak chłop, jako chłop. Mioł, prowda, nojlepsze chęci, ale kej go kamraci zadzierzyli w gospodzie i tak zabałamać aż do drugi w nocy. Przychodzi do domu, wlezie do sini i czuje farbę i spómniol se, że jego miała dzisio ty schody sztrajchować. Aby ich nie zababrać, okroczył poręcz i wio na wirch, Już był przy samym wirchu, a tu bęc, loska mu spadła. Wio zaś na dół po niom i drugi roz się winduje na poręczy na wirch. Zaś był przy samym wirchu, sturził se do czopki i czopka spadła na dół. Wól nie wól musioł się zaś tom samom cestom po czopke wrócić, bo mogby mu jom kto ukraść. I szup na dół. Podniósł czopke, okroczył poręcz i zaś się winduje po poręczy na wirch. Procnie mu to szło, pot się mu z czoła loł, tak przy wirchu spocznól se trochę, wyciągnól śnup ty chla z kapsy, aby se utrzić, a tu bęc, klucz mu z śnuptychlom wypod. Mosz dioble kropocz! Musioł się zaś nazod spuszczać, naszeł klucz i zaś wio na wirch. Przeca się szczęśliwie dostol na pirszy sztok, otworzył po cichu dźwirze, wloz do izby, światła nie rożygoł, bo nie chcioł, aby się baba obudziła, bo by zaś była

językowo polywka, że zamiast o dziesiątej, o drugi wrócił. Ale baba się zaraz obudziła i prawi se:

- No, pięknieś to prziszczęł. Myślisz, że nie wim, że som już dwie? Dyć teraziunko wybił zygor. No, ale mosz szczęście, żech dzisio tych schodów nie sztrajchowała, ino... samom poręcz.

### **8. Ło dobrym wychowaniu - słówek pora**

Wiadomo, jak łokrutnie ciężko przychodzi zachować się w fajnym towarzystwie, przy fajnym stole, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, nie narazić się na pośmiewisko i miano festelnego sorónia. A żeby tego uniknąć i zdobyć sobie podziw i uznanie fajnego i dobrze wychowanego, trzymać się trza następującej recepty:

Jak wstaniesz z łóżka, zarozki się umyj i to możliwie z mydłem, wszystko jedno jakim, ale mydłem. Są tacy, kierzi twierdzom, że mydło psuje skórę i wolom się posikac jakoms tam woniącom wodą. Ci robiom stanowco źle. Bowiem takiego zarozki w towarzystwie pocujom, a myśleć bydom ludzie, że jest pomiędzy nimi kozioł, abo inksze woniące stworzonko. Nie zapomnij nigdy umyć se karku i uszów. Pazurów nie łobgryzej, bo mosz do tego nożycki. Żałoby za pazurami nigdy nie noś, bo to niehigienicznie i pobudzo do drwin. Buty se koż łopucować, abo se som łopucuj, bo to toniej.

Łoblecynie se tyż szczotkom wycyść - bo-wiern chcąc być fajnym, nie śmiesz mieć na nim fleków i klabustrów z gulaszu, moczki abo likieru. Koszula zawsze miej cysto, zaś jak łoblecesz corny szakiet, to nie bier buntej koszule, ale lepiej bioły cysty "przodek". Ino dej pozór, żebyś go se dobrze przypion, aby ci potym z lewej abo prawej strony nie wylaziła trykotowo koszula, co nie jest fajne.

Kraglik se przedtem mokrom szmatkom umyj, żeby zawsze wyglądał bioły i cysty jak śnieg.

Nie zapomnij też o śnuptychli, bowiem siąkanie nosa w pazury nie może być przyjęte w żodnym fajnym towarzystwie.

Jeśli cię kiedy zaproszom na śniodanie, łobiod, abo wiecerzo do jakiegoś porządneho domu (co si terozki bardzo często zdorzo, jako że staropolsko cnota gościnności bierze wszędzie góra!), to zmiarkuj se następujące reguły:

Nim wleziesz do fajnej izby, przekonej się, jakie mosz strzewiki i cyś przypadkiem na drodze nie wloz do cegoś, cym byś zbabroł tepichy. Gdybyś bowiem o tym zapomniół, jestem przekonany, żeby cię do tego domu więcej nie zaprosili, co by było bolesne i nieprzyjemne, zwłoszcza jeśli w tym domu dobrze dajom pojeść i popić.

Jeżeliś się więc przekonoł, żeś w porządku i łobejrzoł się od stóp do głowy, to możesz zwonić, ale po lekutku, żeby zaś nie padali, że się już żarcio nie możesz doczekać.

Jak ci służąco łotworzy dźwierze, wleż i pozdrów pięknie. Służącej się nie dotykej (chyba, że młodo i gryfno, no i żoden tygo nie widzi). W przedpokoju se blyc se łachy, ale ino wierzchnie, to jest płaszcz. W pokoju zastaniesz już gości, kierzy siedzom i jedno ło

tym jednym myślą: kiedy to już dadzą pożryć! Głośno tego jednak żoden nie pado i ty tego nie rób.

Po jakimś czasie możesz se tak szpasobliwie pedzieć, żeś nie prziszło lo przyjemności, a ino dło jedzenio. Tego ci widzisz za złe nie weznom, a pedzom, żeś dowcipny i mosz humor! Jakeś srogi, ciężki i szeroki w zadku, nie siadej, bo może się zdarzyć, że złomiesz stołek abo zofa (kanapa). Toć pani domu w takich wypadkach zwykle pado: "A to nic nie szkodzi!", ale po cichu se pado: "Żebyś puk jak krupniok!" Jo wiem, że tak jest, bo mi się to już zdarzyło. Nojlepiej łoprzyj się szykownie ło ściana (choćaż w nowym budynku tyż tego nie rób, bo ściana mogłaby się zawalić). We fajnych towarzystwach przy stole posadzom cię wdycki kole jakiejś kobietki abo frelki. Pamiętaj, że to dla ciebie świętość! Obowiązkiem twoim jest bawić jom i nie myśleć jeno ło tym, żeby twój talerz zawsze był kupowaty. Nie, musisz też troszka myśleć ło niej!

Jak jej bydziesz łosprowioł wice i kawały, kiereś słyszol i se zmiarkowol łod Karlika z Kocyndra, to z nośmieszniejszym końcem cekej, aż łyknie ta, co wraziła do gęby, inacej mogłaby się udłowić. a taki wypodek udłowienio przy stole wdycki jest nieprzyjemny i nieprzystojny, bo psuje humor i apetyt.

Jeśli somsiodka twoja jest młodo i gryfno, to się bardzo zaleco trzymać ręcyśka zawsze na stole, a to skiż tego, żeby się nie narazić na klachy i łobmowy.

Pamiętej: swoich łobgryzionych kości somsiadce na talerz nie kładź, z tym że na twoim już nie mosz placu.

Jeśli na półmisku jeszce jest jaki kasek, to podej go swojej damie, po cichu pomyśl, żeby nie wziena....

Toć możesz to tak urządzić, żeby się troszka namyślała, cy go wziąć, cy nie. Wtedy padej: - O, a więc dostolech kosza, to jo się byda musioł nad tym kąskiem zlitować - i wartko z nim do gęby.

Jeśli zrobisz to gryfnie i szykownie, to możesz być pewien, że ci się to zawsze udo. Bydziesz mioł sława, że mosz łogłada, a twój żoładek tyż się bydzie radowol. Naturalnie musisz się w tym ćwicyć. Toć zarozki nie możesz wszystko dobrze robić.

Na ten przykład nie śmiesz nigdy cukru chytać palcyskami i ciepąć go do kawy. W każdym fajnym domu leżom na stole kiele cukierniczki klyszce do cukru. Bieresz se więc paluchami kasek cukru, wtykosz go do tych klyszcy, a potem wciepujesz do szolki z kawą, abo tejem.

Jednym słowem: co się tycy jedzynio, dowej wdycki pozór.

Somsiodowi michy nigdy z ręcyśka nie wydzierej i nie skrzec bez stół. - Mię! Mię sam dejcie przoda! - Dyć prawda, jest to bardzo nieprzyjemnie i markotnie dziwać się przy podowaniu jodła, jak ci inksi nojwiększe i nojsmaczniejsze kąski zabierajom, a tobie się ino tako bździnka łostanie. Toć pieronić nie śmiesz, a jako cłowiek dobrze wychowany, cierpliwie musisz cekać swojej kolejki. Bo tu widzisz jest granica, kaj się cłowiek łod zwierzęcio tak zasadniczo różni.

Bakan porwoł Aminowi fajny kasek i zezar, Amin zaś warczy, bo się na Bąkana gorszy.

Zwierzęta nie znaj om etykiety i nie poradzom się maskować, bez co som takie miłe i kochane stworzonka.

Jeśli kiedy podadzom jakoś potrawa, przy kierej nie wiesz, jak jom jeść, to łozprawiej swojej somsiodce coś wesołego i dowej pozór, jak to inksi robiom.

Toć może się zdarzyć, że w bardzo fajnym towarzystwie wszyjscy inksi to samo robiom i jeden dowo pozór na drugiego, bez co żoden nie je. Ale takie wypadki som rzodkie.

Jak coś takiego zajdzie, wtedy nojlepiej zabier się do jedzenie i jedz, jak ci się podobo. Wszyjscy cię bydom naśladowali i podziwiali, jakiś ty fajny i dobrze wychowany!

Terozki musimy się jeszcze zastanowić nad użyciem narzędzi do jodła jak: łyżki, widołki i noża. Widołkom nigdy nie śmiesz przy stole dłuwać se w zębach, a jeszcze mniej dropać się z nią po łbie. Jest to niezdrowe i niebezpieczne, bo możesz się skalycyć. (Do tych czynności weź nojlepiej łyżka).

Na fajnym stole znajdują się wdycy wykałaczkki. Otóż z tymi wykałaczkami nie kop se nigdy w uszach, a to skiż tego, że mógłbyś se skalycyć bębenki.

Noża nigdy nie bier do gęby, zwłozzca jak ostry, a to skiż tego... zresztą skiż czego to wszystko jedno, ło padom nie brać do gęby i już.

Jeśli pani domu, to jest gospodyni, przypadkiem pado: - A dyc weznom se jeszcze kasek - to nigdy nie padej:

- O, dziękują im pięknie, tylach tego świństwa zjod, że mi aż niedobrze!

- Nie, tego nie rób! Skromnie podziękuj i powiedz, że zwykle mało łodosz. Można ci uwierzom!

Ale widzisz, byłbych zapomnioł: serwetki se nigdy nie wiąż naokoło karku. To nie jest fajnie. Jeśli zaś to zrobisz, to na wesoło, powiesz, że boisz się pokidać. Wszyjscy się bydom śmiec i padać, żeś oryginalny - a ty bydziesz z tej mądrosći mioł ta korzyść, że się doprowdy nie pokidosz.

No i bracie jeszcze jedno: przy jodle nie mlaskej! Nie mlaskej, by nie pedzieli, że skonczysz w szlachthauzie!

To tak, zdo się byłoby wszystko, na co trza zwożać przy stole i jodle. Toć gdyby jodło było takie fajne, żeby go nawet psy nie chciały, nigdy tego głośno nie padej. Przezywać możesz nieskorzej w doma, nikomu to nie zaszkodzi, a nojmyniej tobie.

Nojlepiej powiedz, że ci dochtór zapisoł dyjeta. Wszyjscy inksi goście cię bydom rozumiec i zazdrościć ci bydom rozumu.

Po skończonym łobiedzie, pani domu, cyli gospodyni, wstaje łod stołu. Znacy to, że ci już więcej nic nie dajom, żeś się już dość naćkoł, że się przyjemność skończyła i że terozki powinienes se poszukać inkszej malutkiej izbetki, kaj odsiedzieć musisz to, coś przedtem zjod.

Przedtem jednak dziękujesz swojej damie, to jest somsiadce łod stołu, za towarzystwo, zawiedziesz jom do kanapy i łoddosz jakiemuś inkszemu mamlasowi pod łopieke. Obowiazek kawalera z wychowaniem spełniłeś.

Terozki starej się, abyś dostał cygara abo cygareta. Bier ino jedna, nigdy więcej. Opychanie sobie tym towarem kabzów jest nieprzystojne i świadczy ło złem wychowaniu.

Terozki przy cygarze i cornej kawie, możesz dziepiero twoje mądrości wypakować i pokazać, że mosz ogłada.

Nie używej jednak łobcych wyrazów, kierych znacenio nie rozumiesz. Mogłoby ci się bowiem zdarzyć tak, jak pewnej freli, kieroch znoł. Otóż frela ta rada posługiwała się łobcymi wyrazami, kiere specjalnie zbierała i ich się ucyła na pamięć, popisując się potem nimi w towarzystwie. Razu pewnego przeziębiła się i dostała kaszlu. Pyto się więc jakiegoś znajomego studenta medyka, jak się po łacinie zwie kaszel. Student, znając manię tej frelki, chcioł się z niej zakpić i łodpowiado, iż kaszel nazywoł sie po łacinie "juvenis". (Juvenis jednak znaczy - młodzieniec).

Otóż tego samego dnia frela ta zaproszona została na jakiś tam łobiod. Siedzi se więc kole swego somsiada i porządnie pokaszluje. Somsiod pyto ją po pewnej hwili:

- O, pani tako zaziębiono?

- Tak - łodpowiado frela - bardzo jestem zaziębiona. Niech pan pomyśli, cała noc tak mnie dusił liwenis, że oka zmrużyć nie mogłam!

Toż pozór! - Nie popisywać się mądrościom i znajomościom łobcych wyrazów, ino godać tak, jak cię matka i szkoła polska nauczyła.

Nojlepiej na tym wyjdiesz i nie zblamirujesz się.

Terozki, kiejd nadejdzie chwila pożegnania, podejdz nojprzód do pani domu, podziękuj pięknie za łobiod i powiedz, że margaryny ani łoju w jodle nic a nic nie było cuć; że jodła było mało, bo żoden z gości nie mioł łodwagi nabrać se jeszcze więcej. Nigdy nie padej, iż jodło było dobre i smacne i że go było za wiela, bo by se myśleli, że ich sztychosz.

Nie padej tyż, że jodło było nad stan i że w zupie musieli wywarzyć grzebień. Som to tak stare bery, że za nie już podczas uczty w Kanie Galilejskiej jakiś soroń łoberwoł po pysku.

Jakeś się już bracie pożegnoł z gospodorzami, idź se terozki do przedpokoju, kaj ci dziołcha do twój mantel. Tu już jest dozwolone połechtać jom, to jest, jeśli ta dziołszka jest gryfno i nie mo osiemdziesiąt lot.

Z piwnem, czyli tryngieltem, trza się tak urządzić, żeby dać coś do kupy z inkszymi, a to skiż tego, żeby dziołcha nie zmiarkowała, wiela łod ciebie dostała.

## **9. Jak się zachować na weselu**

Różnica między weselem a pogrzebem jest tako, że na pogrzebie płacze się zarozki, a na weselu dziepiero za rok. Toć nieroz ślimtro się już i nazajutrz.

W świecie całym łobchodzm wesoło i uroczyście jedno wesele.

Rozvodu nie łobchodzm wcale, co jest nie rychtyk, skuli tego że przy rozwodzie przecs jest więcej powodu do radości.



Rady, jakie wam udziela i wskazówki, jak się zachować na weselu, bardzo się wam mogom przydać, i nojbardziej tym, kierzy pod tym względem nie bilduwani, mogliby beczeć i lamentować na weselu, i lańcować na pogrzebie.

Sytuacyjo narzeczonego jest na weselu nieroz gorszo i więcej sprawio kłopotu, niż zaproszonemu gościowi. Zwyczajnie, taki gość może nie przyjść na wesele, gorzej zaś jakby nie przyszoł taki młody pon, bo wtedy radość zamieniółaby się w smutek.

Znołech jednego takiego młodego pana, kiery przed samym ślubem pedzioł do swojej łoblubienicy:

- Musza jeszce na godzinka iść furt. Jakbych przyszoł do kościoła za nieskoro, to zacznijcie beze mnie!

Całe szczęście, że takich mamlasów nie ma dużo, prawda?

- No, ale pódźmy do naszych baranów - jak padajom mądry. Wróćmy do pana młodego.

Otóż tak nazwany, idąc do ślubu, wdycki w głupim jest położeniu. Wyłobraźcie se takiego boroka, ło bladej papli i zmienionej blank fasadzie, dygotającego i ogłupionego, zawartego we frak i cylinder, łowiniętego w bioło westa i w ciasne lakszuły, słuchającego >'łupich życzeń i błozeństw swoich przyj ocieli i kamidtów, uwog i napomnień przyszłej swojej świgermuty, a co nojgorsze, skozanego na bezsłowno i łosłupiało ciekawość całej kupy roztomaitych frelek, kucharek i praczek, stojących łod ślubnych styrech godzin w kościele, coby ja łobejrzyć państwa młodych.

Jeden fajny i bardzo mądry karlus (żyniaty szczęśliwie) padół mi roz, że nojcięższo chwila w jego życiu to nie to, że się żyniół, ale to łoglądanie go bez paro naście carownic i drugie tyła klachoców w galotach i słuchanie roztomaitych ło niem i jego łoblubienicy głupich uwog.

- Boroczek - pado jakoś starszo i spaśno baba - Taki śpik, a już się musi żynić! Dziwajom się jeno pani Pytel, jak mu się to broda trzęsie!

- A cóż se to myślom! Padała mi Młyńcycka, że ta młodo pani to żyniato baba. Chłop ich kajś dopod łoboich i pedzioł, że ich postrzyło, jak się nie pobierom. Mądry gizd, widzom, wartko się pozbył baby.

- Jej, jeje, co też padaj om, pani Pytel. Taki szumny synek!

- Dzisz jom, staro murchła, szumny, jeden nochol mo... i szumny!

- Świński młody pon! - zawołał jakiś szofer, sztuchając jakoś frelka między żebra, co jej się tak spodobało, że porozumienie było na migu.

Ja, ja, moi złoci, nic nie ujdzie tak łakomej na widowisko publiczności. Wszystko bezkurcyje dojrzą i wyśmieją.

- Młodo pani - dziwej się, jakie mo cerwone łocy.

- Głupiś trąba, nie łocy mo cerwone, ale kichol.

- Jerum, dziwej się, Hejdla, jak se to pysk łopudrowała, a ten dziób jaki cerwony, aże farba z niego kapie

- Richard łobejrzyj, młody pon mo krzywe kromfleki, a to ci sztajfira!

- No i tak dalej, i tym podobne epitety i uwagi, dopóki młodzi nie wleżą do karyty albo auta i uciekną, aż się kurzyć będzie.

- Zajmijmy się teraz gościem weselnym.

Łód takiego gościa wymogo się nie jeno dobrego żoładka, ale nadto pewnej wesołości, czyli jak to padajom, radości życia, no i żeby poradził na uczcie weselnej tyż cosik pięknego pedzieć. Gość taki musi tak samo być fajnie łoblecony, a więc we fraku, w białej weście i rękawiczkach, a wdycki wesoły, wszystko jedno i choćby nawet przyszoł z pogrzebu swego najlepszego przyjociela. W ręce musi trzymać bukiet białych różów, skąd go wzion, to już tam nikomu do tego, a choćby nawet potajemnie z wieńca pochowanego przed chwilą nieboszczyka. Dość, że go mo!

Gość ten w stosownej chwili podejdzie wartko do "młodej pani", do jej ten bukiet i powie, mniej więcej tako krótko egzorta:

- Łaskawo pani, niech te białe, niewinne kwiatki bydom zadatkem waszego szczęście i symbolem jeich cnoty i niewinności.

Te słowa idzie pedzieć każdej, nawet takiej, kiero mo już szcworo dziecek... Jeno żebyś się nie łopowoczył żadać nazod tego bukietu, nawet wtedy nie, jakby ci somsiedzi przy łobiedzie zebrali sprzed nosa wszystkie większe i smakowitsze kąski... Nie, tego się nie robi!...

Godom to skiż tego, bo w dzisiejszych czasach może się trefić taki, kiery niezadowolony z jedzenie i picio, podejdzie do "młodej pani" i powie do niej po cichu:

- Co, to mo być uczta weselno, takie żarcie i do tego tak mało? Abo takie wino? Przeca to łocet, a nie żodne wino! Daj om mi nazod ten bukiet, com im go dół, kosztował mnie sześć złotych. Za dwa dni idą jeszcze na jedno wesele, to mi się przydo. Wraża kwiatki do wody i uszporuja se bez to pora złotych.

No, moi złoci, i jakoż by wom się taki gość podobał? Powiedzcie sami! A może się wydarzyć taki, bo dzisiok wszystko możliwe.

Toasty, czyli tak zwane przemówienia przy stole bankietowym, to rzecz bardzo delikatne... Trza godać tak, żeby się żoden nie łobraził, a przeciwnie, żeby wszyscy byli z mowy zakontent.

Pamiętom takiego, co to swojom głupiom godkom zgorszył wszystkich na weselu (a był to nawet kandydat na posła), kiery przeca powinien był wiedzieć, co idzie pedzieć, a co nie...

Mowa jego wyglądała mniej więcej tak:

- Toż moi goście weselni, zgromadzeni sam przy tym stole, dozwólcie, żebych i jo mógł coś pedzieć i powinszować nowożeńcom... Mógłbych życzyć młodemu panu długich lat szczęścia, żeby nie to, że się boja... bo to, wiedzom, miglanc był, no i przed ślubem, jak się to pado, nie z jednego pieca... O, kolego, mój kochany, terazki, jak się ustatkujesz, pomyśl rzetelnie ło dochtorze i ło swym zdrowiu...

- A ty, nadobno panno młodo, chciołbych ci życzyć zarozki w pierwszym roku gryfnego syneczka, no, ale przeca już mosz dwóch, więc zaś z tego nic... Winszują tyż rodzicom łód panny młodej, a jest im co powinszować... Pozbyć się takiego ciężaru, to w dzisiejszych czasach nie takie proste!... Toć prawda, ta chałupka, kieroście jej dali na wiano, piękno jest, ino niewielka wert, bo mo

grzyba i fundamenta już prawie zgnite, ale myślą, że to nie jest tak źle, skuli tego że pon młody chałupka ta i tak za niedługo przesłepie... Chciałbych też powinszować matce łod pana młodego. Myślą, że jeich syn nie bydzie się ze swojom kobietom łobchodził tak, jak jego łojciec, kiery na łebie swojej małżonki trzaskoł wszystko, co było ze szkła i porcelany, i w ten sposób niszczył gospodarstwo domowe.

- Winszują tyż łobóm ciotkom łod panny młodej, kiere se, aby roz festelnie pojedzom, no i do dom se jeszcze coś małowiela zabierom...Chociaż musza tym paniom zwrócić uwoga, że te dwie łyżki, kiere przed chwilkom wraziły do tasi, nie som strzybne, a ino aluminiowe... Łoszydziły się ciotki, aże łoszydziły... Kończą ta swoja mowa, pija za zdrowie wszystkich sam łobecnych i żałują, że nie wszyscy mogom mi tym samym łodpedzieć, a to skuli tego, że większość jest już fest naprano... Toż niech żyją!... Otóż musza wom pedzieć, że mowa ta, nie dość, że się nie podobała, ale wywołała piekło i zgorszynie. Kiej mówca wychodził z izby, jakiś obrażony rypnył go festelnie emaliowanym gorczkiem bez łeb...

Ażeby więc przez tako głupio mowa uniknąć zgorszynio, dają wom sam wzór mowy przystojnej, kiero na pewno zadowoli wszystkich. Mowa ta powinna brzmieć tak:

- Wielce szanowni goście weselni, piękne panie i gryfni panowie! Widza sam w tej izbie weselnej kwitnaco młodzież i mądro starość złączone do kupy w jeden piękny wieniec... A cóż to za dzień taki uroczysty? Powiecie po prostu: ano, Zeflik Chyrtoń żyni się dzisiok z Hażbietką Wycisk i biere z niom dwadzieścia tysięcy złotych i dwie pierzyny... O, mili moi goście! Jakżesz to powierzchnownie patrzycie na to, co się sam dzisiok łodbywo... W waszych łoczach, kochani goście weselni, łączy się srogo tajemnica - tajemnica powstowanio przyszłej rodziny, rodziny, kiero tworzy państwo! (Wszyscy słuchacze kiwiom głowami). Nasz młody pon, Zeflik Chyrtoń, wypełni terozki swój łobowiązek wobec państwa i społeczeństwa... A kiej tak spojrzymy na szumno i młodo łoblubienica, to dodać musimy: i jak przyjemny i radosny obowiązek! Tak, kochani goście, jo bych tam tyż nie był łod tego hm, hm... (Wszyscy się śmiejom i klaskajom brawo). Ale cóż, droga ta jest lo mnie już zawarto, a to skiż tego. żech jest zatwardziałym nieprzyjocielem kobiet, a po drugie żech, już jest niestety, łod pięćdwadzieścia lot żyniaty... (Poruszenie przy stole, kaj siedzi żona mówcy).

Szanowni państwo! Podnoszą ten kielich i pija zdrowie pana młodego, dzielnego i szlachetnego człowieka, a mojego przyjociela; pija zdrowie łoblubienicy, kiero przeżywszy dziewiętnoście lot... (wszystko jedno, pedzieć to możesz, choćby miała śtyry trzydzieści) - wchodzi czysto i niewinno do łogniska domowego, pija zdrowie przyszłego potomstwa, kiere wdając się w rodziców, łosiągnie kiejś stanowiska ministrów i senatorów... Niech nom też żyjom rodzice panny młodej, kierzy szczodrom rękóm (dwadzieścia tysięcy złotych i dwie pierzyny) łobdarowali nowożyńców dobrami ziemskimi. (Zachwył rodziców, brawa...) Wznoszą kielich za zdrowie

sędziwej ciotki pana młodego, kiero własnóm piersiom wychowała taki skarb, jak nasz przyjociel Gustlik, kiery ze skromności i wstydlivości już łod pół godziny leży pod tym stołem!

A wreszcie łostatni mój toast pija za zdrowie tego nie znanego mi gościa, kiery wyłoł cerwone wino na łobrus i flek ten zasypuje terazki ze solom, coby znać nie było - to prowdziwy przyjociel rodziny, kiery nie chce sprawić jej nojmeńszego uszcyrbku. (Tu następują okrzyki, brawa, całowanie się itp.).

W tym miejscu mówca powinien popić ze swojego kieliszka. W jednym kraju jest piękny zwyczaj (kiery moim zdaniem powinni zaprowadzić i u nos sam), mianowicie: kiej mówca podniesie kielich do ust pijąc, woło pokornie.

- Gorzkie. Wywołuje to całowanie się państwa młodych, skuli łosłodzenie tej goryczy.

No, czy to nie fajny zwyczój?

Toć prawda, zwyczój ten może być stosowany jeno na weselu.

Nieskorzej po części zmienio się tak, że nie mąż całuje się ze żoną, kiej ten trzeci woło "gorzkie", ale na łopach, ten trzeci całuje jego żona, a na "gorzkość" narzyko mąż...

Ale i oto koniec weselo... Wszyscy muszom się terazki łozejść i łodyn dobrze wychowany nie może chcieć nocować w izbie nowożeńców, nawet choćby był nojlepszym przyjocielem i zapewnioł, że ich nie bydzie szterowoł...

## 10. Gowa

Łozmyślanie filozoficzne:

Dzisiok wszystko na świecie mo gowa - ludzie i gadzina, gwoździe, cukier i kapusta. Gowa kapuściano różni się jednak bardzo łod gowy ludzkiej, a to skuli tego, że kapuściano jest pożyteczno!

Dzisiejsze dziołchy nie majom gowy, a jeno gówki, nie przymierzając jak zapołki, szpyndliki, abo lalki. Kiej jednak zapołka bez gówki nie przido się na nic - to u ludzi ni - jest blank na łopach. Bardzo często cłowiek bez gówki łostoł srogim cłowiekiem, bo posłem - bali, nieroz i ministrem.

W szkole łodmianom gówki som: nagówki, łomigówki i półgówki. Tych łostatnich w dzisiejszych casach, zwłozzca pośród młodzieży, jest dużo - ale to nie zawsze widać.

Z inkszych rodzajów gowy, rozrózniomy jeszce gowa rodziny, kiero jest potrzebne do dowanio na i wszystko lo wszystkich, no i do płacynio podatków; i do podpisywanie weksłów! Prócz tego momy jeszce gowy państwa, gowy kościoła i białogowy. Jedynie i . sardynki to nie majom gowów.

W gowie siedzi wdycki mózg. Z mózgu momy udary, po łacińsku "ślakgotrefy", pomieszanie zmysłów, a w restauracyi dostaniemy tyż mózg smażony i ten jest nojlepszy. Do porządnej gowy noleży wdycki kapelus, abo jeszce inaczej hut, bez kierego, zwłozzca kobiety, nie poradzom żyć i suszom łon gowy, czyli, jak jeszce padajom, gupie łeby swoich chopów.

Na gowie łód kobiety leży wdycki staranie ło cołkie gospodarstwo, no i cołka kupa loków, grzebieni, spinek i wstażków. Kożdej zaś gowie łód kobiety, kiero chce mieć bubikopf, czyli garsonka, wylazujom włosy.

Padajom, że to jest bardzo praktycno moda, bo się nie potrzebujom cesać. Robi to za nie fryzjer, a skąd na to brać, to już jest starość gowy od chopa.

Toć najwiękšo korzyść z tego to majom ci fryzjerzy, kierym się jeszce nigdy tak dobrze nie wiodło jak terazki.

W gowa kładzie się bez poranoście lot szkoły najroztomaitsze pożyteczne wiadomości, zaś na gowa wciero się najroztomaitsze pomady i łoliwy, a to skiż tego, co by w gowie nie było cuć siana. W gowie polityka abo redachtora łęnom się roztomaite cygaństwa i kacki. Z gowy Jowisza wyskoczyła Pallas Atena.

Rekrut ma w gowie wdycki siano; łotwarto gowa mo adwokat, ciężko gowa mo zwykle literat, aktor, malyrz, abo inkszy pijok; mokro gowa mo waryjot, a zmyto gowa mo wdycki mąż, zaś choro gowa majom wszyjscy, kierzy cytajom nasze gazeciska.

Gowy niekierych sejmów, magistratów i urzędów wylywajom niekiedy tyla wody, że można by z niom zlywać drogi i ulice i uszporować miastom i gminom całe miechy złotych, kiere wydować muszom na wozy i beczki do sikanio.

Wiela ludzi traci wdycki gowa, jak im grozi najmęnsze niebezpieczeństwo - na tyn przykład, niespodziewane rewizyjo kasy, abo niespodziewany powrót żony z kąpiel.

Ucyń, kiery mo protekcyjo abo łojca redachtora, mo dobro gowa. Ło cłowieku, kiery miał szczęście i wygroł wielki los w loteryi, padajom, że mo srogo gowa, abo że mo gowa na karku.

Na gowa abo jeszce inaczej, na łeb, bije się nieprzyjociela, a taki wódz, kiery to zrobił, zadziero wdycki gowa do góry.

Politycy i kandydaci na nowych prziszłych posłów łomiom se gowa nad nowymi cygaństwami, kierymi chcom chytać łobywateli ło ciasnych gowach.

Zaś nasze kobietki łomiom se gówki nad tym, jak zawrócić chopu gowa, aby berdyjo kupił im nowy kapelusz, nowy kostium, abo nowy mantel. Dobrom receptom w tym razie jest, jak zonecka dostanie skuli tego silnego bólu gowy, kiery musi trwać tak długo, po wiela mąż blank nie utraci gowy i kupi to, co łona chce.

Po gowie skoce mężowi wdycki żona, zaś dzieciom, kiere się nie cese co dzień, skoce abo spacyruje coś inkszego. W takich wypadkach pasuje przysłowie: Łód przybytku gowa nie boli!

Gowy zawrocąją tyż rozmaite panuchny kupcom i szwockom, nieroz i bez pora godzin za kupom, zaś na końcu, jak nareszcie wylezom, to na pożegnanie kiwajom przyjoźnie gowami.

Łód stóp do gów - mierzy cię nie jeno krawiec (jak mosz na niego) - ale i panuchna, kierej wleziesz na łodcisk, abo kierej nie śleziesz w banie abo śtrasbance z ławki i musi borocka stoć.

Gowa zwieszo wdycki na piersi łoskarżony, kieremu tak doradził adwokat. Gową piero ło mur w hareście (ale ino w książkach) łoskarżony. Gową kiwie za plecami męża żona, na znak, że jednak

łona mo prawie. W gowa ciepie się w knajpie flaszkami i sklonkami, zaś w doma szporobliwi małżonkowie bierom se do tego wałek abo sebuwacz.

Do gowy lezie wdycki gorzoła i piwo. Gowa ścino się też toporem abo rzeźbi, maluje, strzyże i goli.

Przy wojokach gowa jest potrzebne do noszenio copki i do kręcynio z niom na prawo i lewo. Zaś w cywilnym stanie, stowajom na gowie komedyjanci, a przy szportach, na przykład przy fusbalu, kopie się gowom piłka, przy boksie bije się w gowa, a przy zapasach robi się z gowy mostek.

Boligówka - to nojlepszio, ale nie jeno w szkole wymówka - a mądrej gowie dość na słowie - i już.

### **11.Cłowiek**

Opracowanie szkolne dziesięcioletniego Karlika

Cłowiek mo jedna gowa, kiero siedzi na karku. Na prawej stronie i na lewej stronie łod głowy siedzom uszy. W postrzodku twarzy siedzi nos, kiery jest niekiedy bardzo cerwiony, ale to nie łod wody.

Na wierchu łod gowy siedzom łocy, a na spodku gęba. Niekiery mo bardzo srogo gęba. Moja ciotka Stazyjka tyz, bo tak padajom łociec.

Nad gębą i pod gębą mo chłop wosy. Baby nie majom tam wosów, bo są niemęskie. Na zadku łod gowy rosnom włosy, u niekierych jasne, u niekierych ómawe, corne, siwe abo biołe. Zaś na niekierych gowach rosnom włosy łyse - jak się trefi. Kobiety majom długie włosy, a niekierzi padajom, że krótki rozum, ale to nieprawda, bo dzisiok jest blank na łopach. Kark jest niekiedy ruby i krótki abo długi i cienki, ale to nie jest ani tak, ani tak pięknie. Przy karku wisi tułów, czyli łostatek. Na wierchu łod tułowia som z przodku piersi, a ze zadku plecy. Po prawej stronie łod tułowia wisi prawo ręka, a po lewej stronie wisi lewo ręka. Lewo ręka nigdy nie wie, co robi prawo ręka. W piersiach na wierchu, na lewej stronie, siedzi serce. Prawo strona nie mo serca. Szkoda! Mamulka padajom, że dzisiok dużo ludzi ni mo serca. Czy to je prawda, nie wiem! Pod piersiami łod cłowieka wisi brzuch. Bogaci ludzie majom rube brzuchy. W brzuchu cłowiek mo żołądek, kiery jak jest głodny to bucy.

Ło drugiej stronie brzucha porzamy cłowiek nie godo, toż j o tyż nic nie powia..

Pod brzuchem wiszom do ziemi dwie nogi, na kierych chodzimy. Jak cłowiek umiero, to pado dusza do ciała: „Do widzynie”!

Więcejechmy się już nie ucyli.

### **12.Opis świni**

Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali

Świnia, jako że ma styry szłapy, to należy do zwierząt. Świnia zaczyna się łód przodku dwiema dziurkami łobtoconymi mięsem, co się nazywo ryjok. Ryjok jest bardzo świni potrzebny, bo go wszędy wrožo, aby coś wywoniać, a co zaś wywonio, to zaroz pakuje do pyska. Pysk świni skłodo się z zębisków, długiego języka i tego, co tam wrožo. Język włazi prosto do żołądka, kiery przyjmuje wszystko i jest bardzo srog, bo kożdo świnia mo wielki apetyt i żre ciągiem i lotego nazywo się świnia, jak kożdy inkszy, kiery łonacy to samo. Wszystko żarcie przemienić się u świni w preswuszt i krupniok, żymłoki abo leberka, kiere są skiż tego, bo świnia żre wszystko, co znojdzie na drodze swego żywota.

Świnia kończy się na zadku małym ogonkiem, kierym miele na wszystkie strony, bo cego inkszego z nim robić nie poradzi. Cało świnia stoi na styrech patykach, kiere się tyż nazywajom nogami. Nogi sięgają od wierchu aż na spodek do samej ziemi. Skiż tego świnia stoi.

Świnia łoblepiono jest marasem, pod kierym znajduje się skóra, kierom świnia jest łotocona, aby się nie łozleciała. Chopem łód świni jest wieprzek, kiery nigdy nie wie, camu żyje, aż go zakatrupią.

Dziecko łód świni nazywo się prosie. Morderca łód świni jest masorz, kiery jom łozłonacy. Łód chwili, łód kierej masorz świnia zabije, to łona już nie żyje. Łoczyszczony zadek łód świni nazywo się szynka, kiero kożdy bardzo rod spuszczo z apetytem, jak mo na to. Inksze kaški łód świni sprzedowo masorz na mięso, z kierego robi się niedługo milionerem.

Do strzewów łód świni wrožo masorz mięso i inksze łodpadki, co się potem nazywo kiełbasa. Lepsze kaški zjodo masorz som, lotego masorz wozy tyle co pietności urzędników abo pięć dwadzieścia robotników do kupy. Świniów jest u nas za tyla. Świnia łoglądać można w szlamie i chlywie, na pastwisku i na spacyrze, na wsi i w mieście. Nasz kraj jest bardzo bogaty w świnie i mógłby dużo świń wysłać do inkszych krajów, ino świnie tego nie chcom, bo im sam u nas jest dobrze.

Izby, w kierych mieszkajom świnie, nigdy się nie schronie i do tego się chlywikami nazywajom. Głos łód świni podobny jest do mlaskającego abo chrapiącego człowieka, a wtedy my nie wiemy, kiery drugiego przedrzyżnio.

Są roztomaite świnie: kiery jest pragliwy i łakomy, to padają na niego świnia. Jak się dziecko łobćko abo łopaprze, to mamulka padajom "prosie". Jak chto na swoja wiara abo ojczyzna przeżywo, to padajom porządni ludzie, że to jest oberświnia. Jak kiery nie wie, czym jest i nosi mantel na łobu ramionach i sprzedo się za pora złotych, to tyż padajom, że jest świnia... i tak jest!

### **13.Opis konia**

Zadanie szkolne

Koń należy do zwierząt domowych, jak gęś, kokot, kura, gołab i płoscyce, chociażki mało kiery mo konia w doma, chyba że ten istny

jest kuczerem, głównym dyrektorem abo szergom. Jak wszystkie zwierzęta domowe koń należy do zwierząt pożytecznych, bo dowo człowiekowi zarobek, chociaż mu nie dowo mlyka.

Koń jest długi i mo na samym przodku gowa, kiero się nazywo końsko gowa abo łeb. We łebie po łobuch stronach mo koń łocy, kiere som zawsze ślepe, skiż cego nosi koń bryle ze skóry, przez kiere jeszce mniej widzi, jak przed tym. Koń, kiery jest ślepy na łocy, widzi z przodku tak samo, co ł ze zadku. Koń nie mo kudłów na łebie, a jeno na karku i tym się różni łod człowieka.

W gębie nosi koń zęby jak człowiek, po kierych się poznowo, cy koń jest stary, cy młody.

Koń mo z wierchu pukiel (cyli -jak rechtór pada-ia - grzbiet), kiery się ciagnie bez całygo aż do zadku, a jest na to, aby na nim mogło się rajtować. Ten pukiel jest zawsze bardzo chudy i łostrzy i lotego trza mu zawsze przywiązać siodło abo rubo deka, żeby się tyn, co rajtuje na nim, nie łozłupoł na poły. Na każdym końcu mo koń jedna szłapa, do kupy śtyry, z kierych jedna zawsze jest popsuto i zawsze musi lotać na trzech abo na jednej. Zadnią szłapa koń świto, na co trza bardzo dować pozór, bo to jest niezdrowe. Na samym zadku mo koń łogon, z kierego się robi materace abo pędzle, a kierym se koń może huścić abo łodganiać muchy.

Między łogonem a łebem mieści się cały koń. Mo łon po bokach wystające ziebra, kierych nie śmie widzieć, aby nie umar ze strachu, że jest takich chudy. Skiż tego dowo mu się na ślypie bryle.

Z konia robi się wusztliki końskie. Używo go się tyż do rajtowania i zaprzęganie, ale coraz mniej, bo ludzie wola terezki jechać na kole abo na autoku.

Jeśli koń jest rodzaju żeńskiego, to pado się na niego kobyła abo skapa, cego jednak łozpoznać nie idzie, bo koń męski wyglądo tak samo jak koń babski, kiery nie nosi kiecek. Koń jest stworzyniem bardzo dobrym i pożytecznym, cóż z tego, kiej go jest coraz to maniej, a to skiż tego, że go ludzie coraz to więcej zeżyrają. Koń je trowa, siecka abo łowies. Piwa ani gorzołki nie pije. Cytać tyż nie poradzi, bo nie potrzebuje chodzić do szkoły.

## **14.Krowa**

Opracowanie Zeflika Gromotki

Krowa jest zwierzokiem domowym i ssącym, krowa mo sześć stron: jedno prawo, drugo lewo, jedno na wierchu, jedna na dole, jedna na przodku i jedna na zadku. Krowa jest cołko łobciągnięto skórom wołowom, a na zadku mo łogon z puszem na końcu. Z tym puszem łodgania muchy skiż tego, coby nie powpadały do mlyka. Blank na przodku mo krowa gowa, a to na to, coby tam mogły rość rogi i coby był plac na pysk. Rogi mo krowa na to, coby mogła bósć, a pysk coby miała z cym ryceć. Na spodku pod krowom wisi mlyko, kiere mo urządzenie do ciągnięcie. Jak ludzie to ciągnięcie ciągnom, to



leci z niego mlyko. Mlyko robi krowa wdycki, tak że się nigdy nie końcy. Jak tona to robi - tegochmy jeszce nie mieli. Krowa wonio bardzo fajnie i cuć jom już z daleka, to robi fajny wiejski luft. Chłop łod krowy nazywo się wół, kiery wyglodo tak samo jak krowa, jeno że ni mo na spodku mlyka, dlotego wół nie jest zwierzątkiem ssącym. Wół to jest tyż przezwisko. Krowa mo każdego roku ciele. Jak łona to robi, nie wiem, boch-my się tego jeszce nie ucyli. Ciele żywi się ssaniem, lotego tyż należy do zwierząt ssących. Krowa žre trowa, łoskrobiny i mlyc. Jak krowa mo dobre jedzenie, to wdycki za to robi dobre mlyko, a jak mo złe jedzenie, to robi niedobre mlyko. Jak na dworze jest górkko abo jak grzmi, to krowa robi skisłe mlyko. Krowa je bardzo maluško. Co raz zjadła, je potym porząd to samo, tak długo, dopóty się nie najadła. Co łyknie, to ji się zarozki zaś wzbijo i zaś mo pysk połny. Więcej nie poradza.

### 15. "Zymftowy" kot

Jeden bezrobotny zaszoł kiejs po fehcie (bo cóż było i robić) do jednej restauracyi. Patrzy, a tam przy stole siedzom se przy jodle i piwku jacyś weseli kumpani i zawijajom aż im się uszy trzęsom.

Nasz karlus borok, dziwo się miłosiernie, flaki mu marsza grajom, zjod by se tyż małowiela i wypił, i ale cóż, fenika w kabzie ni mo, a za darmo nie dadzom!

Myśli: Ach, jakby tu przyjsć do jakiej porcyjki.

Naroz ujrzoł kota siedzącego na sofie. Przychodzi do niego, zaczyno go głośkać, pieścić i pado do gospodarza:

- A skąd to majom tego kota? To jest bardzo drogo rasa. Dužo piniędzy mogom za niego dostać.

- Ja - pado gospodarz - a cóż to za rasa?

- No dyć to jest zymftowy kot!

- Co to za zymftowy kot? Jeszcech ło takim nie słyszol.

- No, wiedzom, panoczku, to jest kot, kiery je zymft, czyli musztarda. Jak mu postawiom zymftuj a w drugim talerzyku mleko, to mleko łostawi, a zymft bydzie lizoł.

- E, nie róbcież nos za błozna - pado jeden z gości, spaśny i bogaty masorz.

- No, dyć się możemy przekonać, ale ło zakład. Jak wygrom, to postawiom wieczerza i štyry lagi.

- Dobrze!

Przyniesiono z kuchni talerzyk słodkiego mleka i postawiono przed kotem. Kot, kiedy pocuł mleczo, wyprężył się i już mioł się do niego zabrać, wtem kar-lus dopodł na łyżeczka zymftu i mazonł go kotu z drugiej strony, kajś poniżej łogona.

Efekt był ten, że zymft zrobił swoje, no i kot miast do mleka, zabroł się do zymftu.

Nasz karlus weta wygroł; postawili, co łobsztalował, no i śmiechu było z filuta, aże było! Masorz się trocha gorszył, że go zrobiono

za błozna, no ale se padół: musza się kiejs na kimś inkszym zemścić.

Razu pewnego pojechał do Mysłowic po wieprzki, no i wstąpił do znanej tam restauracyi. Widzi, przy stole siedzom znajomi, tyż masarze. Myśli se więc: cekejcie, terozki jo se na vos użyja! Łogłado się, kaj by ujrzoł kota, ale kota nie ma. Za to patrzy, a tam na ławce leży piesek, tak zwany jamnik, czyli dakiel. Woło więc na gospodarza:

- Człowieku, a dyć to zymftowy pies, kupa pieniędzy możesz za niego dostać.

Wszystcy zdziwieni pytajom, co to za taki cudocki pies, ło kierym jeszcze nigdy nie słyszeli.

Nasz masorz łopedzioł wszystko dokumentnie tak, jak to zrobił z kotem nasz karlus, z tom jeno różnicom, że zamiast mleka miał służyć do eksperymentu kęs wusztu, kiery, wiadomo, pies bardzo woli. Przedtem jednak zrobili weta ło styry lagi.

Przyniesiono kęs wusztu, dano psu. Pies capnął wuszt, a w tej chwili masorz dopod zymftu i zrobił prawie tak samo, jak to zrobił karlus kotu.

Efekt był jednak inkszy!

Pies wusztu nie puścił, a jeno usiod se na zadnie szłapy i zacón jeździć po caluśkim szynku. Naturalnie wszyscy w śmiech, no i nasz masorz wety nie wygroł. Musioł ku swojemu zgorszyniu zapłacić styry lagi - no i koniec.

## 16. Jak powstała moda?

Ten prowdziwy trapiduch ludzkości, a nojbardziej biednych chłopów - tych, co to majom kobieciątka-strojnisie, powstał tak:

Dzioło się to w dalekiej krainie, kaj to słonecko wisi na szpagacie, blank przy ziemi i grzeje jak pięć litrów gorzoły, no i kaj gadzina panuje roztomaito.

Toż roz zakrod się tam lis do jednej chałupy murzyńskiej, aby wydusić kury. Ale kokot, taki wiecie prowdziwy „mantekler” narobił takiego larma, że gizd łobudził psiska, a te wpadły do chlywika, wzieny zarozki lisa w łobroty. Lis marcha swijoł się jakby mu chto terpentyny... wiecie, skokoł, charcoł, pluł, aż się berdyji udało spod psich zębsków wymigać. Jeny jeden bakan, jakoś łod inkszych więcej zażarty, chycił lisa za podłogonie i przy samym zadku użar mu łogon. Raduwoł się lis, że się wyrwoł niechybnej śmierci, ale mierziło go to, że nie mo łogona, no i bardzo go było skuli tego gańba.

Po cichutku, jak to padajom po zadku, uciekoł do lasa i sztyrowoł, jakby to ten swój wstyd zakryć, a przinojmnijszykownie wycyganić, że tak być musi, aż tu nogle zaszeleściło mu cosik nad łebem i śmiech na cołki pysk łozległ się między gałęzioma.

Dziwo się, a sam cołko kupa małpice siedzi na strome i aż się zanosi łod śmiechu.

- Cegóż się dioble małpice tak wysycrzocie? - pyto je lis, zły jak sto pierzinów.

- Aż ciebie, ślimoku! Kajeś to łogon podziół, co?

- Łogon? Kajech łogon podziół? Cóż to za takie gupie pytanie.

Wyście, murchle dioseckie, się wierzą łożarły, że się pytocie, co się stało z moim łogonem. Że takie z was gupie panuchny, to bych se nie był nigdy myślał.

Zawstydziły się i zafrasowały małpice takom łost-rom łodpowiedziom i zacyny nalegać na lisa i prosić ło wyjaśnienie.

- Dyć to aże gańba - zawołał lis z politowaniem. - To wy, rajcule dioseckie, nie wiecie, że teraz-ki jest najnowsze moda nie nosić łogonów? We wszystkich większych lasach trzymajom się tej mody. Żodno fajno małpica i żoden zwierzok, kiery chce być bilduwany, nie nosi łogona, a dyć nawet gupie zające już się downo łogonów pozbyły. A wy, osmolone łoszkućki, mię się pytocie, kajech jo swój łogon podziół? Tfu, do diobła z takom głupotom. Chlistnął bez zęby z pogardom, łobrócił się zadkiem i poszeł...

A kiej nazajutrz zaś wyszoł do lasa, ujrzoł, że żodno małpica nie miała łogona. Wszystkie go se połob-gryzały.

### **17. Diobół w biedaszybie**

Rzecz działa się na Śląsku. Gdzieś po drodze między Wełnowcem a Michałkowicami, czyli w samym centrum węglowym, kaj to, jak powiadajom, jedna gruba włazi na drugo. Teren ten ma pokłady węgla tak bogate, że wyłazi on dosłownie na powierzchnię ziemi, a umizgając się swoim połyskiem do przechodniów, prosi, ażeby go sobie zabierali, ile kto zechce.

Toteż korzystająca z tej dogodności okoliczna biedota robocza, która z powodu gospodarczego kryzysu, jaki po wojnie światowej nękał również i polski kraj - była bezrobotna. Wiele wtedy kopalń, których właścicielami byli Niemcy, zostało unieruchomionych, zaś w tych niewielu, które pozostały czynne, wprowadzono świętówki, inaczej turnusy. Fedrung ograniczono do trzech dni w tygodniu. Tak zwany deputat węglowy, który przysługiwał robotnikom kopalnianym, zniesiono, jako też wszelkie inne zdobycze socjalne kasowano lub pomniejszano.

W miarę narastania bezrobocia bieda coraz większa zaczęła zaglądać do robotniczych chat. Do pukających o pracę mawiano z ironią:

"Ano, chcieliście przeca Polski, to jom terazki mocie... Mieliście chleb, a zachciało się wom kołocza - toż se idźcie poń do Warszawy... Poradziliście robić powstania... toż zróbcie terazki jeszcze jedno... Można się wtenczos łod-mieni i zaś wom po tym będzie dobrze... Terazki nie ma lo was roboty... rraus!"

Dziwić się trzeba, że tego rodzaju drwiny nie wyprowadziły biedaków z równowagi. Ślązak jednak twardy i nie w ciemnię bity, nie dał się łatwo sprowokować. Nie zapominając języka w gębie - z ciętością i humorem replikował na pruskie chamstwo. Powróciwszy do chaty zaciskał zęby i przyciągał poska... Domowników swoich pocieszał przysłowiem: "że Kraków nie od razu zbudowano". Wierzył święcie w lepsze jutro, ło kiere przeca walczył i krwawił, a kiere z pomocą Bożą isto nadeńdzie. Radził se, jak mógł, a w ciężkości bytowania dopomagała mu jego dzielna żona. Kiedy nastąpiła zima,

otwierał sobie własną kopalnię na okolicznych, bezpańskich ugorach i zapadliskach.

Sumienie miał spokojne, rozumując - że węgiel ten jest przeca własnością Pana Boga - kiery nie broni, żeby se w potrzebie kopała biedota.

W ten sposób z biegiem czasu powstało mnóstwo małych szybów, które ludność miejscowa przezwala biedaszybami. Samopomoc ta bezrobotnej rzeszy górniczej nie podobała się właścicielom kopalń, którzy powołując się na jakieś prawa i przywileje interweniowali u władz państwowych, te zaś likwidowały szyby, ku wielkiemu żalowi i niezadowoleniu bezrobotnych.

Nie ta jednak rzecz ma być tematem niniejszej gawędy, opiszę ją przy innej sposobności. Dziś pragnę opowiedzieć, jak to do jednego z takich biedaszybów wpadł diabeł i jak mu do wydobywania się z niemiłej opresji dopomóżono.

Zbliżały się doroczne Gody i kto żył przysposabiał się jak zwyczajnie do uroczystego powitania Dzieciątka.

Zimnisko chyciło latoś srogie, śniegu nasuło tela, że spod jego zwałów prawie domów widać nie było. Ludziska, jeśli prawie nie musieli, nosa za dźwierze nie wyściubili. Każdy siedział przy swoim piecyku i zabezpieczony słuchoł, jak wicher wył w kominie, a zawierucha tumany śniegu ciepłała w okienne szyby.

- Dziwejcie się ino, moiściewy, co się to zaś robi na tym świecie - prawi Klycino do kumoszek, które do niej przyszły na szkubanie pierza.

- Ja, ja, ludkowie, isto się zaś musioł chtosik łobiesić i dusza terazki skamle ło zmiłowanie Boże -uzupełniła powyższe Pyrciczka.

W tym samym czasie po przeciwnej stronie sieni, w izbie u Musiołki, siedziało se też przy żeleznioczku pora "elwrów". Synczyska młode i wyzgierne. Wszyscy byli kamratami, bowiem po społu robili za ciskaczów w miejscowej kopalni. Terazki świętowali wszyscy, jako że Niemczyska gruba zastawili.

Z ożywionej rozmowy, jaką między sobą wiedli, wynikało, że zamierzają om wybrać się na drugi dzień świąt z kolędą.

- Trza przeca ludzi w tych ciężkich czasach zdziebko łozweselić - prawili - a co nojważniejsze, że i lo nos przy tym cosik skapnie, choćby aby na tabaka.

Że zanosi się na imprezę nieprzeciętną, świadczyły o tym całe sterty różnych kolorowych papierów, zwoje tektury, garnce z pozłotką, farbami, klejem i mnóstwem innych materiałów, z których majstrowano rozmaite akcesoria teatralnego kunsztu. Na ławach ułożono gotowe już, świecące złotem i drogimi kamieniami królewskie korony, jakieś turbany oraz hełmy. Dalej leżały szkatuły z kosztownościami, zaś pobok różnego kształtu tarcze, miecze i halabardy. Po ścianach rozwieszono ornaty, dalmatyki i płaszcze. Siedzący kole okna Gustliczek prawie był wyczynioł jakieś srogachne anielskie skrzydła, obklejał je złotymi gwiazdami i obsypywał świecącym szkliwem, wywołując swoją umiejętnością podziw kamratów.

I tak z każdym dniem pracowite ręce chłopców przysparzały projektowanej imprezie szopkowego splendoru. Rozumie się, że

podczas tych wyczynów uczono się na pamięć tekstów - jako też mnóstwa kolęd i pastorałek, które zawierał kantyckowy scenariusz. Namiastką orkiestry była harmonijka, na której fajniście wygrywać poradził Konstant Duda. Role obsadzone były w następujący sposób: Trzech Króli mieli przedstawiać: Przybyła - Kaspra, Plucik - Melchiora, a Stankosz - Baltazara. Króla Heroda przedstawiał Stanik Bryła, jako wzrostem najśluszniejszy i w sobie nojszyrszy. (Warunki te sceniczne zawdzięczał podobno mamulce, kierzy go ponoć ustawicznie filtrowali żurem). Marszałkiem dworu Heroda by Pogorzałek, zaś naczelnym wodzem wojsk Froncek Spyra. Rolę diabła jednogłośnie przydzielono Karlikowi Szatonowi - po pierwsze z racji nazwiska które nosił, po drugie zaś, że miglanc z niego był największy i kmin nabijany. Wszędzie go było pełno - tak że nawet jego mamulka z reguły nie nazywali go inaczej jeno "jancykrystem". Zaś dziółski miejscowe, kiej go uwidziały, szeptały: zaś sam ten przejęty dioboł lezie!

Zespół uzupełniały jeszcze osoby przedstawiające: anioła, śmierć, pastuszków i wojsko.

Nareszcie, po wzwyż opisanych przygotowaniach i gorączkowej pracy, nadszedł oczekiwany dzień Bożego Narodzenia, w którym herodowa gromada wyruszyć mogła na "kolędowy wander". Premiera widowiska zaczęła się od miejscowej fary i z punktu zdobyła sobie poklask i uznanie.

Po kolei obchodzono wszystkie domy osiedla, wnosząc do każdego radosne pieśni, jako też inscenizowane dialogi o Pańskim Narodzeniu. Kolędników przyjmowano wszędzie radośnie i oklaskiwano ich aktorskie umiejętności. Rzecz prosta, że każdorazowy taki spektakl kończył się poczęstunkiem, a każdy z widzów, choćby najbiedniejszy, wrzucał do skarbonny swojego obola.

Największym powodzeniem wśród gawiedzi cieszył się dioboł - a to nie jeno dlatego, że likwidował piejrzyńskiego Heroda, biorąc jego plugawą duszę w piekielny jasyr, ale i dlatego, że szukał kandydatów do piekła również wśród domowników - zwłaszcza dziółch, które z piskiem uciekały i kryły się po kątach... Starszyna, zaśmiewając się z diobelskich figlów, wykupywała się od piekła bądź datkiem, bądź też sownie traktowała imć pana diobła piekielną wodą - którą nie mógł przecież pogardzić.

Kiedy obkolędowano całe rodzime osiedle, udano się do sąsiedniego. Mróz brał coraz większy, jednak kolędnicy rozgrzani powodzeniem, jako też sownie częstowani jadłem i trunkiem, nie bali się zimna. Ażeby skrócić drogę, ruszono na przełaj przez zawiane śniegiem pola. Pochód zamykali śmierć i dioboł. Egipskie ciemności rozwidniała niesiona na wysokiej żerdzi papierowa, betlejemska gwiazda.

Naraz w trakcie tej wędrówki jego diabelska mość dyskretnie oderwała się od gromady i zniknęła w ciemnościach nocy. Być może, że powodem rejterady była nadmierna ilość zjedzonych słodkich makówek i smakowitej moczki, może też i duża miarka wypitej wody piekielnej... Dość, że kiedy po długiej przerwie zjawił się dioboł, Herody były już daleko. Zaczął biec po wertepach, chcąc

ich dogonić. Naraz trzask, wrzask i diobół zapadł się w ziemię. Okazało się, że wleciał do zawianego śniegiem biedaszybu. Prócz piekielnego strachu, szwanku na ciele nie odniósł, jako że uchroniły go zwały śniegu, które wymościły dno szybu. Po ochłonięciu i zorientowaniu się w okolicznościach wypadku, zaczął się diabeł zastanawiać, jak by się z tej arcyniemilej sytuacji wydostać.

Niełatwa to sprawa... Obliczył, że od powierzchni świata dzieli go co najmniej osiem metrów, a mechanicznej windy szyb nie posiadał. Sterczał co prawda nad otworem szybu drewniany walec z korba, za pomocą którego wydobywano wiadra z węglem, brakowało jednakże liny. Ściany szybu, obmarznięte i śliskie, w żaden sposób nie nadawały się do wspinaczki. Drabiny ani na lekarstwo, a tu ciemna noc, zimnisko coraz dokuczliwsze, a dokoła ani żywego ducha. Siedzi tedy biedny nasz diobół w szybie, zdeterminowany i bezradny. To wydaje mu się, że ktoś nadchodzi, że pewnie koledzy go szukają - wołał wtedy z całych sił, skamlać o ratunek. Niestety, była to złuda. Nikt nie nadchodził, jeno wicher uganiając za śniegiem wył i chichotał, jakby drwiąc z diabelskiego nieszczęścia.

Położenie diobła naprawdę godne było politowania. Na wydostanie się z szybu o własnych siłach nie było sposobu, poza tym rozumował, że jeśli zmuszony będzie przesiedzieć w nim do rana, zmarznie na śmierć. Dreptał więc biedak dookoła, walił co sił rękami w biodra, wołał ludzkiego ratunku, a kiedy wszystko zawiodło, zapomniawszy o diabelskiej swej skórze, zaczął błagalnym głosem wołać w kierunku szybkiego otworu: Najświętsza Panienko, ratuj!... ratuj i nie opuszczaj mię biednego.

I widać, że dobrze w swym sercu postanowił, bo Ta, którą o ratunek prosił, przyszła mu z pomocą. Po rzewnej tej modlitwie na powierzchni ziemi, jak gdyby na rozkaz, uciszyła się wichura. Księżyc wyłonił się spoza chmur i srebrem oświetlił zaśnieżony padół. Po chwili doszedł uszów diobelskich skrzyp kół nadjeżdżającej furmanki - co wskazywało, że tuż niedaleko znajdować się musi szosa. W miarę zbliżania się pojazdu, zaczął diobół ostatkiem sił wołać o ratunek. Woźnica, przestraszony, zrobił znak krzyża - i zatrzymał konie. Nasłuchując, z której strony głos dolatuje, zorientował się prędko i poszedł w kierunku zdradzieckiego szybu. Tu dopiero dowiedział się z ust człowieka o jego nieszczęściu. Oświadczył ze współczuciem, że mu zarozicki pomoże, jeno zdziebko doczkać aże przyniesie z wozu łańcuch i latarnia.

Tymczasem nadeszło kilku karlusów, którzy prawdopodobnie wracali z jakiejś świątecznej biesiady. Przyszli w sam raz, bo dowiedziawszy się od furmana, że tam chtoś wpod do biedaszybu i że go bydzie trza wyciągnąć, dobrowolnie zaofiarowali swą pomoc.

Po upływie zaledwie kilku minut, zaopatrzeni w łańcuch oraz latarnię, udali się gromadą na wskazane miejsce wypadku.

Przymocowawszy w mig do stojącego nad szybem walca łańcuch, opuścili go w głąb i polecili uwięzionemu, którego rzecz prosta

nie widzieli, by się dobrze opasał w pól, a gdy to uczyni, dał znak, kiedy go mają ciągnąć.

Biedny dioboł, widząc już swoje wybawienie z czeluści, nie przeczuł, że teraz dopiero zacznie się dla niego prawdziwa utropa. Uczyniwszy jak mu ratownicy z wierchu polecili, zawołał zmęczonym głosem - Ciągnie!

Zazgrzytał walec, a wprawiony za pomocą korby silnymi rękoma w ruch, począł nawijać na siebie łańcuch, ciągnący na świat nieszczęśnika. Wyciągnawszy ciężar na powierzchnię, usiłowano przeciągnąć go teraz na twardy grunt i odczepić od łańcucha.

W trakcie tej czynności woźnica trzymający latarnię oświetlił nią twarz wydobytego... Struchleli. Patrzą i oczom swoim nie wierzą... Jakiś potwór wisi na łańcuchu, pysk czarny, łypie białkami oczów, srogie na łbie rogi, kudłaty cały, a na zadku długachny wisi łogon.

- Chłopcy!... wrzeszczy jeden - pierona! Dyć to dioboł! - i nie namyślając się ani chwili puścili korbę... Zarechotał walec i z szybkością błyskawicy opuścił piekielnika w głąb szybu.

W ten sposób boroczek Karlik Szaton, doskonały odtwórca kolędowego diobła, skazany został na ostateczną ztratę.

Nie słyszano już jego jęków ani skamlania, zagłuszały je klątwy i przezwiska tych, którzy biedaka mieli z opresji wyratować. A co gorzej, że z tego co do niego dochodziło - włosy stanęły mu na głowie.

- Chłopcy!... - skrzeczy jeden - nie ma co alarmować ludzi... szkoda czasu... Farorz sam też nie pomogą... Trza po prostu nakopać kamieni i zatłuc tego gizda. Inaczej furt bydzie pochoł po świecie i na-mowioł ludzi do złego.

I kto wie, czy w zapamiętaniu nie byliby tego wykonali. Nie na darmo jednak oddał się Karlik-dioboł - w opiekę Najświętszej Paniencie, która już nad nim czuwała. Kamieni pod ręką nie było, spoczywały ukryte pod grubą warstwą zmarzniętego śniegu.

Poza tym zjawiała się niespodziewanie pod przewodnictwem swojej gwiazdy cała gromada kolędników, która - stwierdziwszy w zespole brak diabła i wielce jego zniknięciem zaniepokojona - udała się na poszukiwanie. Bładzono po śnieżnych wertepach, wypatrywano na wszystkie strony i nawoływano, ale bezskutecznie. Przypadek dopiero zrządził, że zobaczywszy z dala światło, podążyli w jego kierunku i w ten sposób znaleźli się na miejscu wypadku.

Wysłuchawszy strasznej relacji, że w szybie siedzi żywy dioboł, kiery prośbami i skamleniem wprowadził ich w błąd, tak że go własnymi rękami wydostali na powierzchnię, uwidziawszy jednak jego obrzydliwą postać, kierej nie poradził zamaskować - wciepli gizda nazod do szybu. Niech tam pieron zdycho...

Teraz dopiero wyjaśniła się niesamowita przygoda Karliczka.

Chłopcy kolędnicy oświadczyli przerażonym karlusom, że to zaiste bydzie ich własny kolędowy dioboł, kiery się im po drodze stracił. Nachyliwszy się nad szybem zaczęli wołać:

- Karlicku!... czyś to ty tam na dole? Łodezwij się! - I nie czekając długo usłyszeli żałośliwą odpowiedź:

- Dyć jo! Wpodech po ómoku do szybu i nie dość, żech się o mało co nie zabił, to bych ku temu zmórz. Kiej moje wołanie usłyszeli ludzie, prosiłzech ich, by mię wyratowali. No i wyciągnyli mię na wierch, ale po tym nie wiadomo czamu zacznij skrzeszcz i zaś mię nazod wtrzaśli do szybu. Ratujcie!

- O, boroczku! boroczku! Doczkej, przyjocielu, | zarozicki cię z tego piekła wykluźimy...

I zabrali się wspólnymi siły do roboty, tak że nie uszło i pacierza, a biedny, zmaltretowany dioból, Karliczek Szaton, znalazł się na bożym świecie. Cóż, kiedy biedak ledwie trzymał się na nogach. Zaprowadzili go wartko do chałupy, poszeptali z jego mamulką - kierzi syneczka zarozki wpakowali do łóżka pod pierzyna. Dali mu gorkiego teju z rumem i cytryną, coby się fajniście wypocił.

I tak - dzięki mocnej naturze - jaką dysponował jej kochany "jancykryst", obyło się ino na miliońskie rymie i spuchniętym z kichania nocholu. Poleżoł bez trzy dni w łódeczku, pielęgnowany troskliwie przez mamulkę i odwiedzany przez przyjocieli, kierzj sporo mieli zachodu, ażeby go do dalszych eskapad kolędowych namówić. Nie chcioł już wlyżć w diobelsko skóra. Przekonali go jednak w końcu, że lepszego diobła jak łon by przeca nikaj nie znodli - a po tyn szkoda tyż i zarobku, kiery się tak dobrze zapowiadał.

Powróciwszy prędko do formy i zapomniawszy o przygodzie, wyruszył w Sylwestra z kolegami w dalszą kolędową wędrówkę, obchodząc co dnia aż do Trzech Króli wszystkie zagrody okolicznych miejscowości - a gdzie ino zaszli, wszędzie wnosili radość i wesele.

Tyla, że nosz dioból bardzo terozki już był wstrzemięźliwy i choć go częstowano i proszono, nie chcioł za nic w świecie ani makówek, ani moczki, ani też wody piekielnej - kiere go w kupie do takiego nie-szczęście przywiody.

### **18.Z gruby, hutu, werku i inkszej przejętej roboty**

Na jednej z kopalń na Śląsku wypłoco w cechowni sztygar forszus. Niedaleko biurka jest łokno łotwarte na łożcie i ciągle przetwieranie dźwierzy powoduje przeciąg. Sztygar zwraca się do stojącego w pobliżu bergmona Ochrzontka:

- Ochrzontek, machen Się das Fenster zu!...

- Zaroz, panie sztajger.

Sztygar wypłoco dalej, ale spostrzego, że łokno w dalszym ciągu jest łotwarte. Zwraca się więc ponownie do górnika:

- Ochrzontek, Się sollen dort das Fenster zuma-chen!

- Zarozicki, panie sztajger.

Ochrzontek machen Się das Fenster zu - Ochrzontek, niech pan zamknie okno Ochrzontek, Się sollen dort das Fenster zumachen - Ochrzontek pan powinien zamknąć okno.

Ochrzontek jednak łokna nie zawiero, a kiej sztaj-gier po pewnym czasie to zauważył, wrzeszczy zły:

- Ochrzontek, zjedliście regiment diobłów, wy stary mamlasie, to łokno macie zarozki zawrzyć!



- Jeckusie, panie sztajger, a dyć mogli mi to tak zarozki pedzieć, a byłych to łokno już downo zawar.

W starej hucie na "Wilhelminie" wywieszono na murze tablica z napisem: "Jedzenie w hucie pod kan wzbronione". Po paru dniach trafił majster szmelcyrza Pietruszkę, siedzącego na przewróconej taczce i zajadającego z apetytem śniadanie, toż majster na niego z pyskiem:

- Pietruszka, poradzicie to cytać?
- Toć poradzą, panie majster.
- Ja, poradzicie? A nie cytaliście to na tabuli, w hucie jest zakazano jeść?
- No, dyć prawie, panie majster, joch to tam cytoł, ale tam stoi wyraźnie, że pod kara jeść nie wolno, a jo se jem przeca na karze. Ten som majster zamówił kiej ś tego samego Pietruszkę na niedziela do pracy, na tak zwano tuplówka, Pietruszka przyobiecał, że przyjdzie, tymcasem przyszli wszyjscy zamówieni prócz Pietruszki. W poniedziałek robi mu majster z tego powodu wyrzut i pyta:
- Czamuście wczora na tuplówka nie przyszli?
- A boch był w kościele, panie majster.
- Ja, w kościeleście byli? A nie słyszeliście to, tam śpiewali: "Duszo moja słuchaj Pana"?

Nie - pado Pietruszka - tegoch nie słyszoł, alech słyszoł, jak śpiewali: "Jużem dość pracował dla ciebie, człowiece".

Podczas kąpieli w rzece jakiś robotnik wyratował tonącego dozorcę. Wdzięczny dozorca ścisko ręką swojego wybawcy i pado:

- Mogom żadać łode mnie, czego chcom. Wszystko dlo nich zrobia. Na to robotnik:

Mom wielko prośba, panie dozorca. Niech, lo Boga, nic nie padajom moim kamratom, zech to jo ich wyciągnół z wody... bo miołbych się pierona z pyszna.

Jakiś robotnik łostoł przyjęty do fabryki, w kierej jednak nie uznawali przerwy na śniodanie. Trza tam było durch robić aż do łobiadu. Kiej przyszło cas śniodanio, nasz robotnik wyjon se z szakieta kromka chleba i zacon go jeść. Kiej to ujrzoł werkmajster, z pyskiem na robotnika.

- Hej, a to co? U nos sam nie mo śniodanio!
- Joch se tyż tak padół, panie werkmajster, i lotegoch se prziniós śniodanie z domu.

Słuchejcie jeno, panie Gnojek, wos kiejś musiało przy robocie spotkać jakieś nieszczęście, prowda?

- Po jakimu, panie sztajger?
- No, bo zawsze przed robotom macie taki pieroński strach!

W jednej z dzielnic Katowic pękła rura wodociągowa, tak że trzeba było zamknąć główny kran. W trakcie tej czynności, wykonywanej przez miejskich monterów od wody, idzie sobie jakiś obywatel, mocno, jak to mówiom naprany i tak zygzakiem z jednej strony ulicy

na drugą, aż podchodzi do miejsca, gdzie monter właśnie zakręca główny kran. Widząc to pijany, staje wściekły i powiada:

- A mom cię! To ty, pieronie, tak kręcisz tom ulicom, że nijak dodom trefić nie mogą!

Do jednego z przedsiębiorców budowlanych zgłasza się pewien bezrobotny murarz, prosząc o robotę.

- To nie pójdzie terazki, mój kochany, cegielnie strajkują, nie mogą dostać materiału. Wszystkiego mom ino na placu coś około sto cegłów.

Na to murarz:

- Sto cegłów? Jejkusie, panocku, dyć mi tego na cały miesiąc styknie.

Jak wiadomo, robotnicy powracając ze sztychty do domu zabierają ze sobą zwykle klocek pod paźa abo jakiś inkszy kąszczek deski. Na jednej z kopalń zarząd zakazał tego. Kiedyś wraco ze sztychty hajer Duda i mo pod pachą dość srogom deskę. Naroz kole wachtyrza, jak na złość, spotyka go nadgórnik i woło za nim:

- Hej, Duda, takich desek nie śmiecie z grubu zabierać, nie wiecie to o tym?

- Ja, panie obersztajger, jo to wiem, alech jo się, widzom, niedowno łożynił, toż mi ta deska jest koniecznie potrzebne...

- Ale to przeca za długo deska - pado obersztajger.

- No, dyć jo wiem, że za długo, ale to się jom przeca w doma urźnie!

Zeflik Drzystoń pracował na kopalni w sortowni węgla - zwanej też płuczką. Największą jego pasją była fajka, bez której nie mógł żyć. Trzymał ją w zębach bez caluśki dzień. Kiedyś zdarzyło się, że zapomniał tego swojego smoczka w domu. Przyszedłszy do roboty szuka po kieszeniach, a fajki jak nie ma, tak nie ma. Co tu robić, aże co? Robota mu nie idzie, klnie w pierony. Nie wytrzyma całej szychty, aże nie wytrzyma. Strzeli wszystkim, uda chorego i pójdzie... Odwiódł go jednak od tego zamiaru jego kompan Franciek, padając:

- Idźże, pieronie głupi, szkoda szychty. Za pół godziny bydzie śniodanie. Wyskoczys se do dom, daleko przeca nie mosz i se fajka stamtąd przyniesiesz.

Argument ten przekonał nieszczęśnika.

Nareszcie, po upływie pół godziny, odezwał się sygnał zwiastujący śnadaniową przerwę. Zeflik jak bomba wypadł za obręb kopalni i smaruje ku domowi. Wrócił na czas z powrotem zziajany i spocony.

- No, mosz fajka? - zapytuje Franciek.

- Psinco mom nie fajka. Alech bracie miał szczęście, padom ci.

Przylatują do dom, łotwierom po lekutku dzwierze do kuchni, dziwom się bez szpara, a tam w izbie siedzi se na kanapie do kupy z mojom starom nasz werkmajster. Myślółech, że mnie pieron strzeli. Na szczęście mnie nie widziół, boch ino prasknął na dwór i uciekołech, aże się za mną kurzyło.

Kiedyś przyjechał na Śląsk zespół górali z Zakopanego. Brali udział w regionalnej audycji radiowej, gdzie popisywali się swoimi umiejętnościami. Jeden z nich, starszy i wielce dowcipny gazda wygrywał na listeczku i dobrze to szelma robił... Nazajutrz oprowadzali górniczy tych swoich gości i pokazali im część bogactw, jakie śląska ziemia posiada. Zwiedzano więc kopalnie, huty i inne obiekty ciężkiego przemysłu. W końcu pyta się gazdy jeden z oprowadzających Ślązaków:

- No i jakoż się im, panie gazdo, nasz Śląsk podoba?
- Ano bogactwa macie dużo, ale pikny to ten Śląsk nie bardzo.
- A czemu to? - zapytuje Ślązak.
- Bo u nas piknij, mamy góry, a tu ni ma gór... Odpowiedź ta widać dotknęła Ślązaka, bo z miejsca odpalił góralowi:
- E, góry, góry! Widzicie, sam tyż były góry, alechmy to wszystko kozali wyrównać, bo u nos, wicie, musi być porządek...

Rzecz dzieje się w kopalni na filarze. Rębacz ze swoim ładowaczem siedzą na bryłach węgla kurząc fajki, gwarzom niefrasobliwie. Tu trzeba dodać, że ten krótki odpoczynek był zasłużony, węglistka bowiem ukopali całą hałdę.

Wtem niespodziewanie zjawia się sztygar i przewracając oczami rozgląda się po wykonanej dotąd robocie. Zaczyna nosem kręcić, wachać (inaczej sznupać). Nie odzywając się wciąż ani słóweczkiem sznupie i sznupie. Zaniepokoiło to wreszcie rębacza, który zapytuje:

- Panie sztygar, czy to sam kogo szukajom?

Ale zwierzchnik nic, ino dalej sznupie i sznupie... wreszcie powiada:

- Słuchajcie no, co to sam tak śmierdzi? Rębacz pociąga nosem i pado:

- Panie sztygar, jo nic nie czują!...

- Aha, nie czujecie? Wierzą, macie ryma? Jo wom powiem, sam czuć gnojem.

A na to odpowiada niezbity z tropu rębacz:

- Tak, sprawiedliwie, sam śmierdzi gnojem... ale panie sztygar, to dziepiero teraz... bo przedtem, zanim sam wleźli, nic sam nie śmierdziało...

### **19. Dioból w kopalni - Humoreska**

Dzioło się to w czasach, kiedy żyli nasi staroszkowie. Nasi górniczy wtenczas jeszcze wędrowali na szychta w drewnianych pyntoflach, zadek łożdobiony mieli skórzanom łatom, a z boku przewieszono mieli torba, kierej zawartościom było kiela gielników chleba, no i flaszka cornej lury, zwanej kawom. W jednej ręce nieśli śmierdzące, łolejowo lampa górniczo, w drugiej kryka, kiera się podpierali.

O mechanizacji kopalni nie było jeszcze mowy, nie wiedzano - co to wrębiarki, kombajny, kacze dzioby, elektryczne pociągi zwożące węgiel na podszybie, no i wszelakie inksze diobelstwa i cuda

współczesnego kunsztu górniczego. Funkcje transportowe załatwiały na dole konie, zwane przez górników żubrami.

Na jednej z kopalń naszego Śląska powierzono opiekę nad stajnią w podziemiu starymu inwalidzie nazwiskiem Drzystoń. Otóż wymieniony, siedząc se kiedyś po szychcie w swojej chałupie, kole przytulnego żeleźnioka, pykał ulubiona fajka i od czasu do czasu dosypywał do piecyka węgiel, jako że zawierucha szalała na dworze, a wiaterek szarpoł oknami i piskoł w kominie. Po chwili skrzypnęły dźwierze i do izby weszła Drzystońka trzęsąc się z zimna. Siadła se przy starym, kole żeleźnioczka i grzała zziębnięte ręce. Drzystoń przez chwilę spoglądał spode łba na swoją połowicę i wreszcie zapytał: - Cóżes ty, matka, tako na-bańdurzono? Wyglądosz, jakby ci kocur zdechnał...

- Jeszce się głupio pytej, aż pytej. Toć ciebie tam nic nie przejmuje, przy ciepłym żeleźnioku i smędzącej fajfke - świata nie widzisz... Spytałbyś się lepiej, czy nasze kozy bydom miały co zryć? Zima za niedługo, a siana coraz to maniej... Nie bydzie, bratku, rady, ino bydymy musieli nasze koźlątko zarżnąć, inaczej futra nie styknie lo kóz...

Słyszając to Drzystoń o mało nie zleciał ze stołka, otwarł gęba i o mało byłaby z niej wypadła fajfka... Zgłupiał. Po chwili mówi, pełen oburzenia:

- Czego? Koźlątko zarżnąć? Tyś, wierzą, łopypciała, abo co. Nie bydzie z tego nic... A dyć bych wolał wyciepnąć swoja fajfka i już nie kurzyć więcej... dzisz ją, rajcula diosecko.

- Nie kidej żurem, stary, nie kłyć, bo się to i tak na nic nie przido. Chyba nie bydziesz chcioł, żeby nom kozy z głodu pozdychały, co? Koźlątko musi pójść na pieczonka, inkszej rady nie ma i już...

Drzystoń siedział jakby mokro kura, zapomniol blank o żeleźnioku i ulubionej fajfke, oczy wlepił w piecyk i dumał. Naroz rozjaśniło mu się zachmurzone łoblicze i zawyrokował poważnie:

- Słuchej, matka, koźlątko nie pódzie pod nóż! Wiem już, co zrobia...

- A co to chcesz zrobić? - pyta zaciekawiono żona.

- Co? Ano wezmą se koźle na dół do kopalni, siana mamy tam za tela, i tam się stworzonko bydzie chowało, dopóki zaś lepsze nie nastaną czasy...

Zrobił tak, jak postanowił. Idąc wczas rano na szychta, wpakował koźlątko do górniczej torby i zjechał z nim do swoich koni. W komórce, gdzie przechowywano obrok i siano, zmajstrował w kąciku zagrodę i tam ulokował swojego ulubieńca, zamykając go każdorazowo po skończonej szychcie. W ciągu dnia brykał sobie koziołeczek po całej stajni, zaprzyjaźnił się z końmi i pomagał im chrupać owies i smakowite sianko.

Minęło kilkanaście tygodni, a z koziołeczka wyrósł potężny, okazały kozioł, zdobny w potężne rogi i wspaniała brodę. Rzecz prosta, że o tym niedozwolonym przychówku kopalnianym wiedziało zaledwie kilku zaprzyjaźnionych z koniarzem górników i ściśle dochowywali tajemnicy.

Któregoś dnia odbywało się w osiedlu kopalnianym weselisko. Uczestniczyło w tej uroczystości także kilku szleprów-ładowaczy. Chłopcy popijali i tańczyli przez caluśki dzień. Niestety, kiedy nadszedł wieczór, musieli wielce markotni opuścić rozbawioną kompanię i pośpieszyć, by po przebraniu się zdążyć na nocną szychtę, której zmitrężyć nie mogli.

Przyszedłszy na kopalnię pogodzili się z losem, tym łatwiej, że humoru nie utracili, przeciwnie, podtrzymywały go słodczyce, sączone z licznych na weselu kieliszków.

Kiedy po drabinach zeszli na podszybie i tak zwaną sztreką zdążali ku swoim filarom, swawola szleperska zaczęła ich rozbierać.

Krocząc ciemnym gankiem, oświetlonym tylko ich słabymi lampkami, przygadywali sobie nawzajem lub też wyśpiewywali wesołe, górnicze piosenki. Najgłośniejszym z nich był Zeflik Kulok, zawalidroga jakich mało... On też zaczął się wydzierać na cały głos:

- Chłopcy! - wiecie, chciołbych tak roz na żywe łocy łobejrzyć tego pierona Skarbnika!... telach już ło nim słyszał łod naszych starych bergmanów, a tego diobła jak nie widać, tak nie widać... Towarzyszący tym słowom rechot snopłoków rozlegał się po całej kopalni.

- Pokoź nom się, ty stary dioble, a tedy dziepiero uwierzymy w twoje istnienie... - Drwiące słowa szleprów rozlegają się po gankach i sztolniach, Skarbnik jednakże nie ukazuje się.

Po chwili minęli końską stajnię, w której stary Drzyston zaopatrywał żłoby swoich pupilów w świeże siano, zaś jego koziołek brykał i rozbawiał swojego pana. Capek usłyszawszy głos, podskoczył w kierunku furty stajennej, a widząc, że nie domknięta, pobiegł za rozbisurmanionymi szleprami, których światełka wskazywały mu kierunek.

Chłopczyska, rozbrykani coraz więcej, wyprawiali niesamowite harce, nie wyczuwając grozy, która się do nich przybliżała.

Tymczasem w koziołku odezwała się rogata dusza. Biorąc widocznie zbyt głośne słowa szleprów za prowokację, skoczył na tylne nogi i stanął w postawie bojowej. Schyliwszy łeb, jak błyskawica dał susa i swoimi rogami poczęstował Zeflika Kuloka w samo siedzenie...

Zeflik, jak długi, wyciągnął się na ziemi, a niemało przestraszony ryczoł, jakby go obdzierano ze skóry.

Koledzy, zaskoczeni tym wypadkiem, przystanęli, a rozglądając się, struchleli... Naprzeciwko ujrzeni czarnego, rogatego diabła z fosforyzującymi ślipiami, który nachyliwszy się, prychnął, szykował się do nowego ciosu.

W szleprów jakby piorun strzelił. Włosiska stanęły im dębem na łbach, a zdławionymi ze strachu głosami zaczęli się wydzierać:

- Chłopcy!... pierona... dioboł!... Uciekejmy co sił!...

I roz dwa, wzięli nogi za pas i wiali, aż się za nimi kurzyło...

Drzystoń, zwabiony krzykiem, pokuszył się zaniepokojony na sztrekę, a zobaczywszy swojego urwisza kozła, od razu zorientował się w sytuacji... Dopadłszy hultaja, złapał go za rogi, powłókł do stajni i bez złości poklepał zwierzątko po kudłatym łebie, śmiejąc się przy tym do rozpuku. Rozbrykani szleprzy otrzymali zasłużoną naukę...

Kiedy się to wydarzenie rozniosło, całe osiedle górnicze aż trzęsło się od bajek i niesamowitych plotek. Wszyscy wierzyli w prawdziwość tej straszliwej, piekielnej zjawy. Dopiero po tygodniach rzecz się wyjaśniła. Drzystońka, wtajemniczona przez swojego starego w prawdziwy stan rzeczy, opowiedziała w tajemnicy swojej sąsiadce całe to zabawne zdarzenie. Ta powtórzyła go innym babom, i tak się dowiedziało o wszystkim całe osiedle.

Zaśmiewali się wszyscy i dworowali sobie ze szlep-rów i ich głupoty. Wreszcie, borocy, nie chcąc się dłużej wystawiać na drwiny, strzelili któregoś dnia robotą i poszli takowej szukać na innych kopalniach.

W końcu jednak i kozioł, który tak niewyuczenie odegrał rolę straszliwego diabła, musiał się wykludzić z podziemia kopalni i chwycić się na powierzchni roboty do kierej go matka-natura przeznaczyła.

## **20. Ło banie i baniorzach**

W pociągu do Krakowa, w przedziale trzeciej klasy siedzi dwóch panów i jedna pani. Kiedy pociąg dojeżdża do Szczakowej, pyta jeden pan drugiego:

- Prze...e...e...pra...a...szam, k...k...która te... te... raz go... o... go... godzina? - Zapytany milczy jak zaklęty.

Po pewnym czasie pierwszy pan znowu powtarza pytanie:

- Która go...o...o...dzina? Zapytany nic - milczy. Wtedy pani, oburzona tą niegrzecznością współpasażera odpowiada:

- Teraz jest za 15 minut dziesiąta.

- Dzię...ę...ę...ku...ku...ję pani.

Pociąg zatrzymuje się w Trzebini i jakający się pan wysiada z pociągu. Podczas dalszej jazdy pyta pani tego drugiego pana, dlaczego nie odpowiedział na pytanie o godzinę.

- Na to odpowiada drugi:

- Pro...o...o...szę pa...pa...ni nie...e...ma głu...głu...pich, żebych w py...y...sk dostość?

Wiesz, Hanys, ten siafner to mi się w kupeju tak porząd rzygladoł, jakbych nie miał biletu.

- No, a tyś co zrobił?

- Jo? Nic. Tyzech się dziwoł na niego tak, jakbych miał bilet.

Przepisy PKP dla podróżujących:

1. Chto chce jechać kolejom - ten musi mieć bilet. Bilet kupuje się przy kasie za pieniądze, aż do tego miejsca, kaj się chce jechać. Chto jechać nie chce - może biletu nie kupować.

2. Naczelnik stacyi abo zawiadowca jest lód tego, coby kozoł trabić abo tyż żeby piskoł. Poznać go idzie po czerwonej czapce, takim samym nosie i zaspanej minie.

3. Do pociągu wsiodo się bez drzwiczki i wysiodo się tom samom drogom. Jednocześnie do Krakowa i Bytomia wyjechać nie idzie.

4. Kierunek jazdy wybiero se som podróżny. Dozwolono mu jest na ten przykład z Bytomia do Sosnowca jechać bez Wrocław.

5. Dzieci płacą pół biletu. Panny po 30 latach za dzieci uważać nie idzie, choćby były małe i bardzo głupie.
6. Siafner, czyli konduktor, jest to taki urzędnik, który robi dziurki.
7. Chto mo bilet wolnej jazdy, ten płacić nie potrzebuje - chyba że się koniecznie uprze.
8. Do kupeju można zabierać ino meńsze tłumoczki, przez co żony zabierać nie wolno.
9. Jeśli podróżny chce ździebko użyć ruchu, wolno mu lecieć za pociągiem.
10. Jeśli się pociąg wykołei, to mu tego nie śmiesz brać za złe, bo przeca koń mo śtyry nogi, tyż się potknie.
11. Jak pociąg jest w polnym biegu, wtedy do knajpy wstępować nie można.
12. Pociągów przez letnie miesiące się nie łogrzywo.
13. Za nieudane napady miłosne dyrekcje nie łod-powiadajom.
14. Pociągi nadchodzą w rozmaitych godzinach z rozmaitych stacyj.
15. Za jodło i picie w restauracjach kolejowych musi się płacić.
16. Używać firanek wagonowych na pieluchy lo dziecek nie wolno.
17. Polowanie i strzylanie w wagonach jest niedozwolone, za wyjątkiem niesrogiej nagonki na gęsi. Dań w Cyganowicach 1933 r. DOKP

Na pewnej małej stacyjce na Śląsku pociąg pośpieszny zatrzymuje się tylko minutę. Do kierownika pociągu podbiega Richard Musioł, który bładny wypadł z wagonu i prosi o pięciominutowy postój, ponieważ ma boleści i musi wyjść, a w wagonie nie ma potrzebnej ku temu ubikacji.

Na to oświadcza kierownik pociągu, że się pod żadnym warunkiem nie może na to zgodzić i pociąg zaraz musi odjeżdżać.

- No, to bydymy widzieć, cy bydzie cekoł, cy nie bydzie - odpowiada Musioł.

- No, zobaczymy - skrzeczy grubelacko kierownik i daje znak do odjazdu pociągu.

Ale pociąg nie rusza.

Wpada więc z pyskiem do maszyny i pyta maszynisty, dlaczego nie jedzie. Na to maszynista:

Bo nie mogą, panie kierowniku, tam przed maszyną siedzi jakiś pieron.

Na małej stacyjce kolejowej w górach wyłazi z pociągu jakiś panoczek, rudy jak nie przymierzając beca i łozgląda się, cy ni ma kaj furmanki. Przed dworcem stoi jakoś furka zaprzężnięto w jednego chudego konia.

- Gospodarzu, znocie to Chodakówka? - pyta rubas furmana.

- Znom panocku, co bych nie znoł, bydzie stąd mila drogi.

- To mnie tam może zawieziecie? Furmon patrzy na rubasa, potem na swojego biednego konia i dropie się po głowie.

- No, czegóż się namysłacie? Jedźcie, jo wom dobrze zapłaca!

- No ja, ja, panocku, wszystko pięknie, ino droga, wiedzom jest ciężko i nie wiem, cy jo ich na jeden roz zabiera.

Stacja kolejowa na Śląsku. Pociąg ma ruszyć za chwila. Konduktor leci wzdłuż wagonów i zawiera z trzaskiem drzwi. Jeden miglanc, siedzący w wagonie, chce konduktora zrobić za błozna, wkłodo więc między drzwi skórzany pasek od szyby. Konduktor podchodzi, chyto za klamka i z trzaskiem zawiera dzwierz.

- Trach! - Drzwi łodskakujom nazod.

- Pozór! - skrzeczy konduktor i zatrzaskuje dzwierz.

- Trrrach!... - Dzwierz zaś łodskakujom.

Co jest, do pierona?! Może tak weźmiecie te swoje palcysko, co?!

W pociągu do Bielska siedzi se jakiś miglanc i czyto gazetę. Na pewnej stacji wchodzi do tego przedziału jakiś drugi pasażer, który się jąka. Gdy tylko pociąg ruszył, zwraca się jąkała do czytającego gazetę pasażera:

- Prze...e...e...e...bocom, pa...a... nocku, ka... a...a...j łoni ja...a...da?

Zapytany odpowiada z ironicznym uśmiechem:

- Do Wiednia. Jąkała

- Dzie...ę...ę...kuja im piknie. Po paru minutach jąkała widać chce ze współpasażerem nawiązać dłuższą pogawędkę, bo pyta:

- A...a...a prze...e...bo...bocom, a...a po...o co e... łoni ta... a...m ja...ja...dom?

Pierwszy pasażer, już trochę poirytowany pytaniem, odpowiada:

- Ano, jadę ożenić się! Jąkała:

- Dzie...ę...ę...kuja im pi...i...yknie.

Po pewnym czasie jąkała znów pyta:

- A...a...a... prze...e...bocom, a... a... a z kim się to ch...ch...chcom ło...ło...żenić?

- Aż kwadratową małpą - odpowiada wściekle nasz miglanc, sądząc, że się nareszcie uwolni od rozmowy.

- Dzie...ę...kuja im - powiada poważnie jąkała. Po chwili szykując się do wyjścia pyta:

- Prze...e...bocom pa...a...nocku, cy...cy to by...y...dzie ży...y...niacka za indultem ło...łod biskupa?

- A na kiego diobła - pyta zdziwiony pasażer.

- A... a dyć wi... i... dzom k... k... kwa... a... a... dra... towo ma... a... łupica z k... k... kwa... a... dratową małupicą to... to... ba... a... rdzo bliskie po... o... krewieństwo - odpowiada jąkała, wysiadając z zatrzymującego się właśnie pociągu.

Przez Imielin mieli budować kolej.

Miernicy więc wytyczali teren i między innymi zaszli do jednego gospodarza, przez którego posiadłość miał przechodzić tor i to akurat przez stodołę. Tłumaczą więc niechętnemu siodłokowi, jaka to korzyść będzie miała dla wioski taka linia kolejowa i że powinien być dumny, że właśnie przez jego podwórze pójdzie ten tor.

Na to gospodarz:

- A cóż se to myślom, iż jo nic nie byda robił, ino dło tej waszej kolei wrota od stodoły otwieroł i zawieroł!



W pociągu.

- Nie mo kto z państwa przy sobie trocha wódki. Tam w przedziale zemdlala jakoś starszo pani!

Momentalnie otrzymał dwie pełne butelki. Nie namyślając się, w okamgnieniu wychyla jedną flaszkę po drugiej.

- Co pan robi! - wołają oburzeni ofiarodawcy.

No, ja, moi państwo, widzicie, mię się zarozki robi niedobrze, kiej widza, jak tako staro i biedno niewiasta mdleje, toż pija na jeji zdrowie!

Na dworcu w Mysłowicach w poczekalni jakiś jegomość loto jak głupi tam i z powrotem. Widzi to jeden karlus i pyto, co się takiego stało.

- A boch chcioł jechać do Rybnika i dwie minuty prziszolech za nieskoro. Pociąg mi uciekł.

Ło, wielkie rzeczy - pado karlus - joch ło pół godziny przyszolech za nieskoro, a nic se z tego nie robia.

Dwóch podróżnych opuszcza na stacji wagon restauracyjny.

- Widzioeś - pado jeden do drugiego - jakie te gizdy maja ceny? Za głupio pora wurstlików tyła żądają pieniędzy. Pan Bóg ich powinien ukorać!

- Już ich ukoroł - powiada drugi.

- O, dziwej się! - mówiac to, wyciąga z kabzy dwie łyżeczki.

Nikt się tak nie poradzi przejąc cierpieniem bliźniego, jak pan mecenas Ziółko. Kiejsik jechoł śtrasbanką i zaczon se łozprowiac z konduktorem, czyli siafnerem,

- Ciężkie terozki momy czasy, prawda?

- Oj, ja, ciężkie, niech to diosi porwia. Te nasze basoki z dyrekcyjje co roz to rabsze, a my biedoki ledwo wyżyć poradzimy. Cłowiek siedzi zadłużony, bo te pora feników, co dajom na miesiac, nie stykną ani na trocha żarcio. Calutki dzień uganio się cłowiek w tej przejętej bańce, już nożysków nie czują, a tam w doma mi babsko porząd choruje, a na dodatek cworo mom małych żarłoków. Ja, ja, panocku, nie lekko mom na świecie, aże nie...

Panu Ziółko aże się serce kraje z litości i współczucie.

Bożycku kochany - pado - co tyż to, borocku, gadajom. A dyć dajom mi sam jeszcze jeden bilet.

Jakiś wieśniak, jadąc koleją, musioł przesiadać i czekać dłuższy czas na stacji na następny pociąg. Łazi se więc po peronie, aż stanął przed pewnym domkiem i czyto: "Dla panów". "Dla pań".

Chycił się więc za gowa i pado:

Dzisz pieronie, dlo panów jest, dlo pań też, a ty biedny chłopie kaj - do galot chyba?

Rzecz dzieje się na jednej stacji na Śląsku. Kierownik ruchu daje znak do odjazdu pociągu. Pociąg rusza, a wtem wpada na peron

czterech spóźnionych pasażerów, spoconych i zziębniętych. Dopadają ostatniego wagonu i usiłują dostać się do wnętrza.

Kierownik ruchu (jakieś dobre widać człeczysko) pomaga spóźnionym w dostaniu się do przedziału. Trzech udało się ulokować, czwarty niestety musiał zostać, jako że pociąg za dużą już rozwinął szybkość. Nieszczęśnik, zostawszy na peronie, usiadł na walizie i zaczął lamentować.

Podchodzi do niego kierownik ruchu, uspokaja go i pociesza, że przecież nic się takiego nie stało, że pojedzie sobie następnym pociągiem, który idzie w nocy.

Tak, w nocy, dobrze panu mówić! Przeca to joch miał jechać tym pociągiem, boch się dzisiaj miał stawić do wojska - a ci trzej, co pojechali, to mię sam ino przyszli łodprowadzić...

Jakaś wymalowana i wyfiokowana jejmość, do tego stara i brzydka, siedząc sama w przedziale prosi konduktora, ażeby nikogo nie wpuszczał do niej.

Tego ja zrobić nie mogę, proszę pani! - odpowiada grzeczny konduktor - ale poradzę pani coś innego. Niech pani na każdej stacji stanie w oknie przedziału, a ręczę, że tu ani diabeł nie wejdzie...

W przedziale kolejowym siedzi na ławce jakiś chłopiec, któremu z nosa porząd wychodzi duży snopel. Jakiś starszy jegomość, którego ten nie bardzo przyjemny widok drażni, zapytuje:

- Te, mały, nie mosz to chusteczki do nosa?
- Dyć mom - odpowiada synek - ale im nie pożyczca.

W wagonie trzeciej klasy pociągu pośpiesznego z Katowic do Warszawy jedzie se jakiś dwóch młodych panoczków. W kąciku siedzi jakiś starszy człowieczyna, porządnie łoblecony, z gęby widać, że to jakiś nasz pocziwy Ślązak. Z rozmowy, jaka się nawiązało, okazało się że jegomość ten jedzie na posłuchanie do ministra, jako że wyrządzili mu sam kiejs jakosik krzywda.

Panoczkowie, kierzi chcom sobie z naszego pocziwca zakpić, zaczynajom tajemniczo między sobą łozprowiać, a łozmowa ich wyglądo tak, jakby dobrze znali ministra, bo są w biurze ministerialnym urzędnikami.

Nasz chłopiek zainteresowany tą łozmowa, przysuwa się ku tym panoczkom i pyto jednego:

- Przebocom, panocku, cy łoni nie mogliby mi pedzieć, cem łoni to som u pana ministra?
- Jo? - pado miglanc - joch jest prawo ręka łod ministra...
- Aha, no a łoni, panocku? - pyto się chłopiek drugiego.
- Joch jest lewo ręka łod ministra - odpowiaodo zapytany.
- Toż tak - pado nasz chłopiek, kiery poznoł, iż ci dwaj robiom z niego błozna. Po chwili pyta więc:
- Przebocom, panoczkowie, a nie mogliby mi łoni też tak pedzieć, kierom se tyż rękom pon minister zadek łobcierajom?

Zefla Kopyciok, gdowa, dała swa cera Monika na nauka do szwocki do miasta. Kiejś biere gazyto i czyto, że strasbanka przejechała jakiegoś synka. Kopyciocka zacyno płakać i lamentować:

- Ło Bożycku, mój Bożycku, wierzą to moje dziecko na śmierć mi przejechali i cóż jo borocka byda terozki robić bez mojej Moniki?  
 - Ale pani Kopyciok - pado do niej somsiadka - przeca tam piszą w tym cajtungu, że ta strasbanka przejechała synka, a nie dziołcha. Ja, bogać tam synka, a cy to tako bańka poradzi łozróżnić co synek, a co dziołcha?

W wagonie trzeciej klasy jadącego pociągu siedzą dwie panie i jeden pan.

- Proszę pana - mówi jedna - proszę natychmiast zamknąć okno, bo inaczej zaziębię się na śmierć!

- Mój szanowny panie - mówi druga - proszę zaraz otworzyć okno, bo się w tym powietrzu uduszę!

Ów pan, nie mogąc dać sobie rady, woła konduktora stojącego w korytarzu, przysłuchującego się tej awanturze i mówi do niego:

- Panie konduktorze, proszę radzić, co ja mam począć z tymi paniami?

- Ano, jo im powia, to jest blank proste! Noprzód niech to łokno łotworzom, to umrze ta jedna! Zaś potym niech to łokno zawrzom, to się ta druga udusi! A potym to bydom mieli święty spokój.

Pewien dygnitarz ciężkiego przemysłu wybrał się kiedyś nocnym pośpiesznym do Warszawy. Celem jego podróży była Łódź, zaś łącznikową stacją Koluszki, gdzie trzeba było się przesiadać. Ponieważ czuł się bardzo zmęczony, prosił konduktora, któremu wsunął do ręki okazały napiwek, ażeby go w Koluszkach na czas obudził. Ponieważ jednak należy do gatunku śpiochów, których trudno jest obudzić, więc prosił, żeby nie robił sobie z nim zachodu i po prostu siłą wyekspediował go z pociągu na peron. Grzeczny konduktor zasalutował i z uśmiechem zapewnił, że postąpi w myśl życzenia.

Rano, pociąg wjeżdża na peron dworca w Warszawie. Konduktorzy nawołują: "Wszystko wysiadać!"

Naraz przy jednym z wagonów wytwarza się arabska awantura, mianowicie - jakiś starszy jegomość wymyśla konduktorowi, używając słów bardzo nieparlamentarnych.

- Łajdak z pana, a żaden urzędnik! Oszust i cygan! Ja pana nauczę rozumu!... itp.

Robi się coraz większe zbiegowisko. Wreszcie podchodzi do konduktora jego kolega po fachu i mówi:

- Słuchej no, Francik, jak se to możesz dać spodobać jako urzędnik państwowy, żeby cię taki soroń tak szpetnie poniewierzył, dyć to aże wstydy!...

- Cego to padosz, szpetnie? To jeszce nic, pieronie, to byś dziepiero tego był musioł słyszeć - coch go wyciep z wagonu w Koluszkach!...

Jakiś tatulek z mamulką i swoim pięcioletnim Karlickiem jada pociągiem do Pszczyny, w odwiedzinach do wujostwa. Karlik stoi koło otwartego okna, przez które wciąż wychyla głowę. Tatuś napomina parokrotnie malca, ażeby tego nie robił, gdyż inaczej wiatr porwie mu kapelusz. Karlik jednak nie zważa na napomnienia ojca i robi swoje. W pewnym momencie tatuś błyskawicznie zrywa chłopcu kapelusz i chowa go poza siebie. Karliczek, przerażony utratą kapelusza, zaczyna niemiłosiernie płakać. Tatuś, któremu żal się zrobiło synalka, uspokaja go mówiąc:

- Dyc nie płacz, Karliczku, bo wszystko bydzie dobrze. Zawrzij oczy a jo gwizdną i razym kapelusz przifurgnie nazod!

Karliczek zrobił, jak mu tatulek poradził i ani się spostrzegł, kiedy się jego kapelusz znalazł na głowie...

Po tym zajściu wdał się tatuś w pogawędkę z mamusią. Karliczek niespodziewanie ściągnął tatusiowi kapelusz z głowy i wyrzucił go przez okno. Starego o mało szlag nie trafił.

- Coś to zrobił, ty diobli najduchu? A na to Karliczek: Tatulku, jo chcą, żebyście jeszcze roz zagwizdali!...

Urzędnik ruchu na stacji kolejowej w Gliwicach daje polecenie nowo przyjętemu pracownikowi:

- Macie tu bańkę oliwy, pójdziecie za tymi szynami i nasmarujecie każdą napotkaną po drodze zwrotnicę kilku kroplami tej cieczy...

Po trzech tygodniach nadszedł do urzędu ruchu telegram tej treści: "Jestem we Wrocławiu. Przysłać oliwy!"

Na jednej z mniejszych stacji kolejowych, na linii Bielsko-Zwardoń, stoi na peronie, jak zwykle ku wygodzie pasażerów, domeczek z napisem: "Ustępy". Drzwi jednak do jedynej ubikacji są zamknięte na klucz, co potwierdza kartka, przytwierdzona do nich pluskiewkami, z taką oto adnotacją:

- Klucz znajduje się u zawiadowcy stacji!

Jakiś dowcipny pasażer dopisał na kartce następującą uwagę: "W razie nagłej potrzeby zwrócić się do Dyrekcji PKP w Katowicach".

Do przedziału drugiej klasy wchodzi jegomość, który ma bilet do trzeciej. Naprzeciw niego usiadł jakiś pan. Kiedy pociąg ruszył, przelatuje samolot. Ów pan, widząc to przez okno, mówi do współtowarzysza:

- No, panie, niedługo, a my tak polecimy!...

Po jakimu? - mówi zagadnięty i po cichutku dodaje - Czy łoni panoczku też mają bilet trzeciej klasy?...

W jadącym, bardzo zapchanym tramwaju, siedzi jakiś pasażer, który stale kurczowo zamyka oczy. Zapytany przez siedzącego obok, dlaczego to czyni, odpowiedział:

- Ja, wie pan, bardzo mam czułe serce, nie znoszę widoku tyłu stojących kobiet, gdy my mężczyźni siedzimy...

Konduktor do pasażera:

- Bedzie pan musioŁ do biletu dopłacić! To jest pociąg pośpieszny, a pon mo bilet na pociąg osobowy!

Pasażer:

O, wielkie rzeczy! To niech przykażą maszyniście, żeby wolniej jechał, bo ja mam czas!

Na dworzec wpada zadyszany jegomość.

- Obywatelu! - pyta urzędnika od informacji - czy złapię jeszcze pociąg do Krakowa?

Urzędnik: - Możliwe! Niech obywatel spróbuje, pociąg odszedł pięć minut temu!

Zarząd Śląskich Linii Tramwajowych wydał (celem usprawnienia ruchu) zarządzenie, że do wozów tramwajowych wsiadać się powinno tylną platformą, zaś wychodzić przednią.

Na przystanku tramwajowym tłok. Jakiś starszy obywatel tarabani się do wagonu, ale przednią platformą. Robi się raban, podchodzi konduktorka, chwyta pasażera za kabot i mówi:

- Hej, ociec! Zadkiem się wchodzi do wozu! A na to obywatel:

- Cego to padajom?

- Padom, że zadkiem musicie wleść! Rozumiecie? Pasażer odwraca się i wchodząc do wozu tyłem po stopniach, lamentuje:

- Ło Boże, mój Boże! - co to terazki ci ludzie wyrobiam? Bez śtyrdzieści lot jeżdżą tramwajami i wdyckich właził do nich przodkiem, a terazki na stare lata kożom mi zadkiem włazić.

### **21.Ło dochtorach, apykorzach i jeich łofiarach**

W jednym z naszych uzdrowisk, pewien lekarz zaordynował pacjentowi, którego zbadał, następującą kurację:

- Rano wypije pan na czczo trzy kubki naszego "Żubra", zaś w ciągu dnia wypali pan najwyżej trzy papierosy. Po trzech dniach proszę się znów zjawić u mnie.

Po oznaczonym terminie, pyta lekarz pacjenta:

- No, jakżeż panu służy kuracja?

- Panie doktorze - odpowiada pacjent - wszystko byłoby dobrze, tylko po tych papierosach mam straszne mdłości...

- Co pan mówi, po papierosach?

- No tak, panie doktorze, bo ja jeszcze w swoim życiu nie paliłem!

Francik Kotyrba mocno przeziębiony poszoł do dochtora. Dochtór zapisoł mu środki przeciw kucaniu, czyli kaszlowi, który Kotyrbie strasznie dokuczoł. Na nieszczęście w aptece zamieniono lekarstwa i nasz Francik dostoł medycynę przeciw obstrukcji, przepisana jakimuś choremu. Po pewnym czasie spotyka nasz dochtór Kotyrbę na ulicy i pyta:

- Jakoś tam, panie Kotyrba, jeszcze to kucają?

A mom to łodwaga, panie dochtór, dyć jak kucną, to zarozki potom musza zeblykać galoty.

Panie dochtór, kiedy mię tak genau łobszukali, nie robiom mi strachu, ale pedzom tak brewider, co mi brakuje?

- No, jeżeli mam być szczery, to im powiem, że im nic nie brakuje, tylko gnojek są i leń ich trapi!

Toż dziękują im pięknie, panie dochtór, i proszą ich, żeby mi pedzieli, jak się lyn po łacinie nazywo, żebych mógł mojej pedzieć, na co chorują.

- No i jakoż się tam czują, panie Stękała - pyta dochtór pacjenta.

- A jakoś nie lepiej, panie dochtór.

- Braliście lekarstwo?

- A dyciech broł.

- A dieta? Czyście usłuchali mojej rady? Padołech wom, że mocie jeść takie jodło, kiere je trzyletnie dziecko?

No dyc, panie dochtór, jodech, jak mi padali. Dzisiokoch zjod dwa knefle, kęs papieru, ździebko mydła i kęs wągło, ale mi jakoś nie pomogło.

Do urzędu stanu cywilnego przychodzi Hanys Grychutla i zgłasza zgon swojej żony Marty.

- Jakiego lekarza miała jeich kobieta? - pyta urzędnik.

- A żodnego, sama, wiedzom, umarła.

W nocy ło trzeciej godzinie jakiś ślimok zwoni tak przed japyką, że ło małowiela dzwonka nie urwie. Po jakichś dziesięciu minutach łotwiero łoszczochrany japykorz łokienko i zły jak sto diobłów, pyto:

- Czego tam chcecie?

- Bydom tacy dobrzy, panocku, dajom mi cosik na morzysko, bo mię tak bas boli, że nie mogą spać.

- To niesłychane - przezywo japykorz. - Skiż takiego głupstwa budzić mię w nocy, miast wziąć ciepłej wody, kiero by to samo zrobiła!

Ja, padajom? Toż dziękują im pięknie za dobro rada, wezna se ciepłej wody. Dobranoc!

Pewien lekarz odwiedziwszy chorego w domu, po zbadaniu, jak zwykle, napisał receptę. Z braku bibuły, chcąc prędko osuszyć atrament, zeskrobał ze ściany trochę wapna, posypał po piśmie, podaje receptę choremu i mówi:

- To lekarstwo będziecie używali co godzina, dobrze?

Za kilka dni przychodzi znowu lekarz i pyta:

- No, jak tam, lekarstwo poskutkowało? Używaliście go?

No, ale panie dochtór podziwiają se, dyc już całe ściany zedrzyte, a nic mi nie pomogło.

- No, jakoż tam, panie Mizerok, po wczorajszym lekarstwie? Lepiej?

- A lepiej, panie dochtór.

- No widzicie, ja zaraz wiedziałem, że to lekarstwo pomoże.

- No ja, panie dochtór, ale wiedzom, jo jeszcze ta recepta nie zaniósł do japyki.

Nic nie szkodzi, moi kochani... Łonym pomogła już sama moja recepta, nawet bez lekarstwa.

W Mysłowicach lekarz spotyka na drodze żonę pewnego biednego chorego, którego ma w opiece lekarskiej, i pyta:

- Jakże się miewa pani mąż?

- A dyć dziękują, panie dochtór, już mu trocha lepiej. Pojod se dzisiok już trocha kartofli!

- A czy z apetytem? - pyta lekarz.

Nie, proszą pana dochtora, jeno z kapustą!

- Kiej pon dochtór moja staro łobejrzeli, to łobejrzą tyż moja krowa i pedzą, co jej jest!

- Mocie ciasno w gowie, mój człowieku, przeca jo nie weterynorz...

- Panie dochtór, dyć to je za jedno, krowa się na tym nie pozno.

Do pewnego lekarza przychodzi bardzo chudy pacjent.

- Co panu jest? - pyta lekarz.

- Panie dochtorze, już od trzech dni nie mogą nic jeść!

- Hm! Ano zapiszę panu środek, który zaraz wzmoże panu apetyt.

- To zbytteczne, panie dochtorze, apetyt to jo mom, brak mi jeno jedzynio.

Doktor:

- Nim pana zbadam, proszę mi powiedzieć, czy pan pije?

Dziękuję za uprzejmość, panie doktorze, jeśli wolno prosić, to kieliszek czystej wyborowej

- Panie dochtorze, teraz, kiedy mię tak dokładnie podszukali, proszą mi pedzieć, jak długo jo mogą mniej więcej żyć?

- Ile pan ma lat?

- Dwa śtyrdzieści.

- Czy pan pije?

- Nie!

- Czy pan pali?

- Ale kaj tam!

- Kobietki pan lubi?

- Nie!

- Grywa pan w karty?

- Nie poradzą!

- No człowieku, to na jakiego diabła chcecie jeszcze dłużej żyć?

Lekarz: - No jakoż tam, panie Stękok, zażyli całe pudełko tych pigułek, com im zapisał?

Stękok: - Tak, panie dochtór, cołkie.

Lekarz: - No i jak się czujecie po nich?

Stękok: - A nie bardzo, panie dochtór, musiał się, wierzą, jeszcze nie łotworzyć w żołądku.

- Widzicie ujku, przetrzymaliście choróbsko winszują, niebezpieczeństwo minyło.

- O jeszcze, jeszcze nie minyło mój synku... Dochtór pedzioł, iż jesce roz do mnie przyjdzie.

- Człowieku, przeciech im ino pozwolił kurzyć przez dzień cztery cygarety, a tu widza, że przez pół godziny wykurzyli sześć!

- Ja, dyć prawda, panie dochtorze, ale dwie cygarety to kozoł mi kurzyć jeich kolega.

Jeden z naszych lekarzy pojechał raz w odwiedziny do kolegi, który był lekarzem w szpitalu dla obłąkanych w Rybniku. Po obiedzie prosi kolegę, by mógł w jego towarzystwie zwiedzić zakład. Przychodzą więc między innymi do celi, gdzie siedzi pewien chory trzymający laleczkę, którą ustawicznie przyciska do piersi, całuje i gorzko płacze. Na pytanie, jaki może być powód choroby, dowiaduje się, że nieszczęśliwy ten zakochał się w pewnej panience, która wzgardziła jego miłością i wyszła za mąż za innego. Zawód ten nieszczęśliwy tak sobie wziął do serca, że oszalał.

W następnej zaś celi ujrzał nasz doktor chorego, który ustawicznie bił głową o mur, krzycząc:

- O idioto! - Idioto!

Na pytanie, co mu się stało - odpowiada lekarz:

- To widzisz jest ten, co się z panną tego poprzedniego ożenił!

Zeflik Tyrpała łoduldoł się kiejs porządnie, no i lezac po schodach na trzeci sztok do swojego mieszkania, zamiast do dźwierzy wloz do łotwartego łokna, a i spod na podwórze, ale tak szczęśliwie, że se nic nie zrobił. Przyjechoł wóz ratunkowy, no i zabrali biednego Zeflika do lazaretu. Tam dochtór, kiery go łopatrzył, pyto go, jakie miał ucucie, kiejs lecioł nadół?

- Jakie ucucie? - pado Zeflik - a dyć żodne!

- No ale - pyto dochtór - musieliście przeca ło cymś myśleć, lezac z takiej wysokości.

- Ja, toż tak... No wiedzom, jakech już był wel drugiego sztoka, toch się dziwował, czamu to w izbie Musiolicki tak nieskoro się jeszce świeci.

- Panie dochtór, bydom tacy dobrzi i doradzon co robić, aby mój stary tyla we śpiku nie godoł.

- Jo im powiem, pani Klycino, niech mu dajon bez dzień dojsć do słowa, to nie bydzie godoł, ja śpi.

Doktor do pacjenta, którego badał.

- Łoni mają zapalenie śledziony.

- Ja, padajom? A mogom mieć recht, panie dochtór. Moja staro to mnie łostatnio jeny śledziami futrowała.

Roz w jednym kafeju siedzieli se przy stoliku lekarz



łód zwierząt, czyli weterynarz, no i dochtór medycyny, taki co to łoporządzo ludzi, no i sprzecali się kiery z nich jest pożyteczniejszy i kieremu się noleži w nauce pierszyństwo.

Weterynarz padoł: - To nie jest sztuka wylecyć cłowieka, jak ten ci powie, kaj go boli, abo żgo. Mię widzisz krowa tego nie powie. Dochtór medecyny dowodził inakszej i posprzeczali się festelnie. Nie mogąc się wzajemnie przekonać, postanowili pocekać, aż się kiejs jakoś inksza ku temu przinależytość przitrefi. Nie czekali długo. Kiejs zachorował weterynarz i poprosił ku sobie swojego kolegę, owego dochtora medecyny. Ten go tak zwyczajnie łobmacoł, łobsłuchoł, łobklupoł i wreszcie pytoł, kaj go boli.

- Ja, kaj mię boli - pado weterynarz - zgadnij som, kiejs taki mądry. Mię też tego zwierza nie powie.

Dochtór niewiela myślać, siodł i napisoł recepta. Doł jom potem żonie łód weterynarza i pado:

- Proszą mu te proszki dować co trzy godziny. Jakby mu się do rana nie polepszyło, to nie czekać, ino brać nóż i dobić ta gadzina.

Pewien wieśniak widzi w aptece, jak aptykorz szykując mu przepisana medecynę, zlewa ją z różnych flaszek, w kierych tylko po troszce płynów, do jednej flaszki. Zniecierpliwiony więc woła: - A cóż se to, panoczku, myśla, że jo takie resztki byda sępoł? Jo chca, pierzyna, mieć świežo medecyna, a nie takie sływki!

W pewnej większej aptece posiadał pan aptykorz wywiórkę, kiero w dużej klatce wyprawiała wesołharce. Razu pewnego przychodzi do apteki jakiś chłop, kiery takiego stworzenie jeczce nigdy nie widzioł i pyto, co to takiego?

Aptykorz, wielki filut, powiada, że to jest młody aptykorz.

Po roku do tej apteki przychodzi ten sam chłopek. Pon aptykorz w tym czasie zaangażował sobie pomocnika, kiery mioł rude włosy i taki som zarost.

Kiedy go nasz chłopek ujrzoł, woła zdziwiony:

- Jeckusie, ale tyż to bez tyn rok wyrośli. Jo ich już znom, kiejs to jeczce skokali w klotce.

Pewien kuracjusz opuszczając po odbytej kuracji uzdrowisko, żegna się z lekarzem zakładu.

Lekarz: - Żegnam pana, życzę z całego serca powodzenia! Myślę, że po kuracji u nas nic już teraz panu nie brakuje?

Kuracjusz: - To fakt, panie doktorze. Kiedym tu przybył, miałem reumatyzm - i mam go, miałem nieżyt kiszek - i mam go dalej, cierpiałem na bóle głowy i mam je w dalszym ciągu. Naprawdę, panie doktorze, nic mi nie brakuje...

Ordynujący lekarz otwiera drzwi gabinetu do poczekalni i zapytuje:

- Kto tu z państwa czeka najdłużej?

- Ja, panie doktorze. Jestem krawcem, który już od dwóch lat czeka na zapłacenie rachunku za dostarczone panu doktorowi ubranie...

U pewnych bogatych mieszcuchów zachorowała bona do dzieci. Od trzech dni nie opuszcza łóżka. Wzywają wreszcie doktora. Ten wchodzi do pokoju chorej i chce ją zbadać, pytając, co jej dolega? A ona na to:

- Panie doktorze, chcę być szczerą. Jestem najzupełniej zdrowa, a położyłam się do łóżka dlatego, że moi państwo już od czterech miesięcy nie płacą mi pensji...

- Co pani mówi? Toż to znakomity pomysł! Mnie ci państwo już od dwóch lat nie honorują moich rachunków. Niechże się pani posunie trochę, położę się obok i razem będziemy strajkowali - może to wreszcie pomoże...

Pewnej starszej panie młody lekarz udziela podczas konsultacji następującej rady:

- Proszę pani, najlepiej niech się pani stara wyjść za mąż. Jestem przekonany, że wtedy znikną wszelkie chorobowe dolegliwości, które pani tak mącą radość życia.

A na to rezolutna pacjentka:

- Dobrze! A więc niech się pan doktor ze mną ożeni!

- Proszę pani - odpowiada lekarz - my lekarze wprawdzie zapisujemy lekarstwa, ale sami ich nie używamy...

Cierpiącemu na bezsenność pacjentowi zapisuje lekarz jakieś nasenne krople, polecając zażywać je co dwie godziny. Podczas następnej wizyty u chorego zapytuje jego żonę, czy lekarstwo podawano w zaleconym dwugodzinnym terminie?

Tak jest, panie doktorze, co dwie godziny. Ale może sobie pan doktor wyobrazić, ile to kosztowało wysiłku, ażeby go każdorazowo obudzić.

- Jak widzę, pan musi dużo siedzieć? - mówi lekarz do pacjenta, którego bada.

- No, nie tak źle, panie doktorze. Ostatnio siedziałem tylko dwa miesiące!

Do lekarza dentysty przychodzi jakiś jegomość i prosi o wyrwanie chorego zęba. Siada na fotelu. Przychodzi lekarz, a wtem pacjent zaczyna niesamowicie wrzeszczeć.

- Czego pan się wydziera? Przecież jeszcze nawet nie dotknąłem zęba!

- Tak, panie doktorze, ale stanął mi pan na nagniotku!

Kiedyś do lekarza dentysty przychodzi żebrak, który nie wygląda ubogo, i prosi o wsparcie.

- Pieniędzy wam nie dam - mówi lekarz - ale jak chcecie mogę wam bezpłatnie wyrwać parę zębów.

Do pewnego okulisty przychodzi chłopina i żali się, że bardzo źle widzi, i dlatego prosi o przepisanie mu okularów. Lekarz ustawia w pewnej odległości tabelę z kolekcją liter i pyta chłopka, czy może je odczytać.

- Nie, panie doktorze, nie dam rady!

Lekarz stopniowo przysuwa tabelę do pacjenta, każdorazowo jednak otrzymuje odpowiedź, że nie umie przeczytać. Wreszcie lekarz podsuwa mu tablicę do samych oczu i mówi:

- No, teraz chyba przeczytacie, co?

- Nie, panie doktorze, nie dam rady, bo ja nie umiem czytać!

Kiedys znów, jakaś jejmość, chcąc sobie zaoszczędzić wydatku na honorarium lekarskie, łapie znajomego lekarza na ulicy i zasypuje go mnóstwem pytań na temat swoich rzekomych dolegliwości chorobowych i sposobów ich leczenia.

Tu lekarz stracił już cierpliwość i zawyrokował:

- Nie mogę nic powiedzieć, muszę wpierw panią zbadać. Proszę się więc rozebrać!...

- No, jakże się tam dziś czuje nasz chory? - pyta lekarz. Pacjent, wielki bogacz, odpowiada:

- Mam wrażenie, panie doktorze, że stan mego zdrowia znacznie się poprawił.

- To świetnie! A z czego to pan wnioskuje?

- Ano, bo w ciągu dnia odwiedzili mnie krewni i zauważyłem, że wszyscy bez wyjątku mieli bardzo strapione miny!...

- Wiedzom, jo wola sto razy złodzieja niż do-chtora...

- Po jakiemu?

- Ano, bo widzą, jak był u mnie jedyn złodziej, to zawsze wia, co mi brakuje. A jak prziszło i dziesięć dochtorów, to tego nigdy nie wia!

Kiedys do znanego laryngologa przychodzi jejmość, która cierpi na astmę. Lekarz po zbadaniu zapisuje lekarstwo i radzi, by prócz tego piła dużo surowych jaj.

- Kiedy, panie doktorze, ja nie znoszę jaj! - mówi pacjentka.

- Ja też pani nie każę znosić jaj, a tylko pić!

## **22.Ło sądach, sędziach i jeich kundmanach**

Jakiś karlus staje przed sądem za to, że bez powodu maznął w kark jakoś paniczka, jadąca z nim do kupy w śtrasbance.

- Bez powodu? - pyto łoskarżony. - A dyc, panie sędzio iny niech słuchajom, a potem niech pędzą, cy bez powodu, cy ni.

- Włażą do śtrasbanki i siadom se na ławce. Włazi jakoś panuchna, tako wiedzom murchla, i siednyła se naprzeciwko. Przyłazi siafner i panuchna chce mieć bilet do parku Kościuszki... Łotwiero taśka, dobywo z niej bajtlik, zawiero taśka, łotwiero bajtlik, dobywo z niego 10 groszy, zawiero bajtlik, łotwiero taska, wrožo do niej bajtlik, zawiero taska i dowo pieniądze siafnerowi.

- Panuchno - pada siafner - do parku Kościuszki bilet kosztuje 20 groszy.

Panuchna łotwiero taska, dobywo z niej bajtlik, zawiero taska, łotwiero bajtlik, dobywo z niego złotego, zawiero bajtlik,

łotwiero taska, wrožo w nią bajtlik, zawiero taska i dowo siafnerowi złoty. Siafner zmienio i oddowo panuchnie 90 groszy. Panuchna łotwiero taska, dobywo bajtlik, zawiero taska, łotwiero bajtlik i chowo pieniądze, zawiero bajtlik, otwiero taska, wrožo bajtlik, zawiero taska, a siafner dowo jej bilet. Panuchna łotwiero taska, dobywo bajtlik, zawiero taska, łotwiero bajtlik, wkłodo bilet, zawiero bajtlik, łotwiero taska, wrožo bajtlik, zawiero taska.

Po chwili przylazuje siafner i pado.

- Przebocom, panuchno, i pokazom mi ino tyn bilet, bo zdo mi się, żech im nie zrobił dziurki.

Panuchna łotwiero taska, dobywo bajtlik, zawiero taska, łotwiero bajtlik, dobywo bilet, zawiero bajtlik, łotwiero taska, wrožo bajtlik, zawiero taska i dowo siafnerowi bilet.

Siafner robi dziurka i dowo z podziękowaniem panuchnie bilet.

Panuchno łotwiero taska, dobywo bajtlik, zawiero taska, łotwiero bajtlik, wkłodo bilet, zawiero bajtlik, łotwiero taska, wrožo bajtlik, zawiero taska.

Ledwie to skończyła, wiązuje do banki kontroler.

Panuchna łotwiero taska, dobywo bajtlik, zawiero taska, łotwiero bajtlik, wyjmuje bilet, zawiero bajtlik, łotwiero taśka, wkłodo w nią bajtlik, zawiero taśka i dowo bilet kontrolerowi. Kontroler robi modrym łółówkiem strych bez bilet i dowo go nazod panuchnie. Panuchna łotwiero taśka, dobywo bajtlik, zawiero taśka, łotwiero bajtlik...

- Człowieku - wrzeszczy sędzia - na miłość Bosko przestońcie, bo łogłupieja!!!

Ja, widzom panie sędzio, jo też żech prawie nie łogłupioł. Mom łośmioro dziecek, ciężko pracują na kaszczek chleba, a ten pieron z baby, ta staro murchla... Toż mnie też złość dopadła jak sto dREWIEŃ, zapomniołech ło wszystkim i maznółech baba bez łeb i tyla. Toż niech pedzom sami, panie sędzio, był powód, cy nie było powodu?

Przewodniczący sędzia, który mocno zezuje (u nas się mówi świdrzy) pyta się pierwszego oskarżonego (a patrzy na drugiego):

- Jak się pan nazywa?

Drugi oskarżony odpowiada: - Robert Klyta!

Przewodniczący. - Ja się pana nie pytam! - (Mówi do drugiego oskarżonego, a patrzy na trzeciego).

Trzeci oskarżony odpowiada. - Joch tyż przeca nic nie pedzioł.

Sędzia: - Czy oskarżony może przytoczyć jakieś okoliczności, które by wpłynęły na zmniejszenie kary?

Oskarżony: - Cego? Łokoliczności? Aha, już wiem, panie sędzio. Ano, mogą jeny tyla pedzieć, iż mię już wierzą coś bez dziesięć razy zawierali, ale to nic nie pomogło.

- Czamuście to ukradli tyn zegarek?

- Ano, tociech se szoł panie sędzio, a zygarek tyż szoł. Toż se myślą... kiej tak, toż se pojdyny łoba do kupy - no i tózechmy se pošli razem łoba.

Kiejś na budynku pracowało dwóch murarzy. Pewnego dnia zdarzyło się, że jeden z nich ślecił z rusztowania i się fardońsko potrzaskoł...

Świadkowie tego zajścia dowodzili, że ten drugi murarz sciepnął naskwoł swojego kamrata - no i sprawa dostała się przed sąd.

Na łozprawie pado sędzia do łoskarżonego, żeby ino łopedzioł, jak się to stało, że ten drugi murarz ślecił.

- Ano, panie sędzio - pado łoskarżony - murowalichmy do kupy na jednym rynsztunku, i jo i łon. Naroz zgadało się ło polityce - łon godoł swoje i joch godoł swoje.... Łon chcioł mieć prawie i joch chcioł mieć prawie. Naroz łon prziskocył ku mnie i chycił mię tak brewider za łeb. Joch się tyż nie dół i tyzech go chycił za łeb - i takechmy się do kupy wodzili tam i sam.

- Joch jednak był mocniejszy, tózech go szykownie chycił ze zadku za kragiel, dźwignyłech go i przeciep zech go, wiedzom, bez baryjera i takech go, dło strachu, ździebko trzimoł w lufcie. Naroz ten podciep zacyno skrzeczeć. - Pieronie! Puścis mię abo nie puścis!

- No, toż lo świętej zgody go wzionech i puścił.

Sędzia: - Więc oskarżony was chcioł przekupić?

Świadek: - Dyć tak, panie sędzio.

Sędzia: - Ale wy nie wzięliście pieniędzy?

Świadek: - Nie, panie sędzio.

Sędzia: - A cóż wam na to oskarżony powiedział?

Świadek: - Jesteście osłem, panie sędzio.

- Słyszoleś to, Zeflika za pocałowanie Róźli od Nowocki skozali na gerychcie na trzy tygodnie harestu.

- To ale wiela! Mnie, pierona, kiejś za to samo skozali na dożywotnę ciężkie małżeństwo.

W pewnym serbskim mieście skazano trzech bandytów na karę śmierci przez powieszenie. Szubienica była zbudowana nad rzeką. Kiedy wieszano pierwszych dwóch opryszków, zdarzyło się, że sznur się urwał. Bandyci wpadli do wody, przepłynęli na drugą stronę i byli uratowani.

Kiedy przyszła kolej na trzeciego bandytę, zwraca się tenże do kata i mówi:

- Słuchajom ino, panocku, u mnie niech weznom mocniejszy postronek, bo ja nie poradzą pływać i móglbych się utopić!

- Toście rozwalili gorczek na głowie waszego chłopca; jest to czyn, kierego z pewnościami żałujecie?

- Toć, że żałują, panie sędzio. Szkoda gorczka, dałach za niego coś bez złotego.

- Oskarżony! Jesteście człowiekiem zupełnie zepsutym! Musieliście chyba obracać się tylko w złym towarzystwie?

- Ja, majom prawie, panie sędzio, łod łosiemnastego roku życie mom porząd jeno z sędziami do cynienio.

Sędzia: - Oskarżony Frakoc przyznajecie się, żeście podczas bójki odgryźli Franciszkowi Tuleji ucho? Nie ma tu okoliczności łagodzących.

Oskarżony: - O ja, panie sędzio, som takie łokoliczności, bo łon na te ucho, coch mu go uzar, był blank głuchy!

Sędzia: - Oskarżony, ile miechów kartofli skradliście waszemu sąsiadowi?

Oskarżony: - Siedem, panie syndzio, trzy w poniedziałek, a dwa we wtorek.

Sędzia: - No, to przecież dopiero pięć.

Oskarżony: - A dyć po te dwa poda se dziepiero dzisiok wiecór, panie sędzio!

Do jednego z naszych adwokatów przychodzi po porada prawno gospodyni domu, w kierym ów adwokat mieszka.

- Bydom tacy dobrzy i pedzą mi, jak cudzy pies porwie kęs mięsa z kuchni, cy łod tego istnego, kierymu noleży ten pies, można żadać łodszkodowanie?

- No toć, że można, ino musza mieć dowody. A wiela se to rachujom za to mięso?

- Łosiem złotych.

- No dobrze, mogą się podjąć tej sprawy.

- No toż jo im terazki powia, że to był jeich pies i muszą mi zapłacić łosiem złotych.

- Tak, tak, dobrze, jo im zapłacą te osiem złotych ale łoni mi za porada prawno zapłacom terazki dwadzieścia złotych.

Sędzia: - Oskarżony, czy rozumiecie znaczenie przysięgi?

Oskarżony: - Rozumia, panie sędzio. Jeśli przysięgną, łostana uwolniony. Jeśli zaś łodmówia przysięgi, to mię zawrzą do kozy!

- Oskarżony, kiedyście waszą kobietę poznali?

- Panie sędzio, przysięgam, iż nigdy, bo jak bych jom był poznoł, to bych się przeca nie był z tym pieronem łožynił.

- Czy oskarżony już był karany przedtem?

- Tak, panie sędzio.

- A dlaczego?

- Bo mnie policyjon chycił! Przed gmach sądu karnego zajeżdża dorożka, z której wysiada elegancki panoczek.

- Panoczku - pyta dorożkarz. - Czy mom sam na nich doczkać?

- Doczkać? To im wierzą bydzie za długo!

- Za długo? O ni, jo mom cas. A jak długo łoni tam łostanom?

- A trzi miesiące - odpowiało panoczek.

- Hanys, a za co cię zawarli?

- A boch za wartko jechoł autem. A ciebie za co?

- Mnie? A boch jechoł autem za pomału.

- Cłeku, a dyć za to nie mieli cię prawa zawrzyć!

- Padosz? Ja, ale widzisz to auto było kradzione.

Kiedyś przed pruskim sądem wojennym toczyła się rozprawa przeciwko jakiemuś osobnikowi, którego rzeczoznawcy uznali za nienormalnego. Orzeczenie to twierdziło, że oskarżony cierpi na manię wielkości, jednakże od czasu do czasu ma pewne momenty, kiedy myśli zupełnie normalnie. Prowadzący rozprawę kriegsgerichtsrat uśmiecha się niedowierzająco i twierdzi, że on sobie z oskarżonym poradzi. Oskarżony wprowadzony na salę rozpraw i zapytany o nazwisko odpowiada, że jest królem angielskim.

- Cieszy mnie - odpowiada przewodniczący - że spotykam tu kolegę, jestem bowiem cesarzem chińskim.

Po czym patrzy się triumfująco na ławników.

- Co łoni som cesarzem chińskim? - odpowiada oskarżony. - Nie wierzą! Łoni som kriegsgerichtsrat Schulze, największy osioł w dywizji.

- A widzom panowie - mówi lekarz rzeczoznawca - tak jak mówiłem, oskarżony ma jednakże momenty, kiedy rozumuje normalnie.

Kokot staje przed sądem jako świadek i podaje sędziemu dane odnośnie do swojej osoby. Wywiązuje się następujący dialog:

- Czy świadek jest żonaty.

- Tak, Wysoki Sądzie, żyniaty.

- Z kim?

- Z kobitą, Wysoki Sądzie.

- Niech świadek nie gada głupstw! Przecież nie możecie być żonaci z mężczyzną!

- Można, Wysoki Sądzie. Mom siostra, kiero se wziena mężczyzną.

Wdycki prawią ludziom i tuplikują: nie bijcie się bo z tego nic dobrego nie wyjdzie. Kto mnie usłuchnął, ten nie stracił, ale Stanik Bijok nie chciał usłuchnąć i przy jakimś sporze o dziołcha piznął Walka Ślimtałę w gęba. No i co miał z tego? Trza było potem przed sędzią tłumaczyć i wysłuchać niejedno gorzkie słówko. Choć ździebko śmiechu tyż przy tym było. Bo sędzia, kiej już był przygadoł do sumienia Bijokowi w końcu zawyrokował:

- Toż słuchajcie no Bijok. Za to żeście uderzył obywatela Ślimtałę w twarz, za karę zapłacicie 100 złotych na rzecz Opieki Społecznej.

A na to pado Ślimtała:

- Wybocom, Wysoki Sądzie, ale te sto złotych mnie się należy!

- Jak to wam? - pyta sędzia.

- Ano, panie sędzio, pytom się, chto właściwie dostoł w pysk: jo czy Opieka Społeczna?...

Kalasanty Duda, siodłok poważny i bogaty, wrocoł se kiejś nad ranem z knajpeczki, w kierej z kumplami przepędził wesoło noc. Wrocoł do dom wesół, bo się nie boł baby, a to skiż tego, że jej nie miał, bo był mądrala samotnym. Zaś gospodyni, kiero mu gospodarstwo prowadziła, nie mogła mu z roztomaitych powodów robić brewerii.

Kiej przechodził przez targowisko (a było to w piątek), ujrzoł handlyrza, kiery sprzedowł ryby. A że Kalasanty bardzo rod jod

ryby, stanął i kupił dwie fajne i srogie szczuki (szczupaki), radując się, jaki to bydzie miał dzisiok dobry łobiod i już mu ślinka na samo wspomnienie ło tym leciała do gęby.

Toteż tapoł ku domowi, byle warciej. Jednak kiej wloz do izby, srogie go spotkało łozczarowanie. Gospodyni przypomniała Kalasantemu, (kiery też był na sądzie sędziom przysięgłym), że mo dzisiok jakoś pilno łozprawa i że musi zarozki iść na sąd. Zapieronił po cichutku, ale nie było inkszej rady, totyż jeno miłościwym łokiem wejrzoł na szczuki, kiere se leżały na kuchennym stole, łyknał ślinka i poszoł.

W sądzie toczyła się łozprawa przeciw dwóm złodziejom-włamywaczom i była bardzo ciekawo. Wszyjscy słuchali z wielgim zainteresowaniem. Jeny nasz Kalasanty, kierego dziepiero terozki zebrało - usnył na fest, uśmiechając się pod nosem i łod casu do casu łoblizując się - widać śniły mu się owe szczuki. Naroz sztuchnył go drugi ławnik i łobudził.

- Wstanom, panie Duda, idymy na narada!

I poszli. Ale kiej pan Kalasanty siednył se w miękkim fotelu, zaś zarozicki usnył.

Po chwili zaś go chtoś sztuchnył. Był to przewodniczący sądu, kiery mu do ucha skrzecoł;

- Hej, panie przysięgły Duda - co mamy zrobić z tymi łoboma?

Co?-pado zaspany Duda-jo myślą, że jednygo uwarzymy, a tego drugiego zaś upiecymy i fertig.

### **23.Ło gonie i myśliwcach**

Na pewnym polowaniu w ostatnim sezonie rzecz się tak miała: Brano kociołek na zajace. Tuż koło siebie stali dwaj adwokaci, siejąc ogniem morderczym. Myśliwi zeszedli się wreszcie już tak blisko w kociołku, że strzał był niemożliwy, gdy wtem najniespodziewaniej pojawił się lis. Jak gdyby wiedząc, że myśliwym już strzelać nie wolno, przedefilował przed całym kołem myśliwych, a zmierzwszy w końcu złośliwym okiem adwokatów, wymknał się między nimi w pole. Adwokaci odwróciwszy się wygarnęli z czterech luf, na co lis pomerdał ogonem i zniknał w pobliskim lesie.

- A to szelma chytry lis! - zawołał stojący obok prokurator. Dlaczego?

- Bo sobie wziął aż dwóch adwokatów, żeby się wywinąć.

Jeden myśliwiec ze Śląska, który kiejś po Indiach podróżował, łosprowio w towarzystwie ło swoich przygodach.

- Otóż idziemy kiedyś całą karawaną przez jakąś tam dżunglę, naroz z trowy wychyło się łokropny wąż boa, kiery łozwartą paszczą gotuje się do skoku. Wszyjscy struchleli. Wtem wysuwo się jakiś Hindus i z nojwiększym spokojem wyjmuje z torby flecik, tako wiecie piszczółka i zaczyno grać - no i wyobraźcie sobie państwo, boa zniknał w sitowiu.

Na to odzywa się jeden ze słuchaczy:

- A dyć wiedzą i joch miał niedowno taki som wypadek. Idą se w niedziela z mojom starom do kawiarni. Moja staro sjena se boła i



powiesiła go na stołku. Ledwieśmy się łobrócili, a sam nikt nie groł na flecie, a boła tyż znikło.

Jakiś myśliwiec łosprowio w knajpie przy piwie o gonie.

- Jo - pado - przed tygodniem toch jednym strzałem zabił trzi zające.

- Ale to przeca niemożliwe!

- Po jakiemu niemożliwe? Jednego trafił śrut, ten drugi się przekopyrtnoł łod strachu, a trzeci skoczył do rzyki i się utopił z zolu po stracie towarzyszków.

- Idą sobie tak roz w lesie i patrzą, a tu stoi sornik. Jo ci łap za flinta i gich - sornik nic. Jo ci ryp drugi roz, a ta bestyjo nic - stoi. Wala ci jeszcze roz, nic. - Piera ci potem coś bez dwadzieścia razy, a sornik ani, pieron, drgnał.

- A czamu?

- Bo po prostu gizz był głuchy jak pień!

Jeden z arystokratów poszedł na gon na dzikie świnię. Niestety stało się nieszczęście, bo jakiś ranny kiernoz rzucił się na myśliwca i pogryzł go. Posłano starego gajowego do pałacu z poleceniem, ażeby o nieszczęściu zawiadomił baronową.

- Panie Rzympoła, jeno łogłędnie, powiedźcie to pani baronowej, coby się bardzo nie przestraszyła.

- Ha, niech się nie bojom, już jo jej to tak powiem, że się bydzie z tego radować.

Rzympoła prziszło do zomku, kaj go kamerdyner zawiódł do baronowej.

- Jaśnie pani baronowo - pado - jeich panoczek nie żyjom.

- Jezus, Maria! - krzyknęła jaśnie pani i przekopyrtnęła się na ziemia.

Przylecioł kamerdyner, przyleciały frelki i zacyny zemdlono baronowo krzesić. Jedna z nich telefonowała po dochtora. Jeny nasz Rzympoła stoł beczynnne na boku i uśmiechnięty dziwoł się tej awanturze.

Po chwili baronowa łotworzyła łocy. Wtem podszedł Rzympoła, nachylił się ku niej i pado:

- A dyć panucho, to wszystko, coch im pedzioł, to nieprawda. Pon baron żyjom, ino trocha som skalecyni. No, terozki się radujom, prawda?

Jak wiadomo, każdy myśliwy ma zawsze moc przeżyć, wiele z prawdziwego zdarzenia, ale jeszcze więcej z fantazji. Toteż kiedy się taka paczka zejdzie, cyganią, co się zmieści. Pewnego razu siedzi sobie taka czwórka, no i cyganią, nie dając jeden drugiemu dojść do słowa.

Jeden z nich, Ślazak, który był w Chinach, a potem w Indiach, też zaczęno łozprowioć i pado:

- Wiecie, to wszystko jest nic. Jakech jo był w Indiach, tośmy roz śli na gon, kupa nos i elefanty, i Murzyny.

Jakechmy szli bez tako srogo trowa, naroz wrzescy jeden Murzyn, co szoł na przodku:

- Pierony! Dejcie pozór, bo leopard idzie!

Wszyjscy ze strachu buch na ziemia, ino jo się nie zląkł, biera swoja spluwa, "anleguja" i prask! Leopard fiknął koziołka, jo go łap za kragiel i do torby.

Idymy dalej i ledwoch wraził nowo patrona do flinty, a tu zaś taki corny diobeł wrzescy:

- Pieronie, pozór, bo tygrys lezie!

Wszystko, co żyło, gich na pysk. Jo iny jeden stoja, spluwa przykłodom i prask! Tygrys iny salto zrobił, jo go za łeb i do torby.

Ale to jeszcze nic. Idymy dalej przez tako łąka z wysokom trową i piskomy se wesoło śpiewka. My som chłopcy, co się nie boimy...

Naroz te corne Negry łozdzieraja się:

- Pozór, pierony! W nogi, bo dziki elefant na nos leci!

Wszystko ucieko, jenoch jo som łostoł. Totyż widza, co się święci, pierzyn elefant z kichola dmucho i ku mię. Jo nie traca łodwagi, przykłodom flinta do łoka i...

Na to pado jeden ze słuchających:

- Te, Hanys, strzelić jeszcze możesz, ale jak go pieronie zaś wciepniesz do torby, to jak cię mazna w pysk, to już nie wstaniesz!

Myśliwcy (jakech to już kilkakrotnie dowodził) cyganią między sobą, wiela się ino zmieści. Razu pewnego dwaj myśliwi, idąc wspólnie na gon, opowiadaja sobie o mądrości swoich psów:

- Mój Lux - powiada pierwszy - to taki marcha mądry, że jak ciepna swoja czopka do stawu, skoczę zaroz za nią, nurkuje i prędzej nie wypłynie, aż ją znejdzie.

- No, a moja Diana dziepiero. Jak ciepna do stawu 100 złotych, to przynosi kilo karpów i łostatek pieniędzy nazod!

W knajpie, przy kieliszku, opowiada myśliwiec, że miał suczkę, która wykarmiła i wychowała dwa kocięta po zagryzionej kotce.

Drugi myśliwiec, słysząc to, mówi z uśmiechem:

- To nic, moi kochani. U mnie była niedowno kwoka z pisklęciem, no i mój srogi wyżeł. Kwoka dostała pypcia i zdechła. I co powiecie? Poczciwe moje psisko z litości wychowało kurczę i wyprowadziło go na łogromnego kokota. A nojciekawsze to to, że kokot miast pioć, to szczekoł.

Jeden podróżnik, co to aż do Afryki jeździł na gon (a cygon był jak milion diosków), siedzi se pewnego razu w domu jakiegoś państwa i chwoli się, już po raz nie wiem kiery, swoimi przygodami.

Jedna frela, dość szykowne marcha, prosi, żeby jeszcze coś ciekawego opowiedziół. Nasz myśliwiec nie doł się dwa razy prosić i zaczyno prawić:

- Nojgorszo przygoda toch mioł ze żmiją, to jest z takim, wiedzom, wężem, co to ma bryle na łocach, nazywaja tego gizda łokolarnik, a

inksi powiadają na niego brillenszlanga. Toż kiejsik położyłech się troszyczka do trowy i zdrzemnąłech się. Kiejech zasnął, ten gizd ciep się na mnie i zanimech zmiarkował, już się kole mnie połowijoł jak łobracka.

- Matko Nojświętszo! W jaki sposób pan się uratował łod niego?

- A bardzo prosto - cyganił myśliwiec dalej. - Kiej mię ten gizd chcioł užryć, joch szykownie łodparowoł i jak go gichna pięścią w kichol, tak mu zarozki bryle śleciały, no i potem mię już nie mógł widzieć.

Kiejś w jakiś dyszcowy dzień siedzi se w knajpce przy piwku pora karlusów-myśliwców i łozprowiajom se ło swoich przigodach myśliwskich. Toć cyganiom przy tym, zwyczajnie jak myśliwcy. Najgorszy z nich Hanys Migoc łozprawio głośno i gęba mu nie ustaje:

- Wiecie, kiejsiech był w górach i idą se przez taki gęsty las. Naroz z krzoków wylecioł ku mnie sornik. Chytom za flinta, cyluja i ryp - sornik się wykopyrtnoł.

- Idą dalej, a sam z krzoków wyleciała dziko świnia. Jo mierzą, bęc! I świnia szłapy wyciągnęła. Nie mógech gizda zabrać, bo był za ciężki, to żech go łostawił.

- Idą dalej - a sam jak niepyszny leci ku mnie niedźwiedź, srogi jak krowa. Jo spluwa na ramia, cyluja i...

W tej chwili słyszy Migoc, jak chtoś za nim pado:

- Pieronie! Jak tego niedźwiedzia zastrzelisz, to cię gichna w pysk!

Migoc ani drgnął i łozprawio dalej:

- Cyluja - gich - i nie trafiłech gizda!

- Idę głębiej w las i napotykam całe stado dzików. Składam się, walę z lewki, stara samura kładzie się jak długa, reszta ucieka. Po chwili zbliżam się ku miejscu, gdzie sztuka padła i nie wyobrazi pan sobie nawet, co spostrzegłem...

- No! Ciekawym!...

- Wątpię, czy pan uwierzy! Obok na gałęzi drzewa powiesił się na ogonie młody warchlak, prawdopodobnie z żalu po śmierci starej.

- Zapewne był to jej małżonek?

- Ależ, gdzie tam! Zięć!

- Nie, to niemożliwe!

Żona (rachując kukanie kukułki): 30 wykukała... A więc będę żyła jeszcze 30 lat.

Mąż (do siebie): - Gdybym ujrzał tego podłego ptaka, to bym cały ładunek w niego wpakował.

- Patrz pan! Temu człowiekowi uratowałem przed rokiem życie, a on mnie znać nie chce.

- Tak? Jakżeż to było?

- Wpakowałem mu na polowaniu cały nabój śrutu w futrzaną czapkę. Gdybym tylko o trzy centymetry niżej wziął, dostałby w sam łeb.

Dobry mąż musi być wierny jak pies, czujny jak żuraw, zakochany jak królik, gorący jak byk, rozmarzony jak kocur, głupi jak osioł - a więc uniwersalne bydło.

#### 24. Ło wojokach i kasami

Odłamek granatu zranił na froncie dzielnego żołnierzyka ze Śląska, Hanysa Gorczka, w brzuch.

Szpital polowy. Na stole operacyjnym leży nasz Hanys, wokół niego kręcą się: doktor chirurg, dwóch asystentów, trzech sanitariuszy i siostra miłosierdzia. Lekarze otwierają Hanysowi brzuch, wydobywają z niego odłamek i ranę zaszywają. Okazuje się jednak, że operacja nie pomogła. Brzuch Hanysa zostaje więc jeszcze raz otwarty i rzeczywiście znaleziono w nim jeszcze mały odłamek żelaza, który usunięto i brzuch zaszyto. I tym razem operacja nie pomogła, choremu gorzej, boleści coraz większe.

Biorą więc naszego Hanysa na prześwietlenie i okazuje się, że jeden z asystentów zostawił w brzuchu chorego swój kozik. Nie pomogło nic, brzuch Hanysowi jeszcze raz otwarto i nóż usunięto. Jednakże i to nie pomogło, boleści w dalszym ciągu. Kiedy więc doktor oświadcza Hanysowi, że go jeszcze raz będą musieli otwierać, pocziwy nasz Hanys mówi do doktora:

- Panie dochtór, może by mi tak, pierona, knefle kozali do brzucha przyszyć albo zatrzaszki.

W jakimś fajnym towarzystwie, jeden oficer przechwolił się, czym to łon nie jest i jakie to łon mo zamiłowanie do stanu wojskowego.

- Jo - pado - toh się już ze szablom urodził!

- Cego? Ze szablom? - pado jakiś filut. - Pierzyna, to bych nie chcioł być jeich matką.

W jakimś niemieckim miasteczku, zaciekawiony podróżny ogląda osobliwości miasta i między innymi zaszedł do ogromnej stajni wojskowej, w której przyglądał się koniom.

Oficer dyżurny wpada za nim, a widząc cywila, wrzeszczy:

- Jakim prawem pan tu wchodzi? Nie wie pan, że to stajnia oficerska?

- Przebocom - odrzekł podróżny, zdejmując kapelusz - joch myśłoł, że to jest końsko stajnia.

Pan kapitan, u którego nasz Zeflik był ordynansem, nawymyślał mu raz piekielnie za to, że kiedy rano przynosił mu do łóżka kawę, zawsze po drodze połowę wylewał na spodeczek. Lekcja poskutkowała, bo odtąd zawsze filiżanka była pełna, a spodeczek suchy.

Po paru dniach pan kapitan pochwalił Zeflika, mówiąc:

- Widzisz, wszystko idzie, jak się chce. Na to Zeflik:

- Ja, jo terazki już mom rada, wiem, jak to trza robić.

- No, jakże to robisz? - pyta kapitan.

- Dyć jak wylazują z kuchni - pado Zeflik - to upija z szolki połny szluk kawy i trzymom jom w gębie. Potem idą po schodach na

wierch, a jakech już na wierchu, to po tym ta kawa nazod do szolki wypuscom i już!

Na wartownię wchodzi oficer inspekcyjny, a czując jakiś duszący zapach, pyta:

- Co tu tak śmierdzi? Na to melduje służbowy:

- Jeden kapral, siedem szeregowych i trzech aresztantów.

Generał odbywa inspekcję w pułku.

Podczas apelu podchodzi do żołnierzy i na wrywki stawia im różne pytania. Między innymi zapytuje też Zeflika Tuleję:

- Powiedz mi, mój synu, co zrobiłbyś, gdybyś tak na drodze spotkał pijanego kamrata.

- Panie generale, meldują posłusznie, zaprowadziłbym go do koszarów na izba, seblykbych go, położył do łóżka, postawił mu kibel przed łóżko i doł mu na głowa zimny łobkłod.

- Bardzo dobrze, mój synu, doskonale, widzę, że masz już wielkie doświadczenie pod tym względem. Czym ty jesteś?

- Panie generale, meldują posłusznie, jestech ordynans u pana kapitana.

Dwaj żołnierze fasują w kuchni śniadanie. Po skosztowaniu porcji zaczynają między sobą sprzeczkę. Jeden twierdzi, że to kawa, drugi, że herbata.

Kiedy się tak w najlepsze sprzeczają, wychyla kucharz przez okienko kuchni swoją łepetynę i pyta:

- Hej! Chłopcy! Czy chce tam kiery z wos jeszcze troszka kakao?

W jednym szpitalu wojskowym leży jakiś żołnierz, który cierpi na zapalenie gardła. Przez pomyłkę przenoszą chorego do sali operacyjnej, gdzie badają chorych na hemoroidy. Zaczyna się badanie. Najpierw bada młody lekarz asystent i konstatuje, że chory nie ma hemoroidów. Następnie bada go starszy lekarz jeszcze staranniej i stwierdza to samo. Wreszcie bada sam doktor sztabowy i kiedy tak paluchem wierci, a wierci, odzywa się zrozpaczony żołnierz:

- Panie dochtór, nie ma to sam jakiego dochtora, kiery by miał dłuższy palec? Bo mnie przeca, wiedzom, boli w gordzielu.

Szeregowiec Glapa wraca z "przepustki" do koszar w stanie kompletnie pijanym. Szef kompanii podaje go do raportu, do którego Glapa ma stanąć na drugi dzień po południu. Po wytrzeźwieniu boroczek Glapa martwi się strasznie, wiedząc, że go paka nie minie. A że, jak to powiadają, na frasunek dobry trunek, więc też w czasie przerwy obiadowej wymknął się z koszar, poleciał do jakiejś knajpy w pobliżu, no i rzetelnie zalewa robaka. Następnie powraca do koszar i chwając się na nogach staje do raportu:

- Panie kapitanie, szeregowiec Glapa melduje posłusznie, co wczoraj byłem pijany.

Dowódca patrzy i widzi, że Glapa ledwie stoi na nogach. Krzyczy:

- Co meldujecie, że wczoraj, przecie dziś jesteście urzędnicy jak bela.

Na to Glapa:

- Panie kapitanie, meldują posłusznie, że to dzisiejsze to... to... jo jutro zameldują.

Kapral do żołnierzy:

- W którą stronę teraz maszerujemy?

Żołnierz:

- Na południe, panie kapral!

Kapral:

- Dobrze, po czym to poznaliście?

Żołnierz: - Bo mi coraz cieplej!

W kuchni baonowej potrzebuje kucharz pomocnika.

- Kto poradzi warzyć? - pyto sierżant wojaków ustawionych do apelu na placu koszar.

Z szeregu wyłazi najgłupszy i nojnieszaradniejszy rekrut.

- Poradzisz gotować? - pyto sierżant, rod, że pozbydzie się nojwiększego mamłasa.

- Rozkaz, panie sierżancie.

- No, toż marsz do kuchni. Tam potrzeba pomocnika.

Nieszara robi w lewo zwrot i zniko w kuchni, ale po małej chwili wylatuje z niej pieronem.

- Cóż to mo znaczyć? - pyto zdziwiony sierżant.

- Kuchorz mię wyciep, panie sierżancie!

- Jakto, przeca padołes, że poradzisz warzyć.

- Poradzą, ale asfalt!

Klipa, służąc przy wojsku, został ordynansem pana pułkownika.

Kiedyś mówi do niego pułkownik:

- Słuchaj, Klipa, chcę spokojnie pracować, proszę nie wpuszcząć do mnie nikogo. Gdyby się ktoś gwałtem upierał mówiąc, że ma bardzo pilny interes, powiesz mu prosto: "Ach, tak zawsze każdy mówi".

Zrozumiołś?

Klipa: - Rozkaz, panie pułkowniku!

Po pewnym czasie zgłasza się jakaś dama, która koniecznie chce się widzieć z pułkownikiem. Nasz Klipa oświadcza, że jej nie wpuści.

- Ale ja jestem żoną pułkownika! - mówi przybyła.

- Toć! Już im wierzą! Tak zawsze kożdo godo! - pado nasz pojętny Klipa.

Sierżant: - Meldują posłusznie panu kapitanowi, że szeregowy Skrzot jest dzisiok chory, bo odmroził ręce i nogi!

Kapitan: - Co? Odmroził? Teraz w lipcu?

Sierżant: - Tak jest, był u swojej libsty, kiero jest kucharkom i jak do dom przyšli państwo, to go wartko wraziła do lodówki i bez to!

Kapral: - Szeregowiec Mżyk, pana generała to poznosz po szerokich bizach na galotach, rozumiesz?

Mżyk: - Panie kapral, meldują posłusznie, a po cym poznom pana generała, jak nie majom galot?

Oficer do wojoka podczas instrukcji:

- Co żołnierz winien jest swojemu przełożonemu?

- Zwyczajnie nic! - łodpowiada żołnierz - bo łod przełożonego trudno coś pożyczać.

- Ani se nie mozesz pomysleć, wiela mnie kosztuje to pierzyńskie wojsko!

- No, co ty nie padosz? Po jakiemu?

- Ano, mego Gustlika wzieni do wojska. Noprzód był przy infanterii, to mi zarozki pisoł, cobych mu przysłoł pieniędzy na buty. Teroz go przenieśli do kawalerii, to mu zaś musza konia kupić. Aże mi skóra cierpnie, jak se pomysła, że go mogom przenieść do marynarzy!

- Czamu?

- Czamu? Jeszcze się pytosz? Idź, pieronie, i kup mu szif.

## **25.Z małżyńskich miodów, ło dziółchach,] niewiastach i teściowych**

Co to jest małżyństwo? (wypracowanie małego Hanyska)

Małżyństwo to kara za rajski bład i pokuta. Żeby popełnić małżyństwo trzeba nie mieć wszystkich doma. Jak się jest blank młodym i się żyni, to padają na chłopa, że jest fujara, a jak się jest starszym - toi padają, że cymbał, a jak jeszcze starszym - to tromba, a w ogóle to chłop jest przez całe życie instrumentem muzycznym, bo nawet jak jest całkiem mały, te padają na niego bęben. O kobiecie, jak wychodzi mąż, to padajom, że się wydaje a to bez to, że się wydaje inkszo, anizeli w rzeczywistości jest. Jak się ludzie żyniom, to mówiom, że się odmieniom. Chłop z pyskacza i mądrali robi się tulejom albo ślimokiem,] zaś baba z aniołeczka i dzióbeczka robi się pyszczyczkom i grzmi bez cołki dzień jak rozgłośnik sześcielampowy. Jeno że radiu idzie wdycki rozgłośnik za| wrzyć, a żony to nie. Żona jednak jest potrzebne, bez niej chłop by na psy zeszedł. Ona to ze wszyst-^ kiego poradzi coś zrobić i nawet z igły zrobi widły .j Chłop także jest potrzebny, bo bez chłopa nie byłoby dziecek. Na tym polu to się wdycki chłop z babom zgodajom, choćby się blank całe życie nie rozumieli. Chłop narzeko na baba, a baba na chłopa. Ale to jużj musi być, że jedno bez drugiego żyć nie mogą i nawet ananasy w raju porzucili, aby razem ten czorny chleb codzienny pożywać, kiery choć mo nieraz zakalec, jednak jest nojzdrowszy. Wódka wynalazł mąż, który miał kłótlivom babę, zaś wodę na łeb pijanicy męża -wynałazła baba. Używa ona także w lekkich przypadkach wałka do ciasta lub pogrzebacza i wtedy dopiero rozjaśnia się chłopeczkowi w głowie, że żona jego to jest ten milicjan, co porządku pilnuje, tylko oboje nie wiedzom, czamu wtedy dziecka Wrzeszczom.

Czasami się małżeństwo nie pierze i wtedy to się nazywa harmonia (widzicie zaś instrument), ino nie wiem czy ustno, czy ręczno. Jest to piękny instrument, na którym powinni grać i chłop, i baba.

Jedna z naszych gosposiek musiała wyjechać do Opola w sprawach rodzinnych. Wybierając się do drogi, zdaje mężulkowi gospodarstwo, dyktując mu, co i jak ma zrobić. Pado więc:

- Hanys, toż dowej ino pozór: rano podlej zarozki kwiotki w donickach. Po tym namoż zygor łoliwom, kanarkowi nasyp świeżego ziarna. Potym tepichy wyklupej z kurzu. Amina naszego wykup w rzyce, bo mo błechy. Karlickowi dej ciepłego mleka, a starce przecytoj coś na wieczór z Żywotów świętych. No toż łostoń z Bogiem, Hanys, a sprawioj się dobrze.

Ano, nasz Hanys widać tęgi wrziciwrzoł porychtował wszystko, jak mógł nojlepiej. Kwiotki zarozicki rano podłoł ciepłym mlykiem. Do zygara nasypoł świeżego ziarna. Kanarka namazoł łoliwom, tepichy wykapoł w rzyce. Karlicka wytrzepoł z kurzu. Starka poloł w łódku zimnom wodom. Zaś Aminowi przecytoł wieczór coś pięknego z Żywotów. Staro powróciwszy z rajzy do chałupy, radowała się ponoć, ino padała do somsiodki, że przy takim ślimoku, to się ani na chwila z chałupy wyruszyć nie może.

- Lo Boga, Nowocko, a chtëż to tak u nich klnie straszliwie?

- A dyc to, wiedzom, mój stary, bo chce iść do kościoła, a nie może nikaj zność książeczki do nabożeństwa.

- Wszystkiego bych się była po tobie spodziewała, ale nigdy, żeś taki mamlas...

- Dzisz! A dyciś to zarozki mogła zmiarkować, jakech się z tobom żenił...

- Wiesz, Mari, ani se nie możesz pomyśleć, jakie to przejęte diobły som wszystkie chłopcy. Padom ci, żeby mój pierwszy nie był umarł, nigdy bych się po raz drugi nie była wydała.

- Pedzom mi jeny, panie Kokot, po jakiemu to jest, że gdowy się wdycki zaś tak wartko wydowajom?

Kokot: - Ano, wierzą, skiż tego, że umarci już nic nie poradzom pedzieć...

Pewien siodłok powadził się ze swojom babom w piątek, kiero się tak łozgniewała, iż bez calutko sobota ani słówkiem się do męża nie łodezwała. Mąż byłby tam już chętnie skończył z tymi kwasami, ale mając prawie (chłopi wdycki majom prawie), nie chcioł się uznać za winnego. Nazajutrz, w niedziela, przypodoł w kościele parafialnym łodpust, na kiery wiedzioł, że się żona downo radowała. Pado se więc: - Doczkej, już jo cię zażyją z mańkuta. Rano ło ósmej pado do pachółka:

- Maciek, uszykuj mi jeny siwka do kościoła!

Żona zmiarkowała, że kiej przy swoim uporze trwać bydzie, do kościoła nie pojedzie. Chciałaby chłopca jakoś udobruchać, ale nie wie jak. Po chwili łodzywo się do niego:

- Michał!



- Cego?
- Tyś w piątek kichoł?
- No to co?
- Toż dej ci Boże zdrowie!
- Bóg zapłać!... Maciek, zaprzęgnij tam pora koni do brycki, gospodyni też pojedą ze mnom do kościoła.

W ogrodzie zoologicznym strażnik objaśnia ciekawych.

- To sam jest "tyger" bengalski. Jest to łokropnie żarłocno gadzina. Łon bez jedna godzina zeżre całego srogiego osła. Jakoś kobieta ciągnie swojego chłopca, kiery stoi blisko klotki.
- Cof się, Richardku, cof, nie stój tak blank blisko tej klotki.

Żona: - Takoch zło, że z wściekłości mogłabych zgrzytać zębami!...  
Mąż (woła do służącej): - Mari, przynieś pani zęby, są na umywalce...

- Czy twoja Zefla poradzi warzyć?
- O jeszcze jak! Warzyć to łona fajnie poradzi, jeno jo tego, wiesz, nie poradzą jeść!

- A cóż to się stało, Nowocko, że jeich już tak w czas rano dzisiok bańtowoł?
- Ano wiedzom, skiż kurów. Musioł je budzić, bo nom wcoraj zdechł kokot.

Do mieszkania Pytlika zwoni sąsiadka. Otwiero dźwierze Pytlik.

- Przebocom, czy jeich kobieta som w doma?
- Nie - pado Pytlik - przed trzema godzinami wyszła na pięć minut do kamratki.

- Rychard, słuchaj jeny! Za tydzień obchodzimy strzybne wesele. Może bychmy tak na ten dzień zabili świnia?

- A czamu to? Cóż biedno świnia temu winna, żech jo 25 lot temu takie głupstwo zrobiól?...

- Musza ci się, Zeflik, łotwarcie przyznać, żech była łokropnie głupio, kiech się za cię wydowała.

- Co ty nie padosz! A teroześ już nie jest głupio?
- No toć, że już nie!
- Widzisz, dzióbeczku, jakeś mi powinno być wdzięczna za to, żech cię tak przełonaczył!

Pewien bergmon przypatrywał się w cyrku, jak pogromca poskramiał dzikie zwierzęta. Po przedstawieniu udał się do właściciela cyrku i powiada:

- Przeboczom, panoczku, wiela by też to kosztowało, jakby mi tak wytresowali moja baba?

Konstant jest samotny, czyli jak padajom starym kawalerem. Ale mo przyjaciółka wdowa, do kierej łod poru lot chodzi se każdego wieczora na... klyty.

- Powiedz mi, Konstant - pyto go się roz jego kamrat - czemu się to z tom kobietom nie łożenisz?

- Tociach to już chcioł zrobić - pado Konstant - alech se pomysłoł: kaj jo po tym byda co wieczór chodził, jak się łożenia?

- Mamulko, dzisiokach się powadziła z moim narzeczonym. Terozki zaś nie wiem, chto komu mo ustąpić?

- Przed ślubem ustap ty, po ślubie łon musi ustąpić!

Pewna młoda mamusia, która w nocy już kilka razy wstawać musiała do krzyczącego maleństwa, mówi do męża:

- Mógłbyś się też ruszyć i pohuścić małego, przeca to tak samo twoje dziecko jak i moje. Na to rozespany mężulek:

- Pohuściej ty swoja połowa, moja ta niech wrzeszczy!

- Maryjko, dziołszko moja, powiedz, czamu to se nie chcesz wziąć Gustlika? To przeca taki gryfny i statecny synek?

- No, ja, mamulko... gryfny synek to łon tam jest, ino wiecie wielki niedowiarek, kiejsiech się z nim powadziła, bo padoł, że nie ma piekła!

- A idź ino, idź, będziesz tam na takie ździebko patrzała. Jak się pobierecie, a łon pożyje z tobą bez pora miesięcy, to tam już w piekło uwierzy, aże uwierzy! ...

Stary przyjaciel do młodszego, mającego się żenić:

- Cóż to, Zeflik, żynisz się... a camuż to?

- Ano widzisz, bo chcą, żeby mi kobieta po śmierci łocy zawarła.

- Padosz? O mój przyjacielu, joch mioł dwie żony, ale te dziepiero mi łocy łotwarły, aże łotwarły!

- Gustla, Maryjo!... boch łyknał kneflik łod koszuli.

- No to dobrze - pado Gustla - przynojmniej roz bydziesz wiedzioł, kaj go mosz.

- Okropne jest to wasze miasto - pado teściowa, kiero przyjechała w odwiedziny ze wsi. Idą wcora z dworca, a sam dwóch buksów ciągiem lazło za mną.

Na to pado zięć:

- Czamuście się, muterko, nie łobejrzeli? Buksy by byli wrywali, jakby wos łobocyli...

- Nie mosz tyła kurzyć, Zeflik, sam w gazycie stoi, że kurzenie jest takie szkodliwe!

- A nie pleć ino, nie pleć. Mom, chwała Bogu, pięćdziesiąt lot, a dobrze wyglądom jak byk!

- No ja, widzisz, to prawda, ale kiejbys nie kurzył, to miołbyć już terozki, wierzą, sześćdziesiąt.

Richard Porwoł i Zeflik Puścił poznali kiejś gryfno dziołszka, Hejdla jej było na miano. Richard tak się w niej rozmiłował, że postanowił się z niom łożenić.

Ostrożniejszy Zeflik odmówił swego kamrata od tego zamiaru i dowodził, padając:

- Widzisz, Richard, jak se weźniesz Hejdla, to tak, jakbyś se wzion nowy sztywny kołnierzyk. Dziepiero, jak se go wrazisz na kark, zmiarkujesz, jaki to bydzie numer. Toż dej se lepiej pozór!

- Maryjko, ty najduchu, pódź ino sam! - woło z łokna staro Pytlino do swej pięcioletniej córeczki, bawiącej się z dziećmi sąsiadów na placu.

Maryjka wchodzi do izby, a matka dalej na nią przezywo:

- Wiciach ci to już razy padała, ślimoku jeden, że nie mosz się kamracić z tymi podciepami łod Kokotki. Nic się łod tych chacharów dobrego nie naucys, a ino cię zepsujom. Jak cię jeszcze roz z niemi łoboca, to ci ten pysk strzaskom, aże strzaskom.

W ciągu tego kozania macierzyńskiego wchodzi do izby somsiadka z drugiego domu i pado:

- Słyszeli to już, pani Pytel... ta Marta łod Drzystońki, co to z tym golacem uciekła, przyszła do dom, ale żeby wiedzieli... - widząc jednak małą Maryjkę, przerywa opowiadanie.

Pytlino, ogromnie zaciekawiona:

- Jeckusie, pani Musioł, no i cóż?... i cóż? Sąsiadka wskazuje jednak oczami na małą, że nie może przy niej dalej łożprowiać. Na to Pytlino:

- Maryjko, dzióbku mój, idź se trocha na plac, możesz się pobawić z dziołszkami łod Kokotki, idź se wartko, idź!

- No, dzisiok pierwszy roz łobudził mię na cas nasz nowy budzik.

- Po jakimu?

- Ano, staro rypnęła mię nim w łeb.

Do jednego z naszych kin, kiejsik wiecór, przychodzi jakiś chłop, melduje się u kierownika kina i zły jak sto diobłów zaczyna pieronić. Pado:

- W domu, pierona, wieczerze nie przyrychtowano, dziecka głodne nieumyte, łóżka niepościelone, w izbie połno gnoju, a moja baba siedzi sam u nich w kinie. Jak, pierona, nie zrobią, że zarozki stąd wylezie, to im ta cołko buda przewrócą do góry nogami. Kierownik kina przyrzekł uczynić wszystko, byleby się ino chłop uspokoił i nie robił brewerii. Wszedł potem do kina, stanął przed ekranem i w te odezwał się słowa:

- Szanowne Panie! Musze wam oznajmić bardzo niemiałą rzecz.

Przyszedł jeden mąż po żonę, która jest tu w kinie; pan ten twierdzi, że w doma nie ma wieczerzy, dziecka głodne, nieumyte, łóżka nieposłane i inne jeszcze wygaduje rzeczy, poza tym grozi, że jak ta jego żona nie przyjdzie, to tę budę przewróci. Najlepiej więc będzie, gdy ta pani, której się to tyczy, wyjdzie sobie tylnym wyjściem do domu.

Kiedy się po tym światło rozjaśniło, ani jednej kobiety nie było na sali.

Gdzieś tam na wsi umarł handlyrz. Baba zmarłego przoła mu bardzo, aże przoła, chociaż marcha nieboszczyk za życie lubił se tam pociągnąć z flaszecki, no i popieronić.

Najgorzej to, że jako handlyrz nie zawsze broł genau z woga i kaj mógł, to tam łocyganił. Myślała często o nieboszczyku, kaj też łon tam terazki bydzie i czy czego nie potrzebuje. Kiedyś ukazuje jej się we śnie duch i prowadzi ją do czyścica. Kiedy zaszli przed wrota czyścicowe, patrzy, a tam w ogniu, aż po kark, stoi jej chłopczek i miłosiernie patrzy na nią. Prosi więc owego ducha, co mogłaby uczynić, żeby męża z mąk wybawić. Na to duch:

- Złóżycie na biednych sto złotych, a tym z pewnością ulżycie jego niedoli.

Poszła więc i zrobiła, jak jej duch kazał. Chcąc się jednakże przekonać, czy ofiara poskutkowała, poszła znów do bramy czyścicowej (do której już znała drogę), no i zobaczyła chłopka stojącego jeszcze w ogniu, ale już tylko do pasa. Zwróciła się więc ponownie do ducha z zapytaniem, co jeszcze uczynić powinna, ażeby więcej mężowi ulżyć w niedoli. Na to duch:

- Ofiara złożona przez was widać nie wystarczyła, musicie jeszcze dać na ten sam cel sto złotych.

Kobiecinka poszła do gminy i sto złotych złożyła, jak jej radzono. Nazajutrz idzie znów przed czyściec, zagłado przez dźwierze i widzi chłopczka stojącego jeszcze w ogniu, ale już tylko do kostek. Zjawia się duch i radzi, żeby na całkowite wybawienie cierpiącego ofiarowała jeszcze sto złotych. Na to kobieta:

- Wiedzą, mój chłop za życia zawsze się skarżył na zimne nogi i kożdy rozech mu musiała dować butlę z gorącą wodą do łóżka. Toż myślą, że mu terazki domy spokój, niech se boroczek już ta stoi, aże stoi, bo mu aby bydzie w nogi ciepło.

W Szopienicach na dworcu podchodzi do kasy biletowej pewna kobiecina z czteroletnim synkiem, łobleconym fajnie modern w marynarskie ubranko z długimi galotami. Matka pado do kasjera:

- Dają mi jeden bilet i pół do Królewskiej Huty. Kasjer, widząc chłopaka w długich galotach, mówi:

- Słuchajom ino, matka, czy ten wasz synek nie musi też mieć cały bilet?...

- Po jakiemu? - pyto kobiecina.

- No, bo jeich synek widać już starszy, kiej chodzi w długich galotach.

Rezulutna niewiasta nie zbity z tropu, podnosi trocha kiecki i mówi:

- Ja, toż im to ło galoty idzie?... Widzom, jo mom krótkie, a płaca cały bilet, toż się to wyrównno.

Zaskoczony tym niezwykłym argumentem kasjer, daje kobiecie żądane bilety.

Całe zajście byłoby się na tym skończyło, cóż kiedy opodal stoi se jakoś handlyrka, która przysłuchiwała się rozmowie i kupiła już

bilet poprzednio. Oburzona podchodzi do okienka kasy, podnosi również kiecki i wrzeszczy:

- Pedzą mi ino, co to za cygaństwo na tych banach? Toż jo wcale nie mom galot - a musiałach za cały bilet zapłacić. Zarozicki mi dejcie pieniądze nazod!

- Mari, śniło mi się, żech umar - mówi mąż do żony

- A jak długo byłeś w czyścicu? - pyta żona.

- Ani trocha. Jak mię święty Piotr ujrzoł, to zarozki zawołał:

- Ty, Hanys, pójdiesz do nieba, bo jo znom ta twoja baba.

W pewnej odległej górskiej miejscowości odbywał się kiedyś w karczmie tak zwany radośnik - inaczej chrzciny. Według zwyczaju ojciec nowo narodzonego obywatela musiał uczta podejmować swoich sąsiadów.

W trakcie biesiady pyta jeden z gości, mocno już podochocony, młodego tatusia:

- Powiedz mi no, Józik, od kiedy ty jesteś żyniaty i z których stron pochodzi twoja żonka?

- No, dyć, we Wielkanoc w Milówce poznołech moją Zuskę. Od razu mi się spodobała, toch też nie czakoł i zarozkiem się z niom ożynił...

- Hm - pado ten drugi - we Wielkanoc? Latoś?... No, bracie, co ci powiem, to ci powiem, ale to ni może być twój synek!...

- Coście pedzieli? To nie jest mój synek? Ni powiedźcie tego jeszce roz, żebych wom nie musioł tej sklonki rozbić o wasz łeb...

- No, no! Dyć się tak zarozki nie ciepej, a posłuchej. Padosz, żeś się we Wielkanoc ożynił ze swojom Zuskom, tak? Wielkanoc była latoś w kwietniu, a terozki mamy początek września... Toż se ino dobrze porachuj, czy to może być twój synek?...

- Dzisz go, mađrala - odpowiada urażony do żywego tatuś. - Terozki ino wy posłuchejcie, bo jo bym wom tyż chcioł cosik pedzieć. Jak se, bracie, kupicie krowa i mocie jom już dwa tygodnie w oborze i ta krowa wom się w tym czasie ocieli, to czyje, do sto pieronów, bydzie to ciele, co?...

Do pewnego małżeństwa przyjechała w odwiedziny ich ciocia. Po paru tygodniach radości deliberowali małżonkowie, jakby się tej wizyty wreszcie pozbyć. Postanowili, że wywołają między sobą sprzeczkę i ciotka będzie musiała, chcąc nie chcąc, objąć rolę mediatora, zaś ta strona, na której niekorzyść się wypowie ciotunia, obrazi się i zażąda kategorycznie jej wyjazdu. Zrobiono tak, jak postanowiono. Tu jednak ciotunia okazała się sprytniejsza. Kiedy ją w trakcie awantury proszono o zajęcie stanowiska - kto ma rację - oświadczyła z miną baranka:

- Nie, moje drogie dzieci, ja się w wasze małżeńskie spory nie myślę mieszać. Tym bardziej że chciałabym u was posiedzieć jeszce przez parę tygodni...

Śtuchlik i Gruchlik, dwaj szwagrowie, jadą śtrasbanką do Szopienic na pogrzeb swojej teściowej.

Nie czynią tego ze zbyt wielkiej miłości do zmarłej, a po prostu, że tak być musi. Pamiętają, jak im to nieboszczka, nie bez powodu zresztą, nieroz nadała... jak świniom do koryta.

W sam raz przed wejściem na cmentarz przyłączyli się do konduktu i ze smutnymi minami stanęli nad otwartą mogiłą. Ksiądz, po odprawieniu modłów, zaczyna egzortę. Gorącymi słowami wychwala zalety zmarłej, jej anielską dobroć, słodycz i wielką miłość, jaką otaczała zawsze swoich bliskich...

Obaj wymienieni zięciowie słuchają z rozwartymi gębami tych słów... Wtem Śtuchlik śtuchnął Gruchlika i szepce:

- Froncek, wyrywejmy stąd, bo zdo mi się, że my som przy fołszywym grobie...

- Pani Wando, chciałem panią o coś zapytać! Czy chciałaby pani zostać moją żoną?

- Także coś. Czy nie ma pan czegoś lepszego?

- Owszem, tylko że tamta mnie nie chce! . . .

- Co pan robi wieczorem?

- Kładę się do łóżka.

- A przedtem?

- Śpię na kanapie...

- Wiesz - mówi kolega do drugiego - śniła mi się dziś twoja nieboszczka żona.

- Co ty powiadasz? I co do ciebie mówiła?

- Nic nie mówiła.

- Nic! W takim razie to nie była moja żona.

Kiedyś w gronie przyjaciół wzięto na języki biedne teściowe. Znalazł się jednakże ktoś, kto bronił je, perorując:

- Ja nie podzielam waszej opinii. Nie mogę słuchać bzdur wygadywanych stale na teściowe. Przecież i ja mam teściową, a zgadzamy się z nią doskonale i nigdy nie ma między nami krótkich spięć.

- No, to naprawdę jesteś unikatem - wołają przyjaciele. - A gdzie mieszka twoja teściowa?

- Gdzie? Ano w Brazylii.

Na dworcu kolejowym, przy wyjściu z peronów dyżurujący w budce kolejarz żąda od przechodzącego pasażera oddania biletu.

Naprzany pasażer odmawia wydania biletu, dowodząc:

- Ni mogą wom, obywatelu naczelniku, oddać tego biletu, a to skuli tego, iże mi moja baba nie uwierzy, iżech jachoł i se bilet kupił, a pyszczyć zaś bydzie do rana, żech te pieniądze przesłepoł.

Przysłowia polskie i ich użyteczność w aktualnych dyskursach małżeńskich

Ona - Mój mężulku, nie mam modnego płaszczka, a tu wiosna w całej pełni!

On - "Jedna jaskółka nie stanowi wiosny".

Ona - Trudno żebym chodziła w jesiennym kostiumie.  
On - "Do Świętego Ducha nie zdejmuj kożucha"  
Ona - Co sobie ludzie pomyślą o mnie, a przede wszystkim o tobie?  
On - "Nie suknia zdobi człowieka".  
Ona - Wszystkie moje przyjaciółki już są wystrojone według ostatniej mody.  
On - "Z prawdziwym przyjacielem zjesz beczkę soli".  
Ona - Ale one będą mnie po prostu wytykały palcami.  
On - "Na pochyłe drzewo i kozy skaczą".  
Ona - I cóż ja im odpowiem?  
On - "Mowa jest srebrem, a milczenie złotem".  
Ona - Rękawiczki mam podarte, szczególnie tę z lewej ręki.  
On - "Niech nie wie prawica, co robi lewica".  
Ona - Daj forsę mężulku, nie bądź uparty.  
On - "Z pustego i Salomon nie naleje".  
Ona - Przecież mieli wam podwyższyć?  
On - "Obiecanki cacanki, a głupiemu radość, to  
Ona - Mówiła mi wczoraj Zosia, że wszystkim podniosą.  
On - "Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle".  
Ona - I kapelusik letni też przydałby mi się.  
On - "Potrzebny jak dziura w moście".  
Ona - Pewno, że potrzebny, wy się na tym nie znacie.  
On - "Każda liszka swój ogon chwali".  
Ona - Buciki mi się zdarły, tylko cholewki jeszcze możliwe.  
On - "Poznać pana po cholewach".  
Ona - Więc odmawiasz stanowczo?  
On - "Słowo się rzekło, kobyłka u płota".  
Ona - A jeśli wam podwyższą lub dodadzą dodatek funkcyjny?  
On - "Zanim słońko wzejdzie, rosa oczy wyje".  
Ona - O ja nieszczęśliwa!  
On - "Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka".  
Ona - Nie miałam wyobrażenia, że możesz być tak uparty.  
On - "Cicha woda brzegi rwie".  
Ona - Słuchaj, a nie pożyczylbyś od kogo?  
On - "Nie urodzi sowa sokoła".  
Ona - Skąpiec obrzydliwy, kutwa!  
On - "Kto grosza nie szanuje, ten szeląga nie wart".  
Ona - Czemu mnie los ukarał takim samolubem?  
On - "Jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził".  
Ona - Chyba się rozwiedziemy!...  
On - "Strachy na lachy"  
Ona - Przekonasz się, że potrafię ci za to dokuczyć!  
On - "Kruk krukowi oka nie wykole".  
Ona - Byłam dla ciebie zawsze dobrą żoną.  
On - "Wart Pac pałaca, a pałac Paca".  
Ona - Kochałam cię, potworze!  
On - "Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny".  
Ona - A co mam w zamian za to?  
On - "Lepszy rydz niż nic".  
Ona - Teraz popamiętasz mnie potworze, tyranie!  
On - "Raz kozie śmierć".

## 26. Nasze skrzoty i najduchy

Mały Hanys poszoł z ojcem do menażerii. Stoją prawie przed słoniem. Hanysek przyglądo się z zaciekawieniem i pado do ojca:

- Ojciec, tako rubo skóra to by nom się ale łobum przydała...

- Po jakimu?

- Ano, ojciec, wom, jak wos mamulka pierom, a mnie - jak zaś pon rechtór walom.

- Mamulko, czamu to niewiasty wdycki rade noszą białe szaty?

- Ano widzisz, moje dziecko, to skiż tego, że bioło szata oznaczo szczęście i radość, zaś czorno smutek!

- A toż tak? Terozki dziepiero wiem, mamulko, czamu młody pon, jak idzie do ślubu, mo czorne łachy...

Karlik przynosi ze szkoły do dom świadectwo. Matka cyto go:

- Pilność dobra, staranność dobra, zachowanie złe. - Słuchej no, ty śpiku - pado oburzono - zachowanie tyż powinno być dobre!

- Ja? Toż powiedzcie to, mamulko, rectorowi. Jo przeca nie piszą świadectw.

- Czamu to tak płaczesz, Hanysku, co?

- Bo ciotka Hażbieta... u... u... spadli... u... u... ze schodów...

- No przecach ci już padała, że se ciotka nic nie zrobili.

- Ja, jo wiem, u... u..., że nie... u... u..., ale Hejdla widziała... u... u... jak ciotka slecieli... u... u..., a jo ni... u...u...

- Ach terozki bych cię tak słodko pocałowała, aż strach! - pado sześćioletnia Weronika.

- Dziecko, co ty pleciesz? - woło oburzony ojciec. - A któż cię nauczył takich rzeczy?

- A to nasza Barbórka - odpowiada śpik niewinnie.

- Barbórka? No, doczkej, naucza jo jom całować, aże naucza!

Mówiąc to odpina pasa i wychodzi gniewnie z izby. Wtem do pokoju wchodzi matka.

- A kajże ojciec? - pyto.

- Ojciec? A dyc poszli do kuchni, ucom Barbórka całować.

W Teatrze Polskim w Katowicach wystawiono piękną baśń pt. "Szkłana Góra", która cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród młodzieży.

Kiedys jedna matusia powiada do syna:

- Karlicku, umyj se kark, pódziemy dzisiok na ta jakoś tam góra ze skła.

Karlik se kark fajnie wyszorował. Cóż, kiej fater miast po bilety wloz widać kaj indziej, no i z teatru nic.

Za pora dni powtórzyło się to samo: Karlik kark

wymył, ale do teatru nie poszoł, bo to było przed wypłata.



Po wypłacie zaś to samo: już mieli iść, kark był fajny, ale coś wlaźło w parada, no i zaś nic z tego.

Nareszcie po pierwszym tatulek przynieśli bilety. Pójdą na pewno. Mamulka woła Karlicka i przypomino mu, żeby se kark umył, bo pójdą do teatru. Na to Karlik:

- Ja, nie ma tak dobrze, zaś się umyją i byda bez cołki tydzień, jak gupi lotoł z umyłym karkiem, a do teatru zaś nie poda!

- Hanysku, czamuż to tak płaczesz?

- A bo tatulek rypneli się młotkiem w palec.

- No to z tego powodu nie potrzebujesz tak płakać!

- Joch się tyż przodzi śmioł z tego, ale potym mnie ociec zeprali.

- Synek, dyć cicho! Czamuż to tak płaczesz? - pytajom mamulka.

- A bo mi zol, że te lwy tyła chrześcijanów zeżyrajom!

- No dyć nie potrzebujesz zaroz tak beczeć, ty dobre serce moje.

Przeca to w kinie, a nie naprowda.

- No ja, mamulka, ale podziwejcie się, tyn biedny lew tam na zadku jeszce ani jednego nie chycił. Dyć łon z głodu zdechnie.

- Karlicku - pado ojciec, do którego przez podwórze zdaża nieubłagany wierzyciel. - Schowia się do szafy, powiedz tymu panu, kiery sam idzie, że mię nie ma w domu, zech poszoł furt.

Karlik zrobił, jak mu tatulek polecił. Kiedy jednak wierzyciel pyto, kiedy ociec przyjdą nazod, otwiero skonsternowany Karlik drzwi od szafy i pyto: - Tatulek, kiej to przydziecie nazod?

- Wyciepniesz zarozki te grziby, ty śpiku! Jak to w domu uwarzycie i zjecie, to się otrujecie... to są grzyby trujące.

- No dyć jo wiem! Tych grzybów nie bydziemy ani warzyć, ani jeść. Jo ich, wiedzom, ino niesą na sprzedaż!

Maryjka: - Ale to dziwne, aże dziwne, nom ci boczoń przyniośł braciszka aż do samego łóżka.

Zefla: - To nic tak dziwnego. Mojemu tatulkowi przyniosła jakoś frela syneczka aż do kancelaryje!...

W pewnym małym miasteczku przed domkiem, na którego drzwiach wejściowych umieszczona jest tabliczka z napisem: "Katarzyna Krzykała - położna" stoi taki mały śpik, wspina się na palcach, usiłując dostać dzwonka umieszczonego pod tabliczką. Przechodzący na spacer miejscowy proboszcz widzi bezskuteczny wysiłek malca, podchodzi do małego, bierze go w ramiona i podnosi do dzwonka. Chłopiec pociągnął i zadzwonił, aż się cała chałupa zachwiała. Pocziwy ksiądz proboszcz postawiwszy urwisa na nogi, pyta:

- No, a teraz co?

- Terozki? No teroz, księzoszku, musimy ale pieronem uciekać!...

- A chtëż to strzaskoł ta szyba?
- A dyć mamulka, ale to z winy tatulka, kierzy łodskoczyli w bok, jak mamulka na nich ciepnyli gorkiem.

Rechtór nakazuje dzieciom w szkole, żeby ile razy w domu zdarzy się jako zaraźliwo choroba, nie przychodziły do szkoły.

Mało Maryjka Kopyciok nie przyszła bez trzy dni do szkoły.

- Nasi muter byli chorzy - pado Maryjka.
- A czy była to zaraźliwa choroba? - pyto rechtór.
- Nie wiem, ociec padają, że to u nos jest chroniczne.
- Co ty padosz, aż chroniczne? A cóż matce brakowało?
- No, jo prawie to nie wiem, ale za każdym razem to momy potym w doma jedno dziecko więcej.

Mały Karlik pado do swojego bogatego ujka, kiery przyszoł w łodwiedziny do łojców:

- Ujku, pogryźcie se trocha trowy, ja!
- Cego, trowy? A tobie co zaś strzeliło do łeba, Karlik?
- A wiecie, ujku, bo tatulek padali, że jak bydziecie gryźli trowa, to potym bydymy mieć automobil i willa.

Karlik i Zeflik dostali łod łojca skarbonki. Mieli do nich składać swoje oszczędności, aby na dzieciątko mogli kupić sobie podarunki. Krótko przed Bożym Narodzeniem Karlik z bekiem przychodzi do ojca.

- Cóż ci się to stało?
- A dyć Zeflik, ten gizd, wtyko dycki swoje pieniądze do mojej skarbonki.

- Mamulko, a czy ludzie to w ziemi rosna?
- A czamuż to, Hanysku?
- No, bo ujek, co przyjechali wczoraj ze świata, padali do tatulka. - Człowieku, a kajś tyż tako baba wykopoł?

- Ciotko, zostawiłech wom bombona.
- A to pięknie, Wichtorku, no toż godej! Ciotka bierze cukierek, wkłada do ust i zjada go.
- No, ciotko, czy smakowoł wom tyn bombon?
- No toć że smakowoł, syneczku.
- No widzicie, terozki blank nie mogą poszkopić, czamu go nasz Amin wypłuł.

Mały Zeflik przychodzi ze szkoły cały wymazany marasem.

- Ty jancykryście! - jak to zaś wyglądosz? - padajom muterka.
- A mamuliczko, boch się przewalił do marasu!
- W tych nowych galotach!...
- No, dyć takech gibko wlecioł, coch już nie mógł galot seblec.

- Staroszku, czy wy mocie jeszcze zęby?
- Ni, moje dziecko, jużech wszystkie stracił.
- No, toż trzymejcie mi ta żymla z wusztem, aż se ta klipa łostrugom.

Hanys przyszedł ze szkoły do domu cały zaślimtany.

- Cóżżeś to zaś nabroił, ty jancykryście? - pyta matka.
- Dyć mię rehtór zeproł...
- A za cóż?
- Bo ino jo jedyn łodpedzioł na pytanie...
- Cego to? Przeca za to cię chyba pochwolił. A co ci się spytoł?
- A dyć spytoł się mnie, fto to wraził ta żaba do kałamorza.

Pewien łocięc trzymoł łostro swoje dzieci. Roz podczas łobiadu łodzywo się synek:

- Tatulek!

Łocięc wejrzał surowo i pado:

- Cicho, najduchu, dziecko jeny wtencas łodpowiado, kiej go się pytajom, a jo się ciebie ło nic nie pytom...

I je spokojnie dalej. A kiej skończył, pyto się synka:

- No i cóżżeś to chcioł pedzić?
- Ja, terozki już jest nieskoro, tatulku! W szałocie, kieryście jedli, była glizda...

- Gustlik, czamu to chcesz, żeby ci ino starka dowali lekarstwo?

- No bo starce trzęsom się ręce i jak mi lejom lekarstwo na łyżeczka, to większo cęść łozlejom.

- Sam przidziesz, najduchu, jo cię naucza słuhać! Jestech twój łocięc aboch nie jest twój łocięc?

- Jako to? To mnie każecie zgaduwać?...

Jeden znany redachtór mo synka bardzo żywego, kiery ojcu porząd przeszkodzoł w pracy, stawiając mu ciągiem najniemożliwsze pytania. Zniecierpliwiony tatuś zrywa się ze stołka i pado:

- Przejęty bębnie, jak mi się jeszcze roz ło coś zapytosz, to uciekną z izby i się łobiesza!

- Tatulku - woła synek - to mię weźcie ze sobom, jo bych rod chcioł widzieć, jak się łobiesicie!

Pewien łocięc doł niegrzecznyemu Zeflikowi w skóra. Skończywszy ta przykro procedura, pyto:

- A teroz powiedz mi, mój synku, za coś dostoł baty? Zeflik rycząc:

- Widzicie łocięc, jacyście wy som! Przodzi mię pierecie, a potem to sami nie wiecie ło co.

- Mamulko - pado mały Hanysek - naszo ciotka Hażbieta mo tako słodko gęba...

- Słodko padosz, po jakimu?

- No wiecie, skiż tych piegów, jak na nią patrzą, to tak jak bych jod kołoc z posypkom.

Łocięc leży se rano w łóżku i czyto gazeta. Jest niedziela, więc aby roz w tydniu można się porządnie wylenić. Mały Hanys, taki se pięcioletni śpiak, tyż już nie śpi, wloz se do łojca, baraszkuje po

pierzynie i animuje łojca do zabawy, prosząc, aby się w coś zabawili.

- Ano - pado łociet - dobrze, toż w co się bydziemy bawili?  
 - Ano - pado synek - zabawimy się w Niemcy i w Polaka. Joch się to nauczył łod Gustlika Kwaśnioka.

- No, a jakoż się to bawi?

- Ano - pado Hanys - jo wleżą pod pierzyna, a jak zawołoćie "Polska" to jo głowa wystawia z pierzyny, jak zaś powiecie "Miemcy", to jom wartko skryją pod pierzyna.

Zabawa się zaczyna i wszystko szło doskonale, po chwili jednak łociet się zaczytał w gazecie i zapomniół blank zawołać "Polska". Po pewnej chwili Hanys woło spod pierzyny:

Łociet, a dyć wołejcie Polska, bo sam w Miemcach taki luft, że nie idzie wytrzymać.

### 27.Ło szkole, szkolorzach i rectorach

Chłopczyk, powróciwszy ze szkoły, opowiada tatusiowi, jak to na lekcji pan nauczyciel opowiadał o zwierzętach, które co roku na zimę nowe otrzymują futerka. Na to tatuś:

- Cicho, synuś! Na miłość Boską, żeby tego mamusia nie usłyszała!

Na lekcji przyrody nauczyciel pyta:

- Powiedzcie mi, dzieci, z czego robi się kiełbasę? Milczenie.

Nauczyciel wrywa jednego z uczniów i mówi:

- No, Francik, ty, jako syn masarza, powinienes wiedzieć.

- Tak, proszę pana nauczyciela, ja to wiem, ale mój tatuś zabronił mi o tym mówić i zapowiedział, że jeśli komuś powiem, to mnie zbije na kwaśne jabłko.

Kiedys uczeń zapytuje nauczyciela podczas lekcji:

- Proszę pana, mój tatuś kazał się pana nauczyciela spytać, czy pan lubi gęsinę?

- O, tak, mój chłopcze - odpowiada uradowane ciało pedagogiczne - powiedz swojemu tatusiowi, że bardzo lubię gęsinę.

Po kilku dniach pyta nauczyciel owego ucznia:

- No i cóż tam, Kubica, z tą gęsiną?

- Nic, proszę pana nauczyciela. Ta gęś już wyzdrowiała.

Nauczycielka - Kokot, powiedz mi wiela jest trzy razy śtyry?

Kokot - Dwanoście.

Nauczycielka - Dobrze. A wiela jest śtyry razy trzy?

Kokot - Śtyry razy trzy jest szesnoście.

Nauczycielka - Źle!

A pragnąc nieukowi wytłumaczyć rzecz poglądowo, każe przynieść swojego pieska skomlaćego pod drzwiami klasy. Bierze więc psa i zwracając go głową do ucznia pyta:

- Co to jest?

- To jest pies - pado uczeń.

- Dobrze - a odwracając teraz psa drugą stroną do ucznia, pyta - A to co jest?

- To jest suczka, proszę pani nauczycielki.

Nauczyciel - Płazy są to stworzenia, które ani stać, ani chodzić nie mogą, tylko pełzają po ziemi. Kto z was zna takie stworzenie? Jeden z uczniów - Nasz Alojzek w domu, panie rektor, jest takie stworzenie, bo łon nie umie stoć ani łazić, jeno bajuko po izbie.

- Lelek, ile doba ma godzin?

- Pięć dwadzieścia.

- Co? Któż cię to tak nauczył?

- A pan rektor wczoraj padali, że terozki dzień już ło godzina jest dłuższy!

Przed wiejską szkołą zatrzymał się wóz z mlekiem, zaprzężony w osła. Syncyska drożniom biedne zwierze, jeno potulny Hanysek stół na boku i nie broł udziału w tym gałgaństwie. Chłopcy dokuczajom coraz bardziej osiołkowi.

Wtem nadchodzi właściciel wózka, syncyska uciekajom; przy wózku został jeno Hanysek, kiery w poczuciu swej niewinności był pewny, że mu się nic nie stanie... i naroz dostoł festelnie w gęba.

Nie czekając, aż drugi roz dostanie, ucieko do sieni szkolnej i wpada na księdza kapelonka, kierzy ucyli katejmusku.

- Co to za zachowanie - woła oburzony księszoszek i maznął Hanyška bez gęba.

Z płaczem i wrzaskiem wpod Hanysek na schody i spotyko pana rektora.

- A ty co tak skrzecysz, najduchu?

- Bo ksiądz kapelonek dali mi w pysk, a jo przeca temu osłowi nicech nie zrobił!...

I Hanysek zaś dostoł po raz trzeci w pysk.

- Podobno jeich synek dostoł zły stopień z historii.

- A bo tym rektorom to się już we łbach poprzewrocało... pytajom biedne dziecko ło takie rzeczy, kiere się stały, kiej go jeszcze na świecie nie było.

W jednej wiosce otrzymał pon rektor w podarunku łod jednego z wdzięcznych łojców ucznia mendel jaj.

Uradowany tym bardzo postanowił skorzystać ze sposobności, jako że prawie była lekcja rachunków i przerobić na owych jajach, do kupy z uczniami, cztery działania rachunkowe.

Zaczon więc nauka w te słowa:

- Słuchajcie ino, dzieci i dowejcie pozór. Na górze mom koszycek z jajami. Idzie tam Pluszczyk i przynosi trzy jajka, po tym idzie Różla Gmyrek i przynosi coś styry. Wiela to bydzie do kupy? No, powiedz Pataś!

- To bydzie siedym!

- Bardzo dobrze! No, a terozki jo śniesia jeszcze pięć. Wiela to bydzie do kupy? No, powiedz,;

Jendrek?

Jendrek się zacyno śmiać do rozpuku i nie odpowiało.

- Czamu się śmiejesz? Odpwiadej na pytanie, ośle dardanelski! - woło zagniewany rehtór.

- Jeckusie, panie rehtór, przeca łoni nie poradom snosić jajec, łod tego przeca som kury!... :

- Haźbietko, nie gańba cię to - pado rehtórka - mosz już śternoście lot i nie potrafisz nawet bez błędu napisać własnego nazwiska?

- A cy to się opłaci? - pado Haźbietka - za pora lot się wydom i byda się i tak inacej nazywała.

- Te, Hanys, powiedz mi, skiż cego Pon Bóg stworzył kartofle?

- No toć zwyczajnie skiż tego, coby biedny cłowiek miał tyż kogo ze skóry łobdzierać.

Nauczyciel w szkole objaśnia szczegółowo uczniom zdanie: "Wiek sędziwy należy szanować!". Chcąc się przekonać, czy dzieci zrozumiały, daje taki przykład:

- Powiedz mi, Gomóła, jakbyś postąpił, gdyby do przepełnionego tramwaju, w którym siedzisz, wszedł staruszek?

- Pedziołbych: - Nie ryjom się sam, bo nie ma placu!...

Nauczyciel - Jak się nazywosz?

Uczeń - Nie wiem.

- No, a jak na ciebie w domu wołają?

- Śpiku, pódź ino sam!

Mały Karlik porząd przychodzi do szkoły na nauka za nieskoro. Pon nauczyciel, źli, mówiom:

- Te, Gnojek, wiciach ci to już razy padół, żebyś nie przychodził do szkoły nieskoro, co? - Na to Karlik: - Jo nie wia, panie rehtór, wiele razy mi to padali, joch se myśloł, że łoni to wdycki zapisujom!...

Rehtór - Dowej pozór, Gustlik. Jak z przodku byda miał północ, z lewej strony zachód, a z prawej strony wschód, to co byda miał na zadku?

Gustlik. - Panie rehtór... kiej się wstydzą pedzieć!...

- Gustlik - pyto się rehtór w szkole - co otrzymujemy z gęsi?

- Z gęsi mamy dobre mięso.

- Dobrze, co jeszcze?

- Z gęsi mamy tłuste.

- Dobrze, ale mówi się tłuszc, a nie tłuste... Ale co jeszcze mamy z gęsi? No, nie wiesz?... Co macie w domu, w łózkach?

- Płoszczyce, panie rehtór.

Mały Gustlik jest uczniem pierwszej klasy. Kiedyś był bardzo niegrzeczny. Pan profesor, którego napomnienia nic nie skutkowały, przesłał ojcu Gustlika karteczkę z następującą treścią: "Gustlik zachowuje się w klasie niegrzecznie, ustawicznie gada i

przeszkadza innym w nauce". Karteczkę tę miał Gustlik na następny dzień zwrócić profesorowi z podpisem ojca Gustlik przyniósł nazajutrz wspomnianą karteczkę na której obok podpisu ojca przeczytał zdanie: - "Panie profesorze, to jeszcze nic, to by trza dziepiero musieć poznać jego matka - ta dziepiero godo, aże godo!"

- Hanys, powiedz mi, co to jest stary kawaler?
- Stary kawaler to jest szczęśliwy człowiek, panie rehtór.
- A skąd ty to wiesz?
- No bo tatulek prawia to co dzień do mamulki,

Nauczycielka zadała w klasie wypracowanie na temat: "W jakich wypadkach przewyższają zwierzęta ludzi?" - Roztropna Ludka napisała:

"Łabędziom albo pawiom wyrasta ze skóry samorzutnie piękne odzienie z piór, mojej mamusi nie! Wielbłąd może całymi dniami chodzić nie pijąc mój ojciec nie".

- Kopyciok, powiedz mi dlaczego Cham śmiał się z ojca swego Noego?
- Bo się Noe łożar, panie rehtór!
- Bardzo dobrze. Ale nie mówi się łożar, a upił..! Ale gdyby i tak było, czy śmiałyś się z własnego ojca?
- Nie, panie rehtór.
- Dlaczego?
- Bo każdy roz, jak łociet przyłazom do dom łożarci, to jo już śpia.

Nauczycielka na lekcji przyrody opowiada o kwiatkach. Pragnąc dzieciom uzmysłowić różnicę między pięknem róży i fiołka, prawi:

- Wyobraźcie sobie wysoką, piękną panią, kroczącą z dumnie podniesioną głową... jest bogato ubrana, na nikogo nie spojrzy, nikomu się nie ukloni - to róża. A teraz za nią idzie stworzenie niepozorne, skromnie spuszcza głowę... co to jest?

Cała klasa wrzeszczy:

- To jej mąż... To jej mąż!

Nauczyciel pyto w szkole dzieci:

- Moje kochane dzieci, powiedzcie mi jakieś przysłowie.
- Hanys wstaje i mówi: - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
- Dobrze! - mówi nauczyciel - siadaj. Gustlik, powiedz ty jakieś inne przysłowie. Gustlik wstaje i mówi: - Deszcz leje jak z cebra.
- Dobrze, siadaj. A ty, Zeflik, jakie znasz przysłowie.
- Zeflik wstaje i mówi: - Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.
- Dobrze, siadaj.

Wtem nauczyciel widzi, że Karlik. dłubie w nosie i patrzy na muchy. Woła więc:

- Te, Karlik, co dłubiesz w nosie, a nie uważasz na nauka? Powtórz zaraz to samo, co ci trzej powiedzieli.

Karlik naturalnie nie uważał, słyszał, że dzwonia ale nie wiedział w którym kościele. Wstaje i mówi:

- Jak se kto pościele i rano wstaje, to leje jak z cebra.

## 28. Wczasy... wczasy...

Tak dużo się godało i czytało we wszystkich gazyciskach ło wczasach, ba, nawet jakiś konkurs łołosili na nojlepszy list z wczasów (pierwszo nagroda - meter krakowskiej... ), zech se zarozicki pomysłał: Musisz se tyż, braciszku, na te wczasy, czyli inaczej odsapkę, pojechać, kiej tak namowiajom, no i co ci się tyż noleży. Ale to, bratowie, nie takie proste, jak spijcować micha żuru ze szpyrkami... Mom bardzo zdrosno żona, toż zanimech jej wytłumaczył, że żor i dziecka nie mogom z chłopami jechać, a to ski tego, ażeby se człowiek pracy mógł od wszelkiej pracy, tak zarobkowej jako i domowej łodpocząć. Zanin mi się udało jom przekonać, toch wom się tak zmęczył, że mi te wczasy już pieronem były potrzebne. Przyjechołech wreszcie w góry i aż mię zatkało, pomyślcie, pracować pod ziemiom w mroku, bez słońca i naroz znojsć się nogle wysoko w górach w zieleni, w słoneczku, to tak, bracie, jak byś się do nieba dostał...

Rano, zamiast cię baba ściagać wołaniem z łóżka:

- Wstowej, ty lyniu, zarozki pięć na zygarze, zaś szychta zmitrężysz... - to za drzwiami woło jakiś słodziński głosik:  
- Panie Śtuchlik, czy pójdzie pan z nami na Klimczok?

Łobliznólech się i padom:

- Toć! Razym byda gotowy. A po tym se myślą:

- Ej, dzióbecku, jakby nos tak terazki moja staro słyszała, tobychmy już tego Klimczoka nie łoładali...

Dobrze se człek pojod i leżoł na werandzie (z tom werandom tyż wiecie musiołech mojej przysięgać, że to nie jest żadne nowe miano... ) i dziwoł się w to modre niebo i grzoł się na słoneczku i myślał:

- Ej, ty wągliczku roztomiły, twardyś jak pieron, ale tyż grzejesz jak to słoneczko i byłeś kiejsik drzewem i szumiołech lasem.

I tak mi się ciepło zrobiło na sercu, boch czuł, że świat górnika to nie jeno podziemie kopalni, ale także góry i lasy.

Była nos sporo gromada na tych wczasach i było nom jak w raj. Robilichmy se wycieczki i śpiewali i do słońca wyciągali

spracowane ręce i prostowali grzbiety. Zaś wieczorem przed udaniem

się na spoczynek, tochmy se gwarzyli, abo też wyśpiewywali

nasze piękne śląskie pieśni, niczym nasi praojcowie, kiedy jeszcze na roli pracowali.

Toć po cichu wam powiem, że były tyż i takie wczasowicze... ło kierych tylko gorzoa i dancik... Jak porzomni już spali, to te strupy z knajpy wyłaziły i takie robili larmo, że wszystkich budzili. No, ale takim tochmy takie zagrani "bugi-ługi" - że musieli ło przedłużenie swoich wczasów prosić.

Pięknie było, wiecie, ino terazki staro nie dowo mi spokoju, porząd mi cosik wymowio:

- Ty, coś to zaś dzisiok we śnie wołoł jakosik panna Zośka? Ino się przyznej, ty stary cygonie!

- I tak porząd, że se już nie wiem rady...



Toż proponowałbych naszym władzom, coby i naszym żonom i dzieckom takie wspólne wczasy urządzili... ale jednak bez nos! Ino, że wtedy my naszym babom zazdrościom spokoju nie domy!... I tak źle i tak niedobrze! Więc niech już bydzie tak jak jest, jako że takie wczasy majom swoje dobre strony. Człek se łodpocznie, a staro więcej przaje, jak się ło chłopa boi...

To, co mi moja staro zapowiadała - wykonała ponad norma. Wystarała się, by jej tegoroczne wczasy przydzielono do kupy se mnom... Jak to rzitula zrobiła, nie chce mi ani rusz zdradzić.

Dość na tym, że nom sam w Wiśle we wczasowym pięknym domku przydzielili wygodne, schludno izbetka z werandom, z pięknym widokiem na Stożek, na dole pod oknami szemrze strumyczek, kierymu ślubny mój dzióbeczek swoim całodziennym szemraniem pierońsko robi konkurencyjo...

Rano, ledwie oczy otworzę, zaczyno się słodkie kwilenie:

- No, coś ty dziś taki kwaśny, Karliczku, czyś się to nie wy społ?... Pódź, siodej przy stole i pośniodej, chłopeczku, to ci się zaraz humor poprawi... Po śniodaniu wybieremy się na ta Równica - ale gibej się, bo nieskorzej bydzie już za górko... Mosz, kociczku, zjedz se tyż te moje jojka, kiere mi dali na śniodanie, i to masło tyż... jo jakoś nie mom apetytu, za mało mom ruchu, a chciałaby ch schudnąć... No, czego się tela namyślosz? - Zwyrtiej się i jedz, już dziesięć na zygorze!...

Przerywom to słodkie szemranie i padom z pokorą:

- Nie gorsz się, aniołeczku, ale chcą ci pedzieć, że jo dzisiok nie byda móg iść na ta wycieczka, boli mnie w krziżu i rwie w kolanach, widać, że się zaś reumatyka odżywo... Idź se ty do kupy z tymi wczasowiczkami, z kierymiś się wczoraj skamraciła, i kiere cię na ta dzisiejszo wycieczka namowiały. Jo se łostana w doma i poda z tobą na inkszy roz...

- Ach, na inkszy roz - pado łona - możesz in-kszych głupieloków szklić, a nie mię, ty stary cyganie! Toć, jakeś sam łoński rok był som na wczasach, to cię szłapy nie bolały ani cię tyż w krziżu nie strzykało. Ale wtedy się szło na wycieczki z jakimiś tam Zoškami i Kazieczkami... ło kierych się do dzisiejszego dnia we śnie godo! Ze swojom rodzonom, ślubnom żonom, to mu ciężko jest iść... Poda "na inkszy roz" z tobą, dzisz go - rajca... Smołą na twoje towarzystwo, znojda se inksze, lepsze i robić byda to samo, co i ty... żebyś wiedzioł, łowado jedna... I jeszcze takiemu krętowieh swoje jojka dała na śniodanie, żeby se lepiej podjod bezskurcyjo... Łod gęby se człowiek łodejmuje, żeby takiemu strupowi dogodzić, a łon ci się tak łodwdzięczo... A dyć żebyś tych joj nie strowił, chacharze, i żeby cię w basie gniotły tak długo, podwiel sam bydziesz - wszystko za moja krziwda...

Pedziawszy to, wejrzała na mnie, jakby mnie przebić chciała słypkami. Chyciła swoja torba, wziena paryzol, strzeliła dźwierzami, że się cołko Wisła zatrzęsała w posadach. .. i poszła, jak padała - kaj ją łoczy poniosom.

Nie trwało długo i uwidziołech, kaj ją to te jej oczy poniosły.

Razem z pół tuzinem wczasowniczek, z którymi się już zdażyła skamracić, łoześmiane i rozpytlowane, ciągly jak nie przymierzając

kaczuszki na basen kąpielowy, żeby się tam podziwiać, jak chłopcy bydom się kąpać i na jakieś tam trympoliny skakać...

Pierona, górkę mi się zrobiło, myślałem, że mnie krew zaleje. Głowa mi ciąży, macom się po czole i czują jakby mi już rogi rosły...

- Źle - padom - Karliczku, do tego nie możesz dopuścić.

Nie wiele się zastanawiając, ściepech swoją piżama, ogoliłem się na gładko, łoblykłem się na jasno i podyrdołem za babami na ten basen. Przychodzą tam, dziwom się, a tam zabawa na całego. Na dole we wodzie stoi jakiś karlus, chłopisko jak smok, łopolony od słońca prawie jak murzyn, zębiska jak z porcyłany, śmieje się na cały regulator i wyciąga ku górze ramiona i śpiewo:

- Pójdź w ramiona, moja luba, daj skosztować twego dzioba.

Dziwom się na wierch, a tam na tej trympolinie stoi w całej swojej łokazałości moja staro, a jej paryski kostium kąpielowy skłodoł się z listka figowego. Ze śmiejącym fyrniokiem, mizdrzyła się do tego szekuladowego podciepa, pochyłono, wyciągała ku niemu ręce i już miała mu skoczyć w ramiona, ale samech już nie wytrzymał, myślałem, że mię ślak trefi!...

Nie zastanawiając się ani chwileczki, tak jakich był w łachach - skoczyłem do wody i flaszką selterskiej wody, kieromech prawie był kupił, rypnąłem tego Don Hułana bez łeb.

Stęknął, zipnął i stracił się we wodzie.

A sam, moja baba, jak zaczyna krzyczeć i piszczeć:

- Ludzie, ratunku! Chyćcie tego robsika, dyć ten łoszkliwiec zabił mi mojego nojmilejszego!

Ludzie zacyni mię gonić, tysiące rąk wyciągało się ku mnie, by mię dopaść i naroz... brzęk... zleciołem z łóżka...

W łebie mi zadzwoniło, alech dzwignął swoje zbolące styry litery, rozglądom się dookoła i ku mojej niełopisanej radości stwierdzom, że to wszystko, co przed chwilą przeżywoł, to był sen - nojprowdziwszy sen!...

Łotwierom na łoścież łokno, a sam śmieje się ku mnie Równica, naokoło góry i lasy, słoneczko grzeje, kokocik pieje, kokoszki gdaczą, dzieciśka skaczą, a co nojważniejsze - mojej starej nie ma!

Jednak jakieś rozrzewnienie i tęsknota chyćły mnie za serce, za domem, za żonom i padom se:

- Nie bój się, babeczko, ło swojego chłopiecka i nie strosz go we śnie, boch ci wierny i krętymi drogami chodził nie byda, zawsze ino równymi na Równica - ku tobie! To bydzie, widzisz, mój nojlepszy uśmiech wczasów.

- Gdzie ty tak długo byłaś, mamusiu? - pyta mały Kazio, gdy matka po dłuższej nieobecności powróciła do domu.

- Ja, syneczku, byłam trzy tygodnie w kąpielach.

- Trzy tygodnie? To ty, mamusiu, ale musiałaś być brudna...

W górskim uzdrowisku klimatycznym w Tatrach, pewna wczasowiczka z Katowic takie oto zdanie wpisała do księgi pamiątkowej pensjonatu, w którym mieszkała:

- Rozkoszując się pięknem przyrody w uroczym W., gdzie tak gęste mleko, a tak cienkie powietrze, z trwogą myślę o powrocie do domu, gdzie czeka mnie znowu gęste powietrze i cienkie mleko...

Pewien mieszczuch zamierza wybrać się z całą swoją rodziną na letnisko. Pisze więc do właściciela pensjonatu, u którego już raz spędzał wczasy, że chętnie wynająłby znowu mieszkanie, ale odstrasza go świński chlew, znajdujący się zbyt blisko domu. Na swój list otrzymał taką odpowiedź:

- Od czasu, kiedy państwo u nas mieszkali, świń już u nas nie było, mogą więc państwo spokojnie przyjechać!

### **29. Ło buksach, chacharach i inkszych miglancach**

W przedziale wagonu trzeciej klasy siedzi kilku karlusów i jedna pani. Jeden z nich kopci cygara, puszczając kłęby dymu jak z komina.

Oburzona pani zwraca się do palacza:

Gdybym była pana żoną, wsypałabym panu do kawy trucizny.

A jo, gdybym był jeich mężem - odpowiadło karkas, przyglądając się brzydkiej damie - tobych bez namysłu wypił ta trucizna?

- Te Zeflik, kiejs taki mądry, to powiedz mi ino, jako jest różnica między mojom babom a radiem?

- A skąd jo ło tym mom wiedzieć, mamlasie?

- No widzisz, to jo ci powia: moja baba do godanio nigdy nie potrzebuje nijakiej anteny...

- Wiecie co? Jest nos trzech, urządzimy se do spółki fajno wieczerso. Jo dom jodło.

- No dobrze. Jo, jo dom picie.

- No, a ty Karlik?

- Jo wom dom słowo, że byda jodł i pił z apetytem.

- Wiesz, robią terazki kuracyjo, ale mię to łokropnie biere. Koždy dzień wstowom ło piątej, po tym się gimnastykują do szóstyj, potym się kąpią w zimnej wodzie do siódmej, potym do ósmej lecą na szpacyr, potym bez ustanku robią do piątej, zaś potym lotom do szóstyj, potym się seblykom do naga i do siódmej zaś gimnastykują. Dziepiero terazki, po tym wszystkim, jem tyn pierszy talerz wodzionki.

- Ale człowieku, jak ty możesz takie życie wytrzymać?

- A dobrze, przeca to jo łod jutra dziepiero zacynom.

Jakiś wandrus włazi do cukierni i wybiero se przy bufecie ciastko z jabłkami. Kelner mu przynosi do stolika, ale wandrus łozmyślil się i ciastko z jabłkam łoddaje nazod. Za to chce kasek babki z makiem kierom zjod z apetytem. Potem wstaje, łociero gęba i chce wyjść.

- Hej, panie! - woło kelner. - Łoni nie zapłacili za ta babka z makiem!

- Po jakimu - pado wandrus - cych im nie dół kołoc z jabłkami?
- No ja, ale za kołoc z jabłkami tyż przeca nie zapłacili!
- No, a cych go to zjod?

- Wiesz, Zeflik jak mój majster jest zły, to zarozki mo cerwony pysk.

- To nic, u nos to gorzej. Bo jak nasz majster zły, to jo potym mom cerwony pysk...

- Jako to, trąbo jedna, nie wiesz, kaj mosz śledziona? No przeca w tym miejscu, kaj mosz zegarek.

- To nie może być...

- Jakże to nie może być? Czamu?

- No, bo jo mom zegarek w lombardzie.

Dwóch karlusów, oba jakały i zażarci nieprzyjaciele, spotykają się na drodze. Jeden pado do drugiego:

- Cofnij się, ty pie... e... e... e... roń... s... s... ski strzępie! Na to drugi:

- Pieronie, cy... c... y... y... cy cofniesz to... to sło... o... o... wo na... na... zod? Pierwszy:

- Głupiś, pieronie, jo... joch jest rod, zech zech go wy... y... y... ciep!

- Ty, Hanys, cy już wiesz, że dzisiok rano ło piątej umar nasz przyjociel Zeflik?

- Co ty padosz? No wiesz, mię by się coś takiego nie mogło zdarzyć, jo ło piątej to jeszcze śpia...

Powiedz mi, Zeflik, czamu pies mo zawsze zimno sznupa?

- Czamu? Ano widzisz dlotego, że pies zawsze dźwigo łogon do góry i jak po tym łotwiero pysk, to mo zawsze wielki cug.

- Hę, panie Kokot, kiedy to mi wróca moje pieniądze?

- Na drugi tydzień!

- Ja, na drugi tydzień! To mi łońskiego tydnia tyż godali.

- No, to im na drugi tydzień tyż tak powia... Joch nie jest taki człowiek, co jeden tydzień tak pado, a drugi inaczej.

Do pewnej restauracji przychodzi Zeflik Czyżyk i siado se za stołem. Podchodzi kelner, Czyżyk pyto:

- Panie starszy, czy był tu już Fyrtok?

- Ni, nie był.

- Toż bydom tacy dobrzy i dajom mi jeden czysty srogi i wielkie piwo.

Po wypiciu nasz Czyżyk woło jeszcze roz to samo, później jeszcze roz i powtorzo to coś z piętnaście razy. Rezultat był taki, że Czyżyk miał już dość, co zmiarkowawszy kelner, robi mu awanturę. Wtedy Czyżyk powstaje z krzesła i pado:

- Wiedzom, panie starszy? Fyrtoka sam jeszcze nie było, ale jak przyjdzie, to niech mu pedzom, coby sam zapłacił za mnie... - no i poszoł.

Dwóch kamratów, ale łoba jakały, poszli se roz do kupy na szpacyr. Po pewnym czasie jeden z nich wskazuje palcem na wierch i pado:

- Ty... t... ty Hanys, dzi... dzi... wej się... się na wir... wir... wir... chu... le... już pie... e... rona przeleciało. 1

Zanim ten drugi zmiarkował o co chodzi, nic już nie było widać. Idom se więc dalej i milczą. Jeden patrzy w niebo, zaś drugi na ziemia. Po chwili drugi łodzywo się do tego pierwszego:

- T... t... ty Ze... e... e... flik de... e... dej po... po... zór, bo... bo... bo sam na... na zie... e... e... mi le... ży g... g... g..., jużeś wloz.

Francik i Manuś, nieodłączni kamraci, pojechali kiedyś razem do Krakowa. Zachodzą do Hawełki, siadają przy stoliku i coś se zamawiają. Na stoliku stoi karafka z jakimś płynem kolorowym, bardzo apetycznie wyglądającym. Oczywiście była to esencja octowa. Francika ogromnie kusiło, ażeby to skosztować, a upolowawszy odpowiednią chwilę, gdzie to ani goście, ani tyż Manuś, zagapiwszy się na jakoś tam frela, nie zwracali na niego uwagi, chwycił flachę i porządnie z niej łyknął. Efekt był taki, że mu się aż zaświeciło, a oczy zaszły łzami.

Manuś widząc to, pyto:

- A czegóż to płacasz?

- Ano, widzisz, spomniół mi się kolega, coch z nim był na froncie, a zabiła go granata i bez to płaczą.

Za chwilę, kiedy znów Francik zagapiony na jakiegoś tam gościa odwrócił głowę, Manuś łap za flachę i mocno z niej pociągnął. Rezultat był ten sam, co poprzednio u Francika. Francik, widząc u Manusia oczy pełne łez, pyto:

- A czegóż ty płacasz? Na to Manuś:

- Ano płaczą, pieronie, skiż tego, że wtenczos ta granata ciebie nie zabiła.

- Na miłość Boską, człowieku, co wy robicie?

- Ano, chcą się łobiesić.

- No, jak się chcecie łobiesić, to se musicie przeca powróz na kark założyć, a nie naokoło brzucha.

- Ja, wiedzom, joch już próbował, ale jak se powróz na kark założą, to luftu nie mogą chycić!

W jednym miasteczku w nocy podchodzi do lombardu jakiś tyrkniety karlus i dzwoni przy bramie tak, że o mało dzwonka nie urwie. Wściekły i przerażony właściciel lombardu otwiera okno i pyta, co się takiego stało?

- A dyciech sam u nich łonegdaj zastawił zegarek, mo numeru 2528, byda tak dobrzy i łobejrzą, kiero terozki może być godzina.

- Pierzyna, po dioble to, jak idą wedle knajpy, to się nijak nie poradzą łoprzyć i musza tam wleźć. Zaś jak stamtąd wylazuja, to się wdycki musza ło coś łoprzyć.

- Słuchejcie jeny, jak wom się tak bardzo chce jeść, czamu to nie szukocie se jakiej roboty, co?

- Idom, no idom! Jak robia, to mi się przeca dziepiero chce jeść - tuplowanie.

- Powinniście się wstydzić!... Wielu razy wos spotykom, to zawsze wylazicie z knajpy!

- A cóż to chcieli, żebych nigdy stamtąd nie wylaził?

- Ale doprowdy, padom wom, chmotrze, iże baba nie jest człowiekiem.

- E, nie berejcie ino, nie berejcie... czamuż by to baba nie miała być człowiekiem?

- Ano, toć możecie się przekonać. Jak zawołacie za chłopem: hej, człowieku!... to się łobejrzy, a spróbujcie ino tak samo zawołać na babę, łobocymy, cy wom się łobejrzy...

Jakiś nasz typowy bukslik, kiery roboty nie znod, bo jej nigdy nie szukoł, ulyłoł się kajś na fest, tyrpnał ło jedna chałupa, potym ło drugo, zawadził ło jakoś latarnia, kiero mu prawie musiała stoć w drodze, no i gichnał jak długi na chodnik, nie daleko przykopy. W oka mgnienu robi się zbiegowisko. Podchodzi milicjant, łapie naszego brata za kragiel i pyto:

- Cóż to sam leżysz na tej ziemi? Na to bukslik:

- Przebocom, panie wachtmajster, jo wiedzom, piero... ona, słuchom, cy tam na dole moje kamraty wagle kopiom.

- Francik, nie gańba cię to łazić w takich łachach zamazanych? Dziwej się, pełno na szakiecie klabustrów!

- Cego się byda wstydził, pieronie, dyć to nie jest mój ancug.

- Hanys, co byś woloł: pożyczyc se tysiąc złotych, czy jakbych ci podarował dziewięćset?

- Mamlasie, toć pewne, że wola, jakbyś mi doł dziewięćset!

- Widzisz, trąbo! A nie zol ci tej setki?

Przed japytkom, coś ło trzeciej po północy, jakiś karlus zwoni i zwoni, ledwo zwonka nie urwie. Japytkorz wylazi z łóżka, zły jak sto diobłów, łotwiero dźwierze i pyto:

- Cego to zaś chcecie?

- A dyć, panocku, bydom tak dobrzy i dajom mi za dwadzieścia groszy rumianku.

- Cego, rumianku? A nie możecie to po takie głupstwo przyjść rano, co? A nie budzić ludzi po nocy?

- Padajom. panocku, rano? Ano dobrze, toż przyjdą rano. Łostanom z Bogiem!

Do Katowic przyjeżdża spod Pszczyny jakiś gospodarz, który chce odwiedzić krewnego, mieszkającego przy placu Miarki. Podchodzi do milicjanta i pyta:

- Przebocom, kaj sam jest plac Miarki?
- A dyć stojom na nim.
- Hm, pierona... totyż nic dziwnego, że łażą i łażą, a znajść nie mogą.

Hanys Kintara przyszoł z urlopu w nocy do koszar i budzi Gustlika Macalika, z kierym śpi w jednej izbie. Gustlik jest z tej samej wsi, co Hanys. Hanys tyrpie Gustlika i pado:

- Gustlik, śpisz to?
- Śpią, a co?
- Ano Truda kosała cię pozdrowić.
- Dziękują bardzo!

Po pięciu minutach Hanys zaś woło na Gustlika:

- Gustlik, śpisz to?
- Cego mię, pieronie, porząd budzis, aże budzis?
- No, bo Truda kosała cię pozdrowić.
- A dycieś mi to, mazoku, już pedzioł, a jak mię jeszce, pierzynie, roz łobudzisz, to cię tak mazna w ten kichol, że mię popamiętosz bez ruski miesiąc.
- Ady zaś tak źle nie bydzie, Gustlik. Jo cię jeszce furt byda budził, bo cię Truda przeca kosała pozdrowić tysiąc razy...

- Co to, ząb ich tak boli? A dyć jo bych go zarozicki wyrwoł, jak by to był mój.
- No, dyć i jo bych go wyrwoł, jak by to był jeich.

Karlik (najmując izba): - A wiela im to, panuchno, płacił za ta izba na miesiąc downiejszy kwaternik?

Gospodyni: - Ten chachor... ani fenika nigdy!...

Karlik: - No toż dobrze... Biera ta izba na tych samych warunkach!

Rzecz dzieje się kole jakiś rzeki. Stojom następujące łosoby: łociet, mały zmocony synek, kierego przed chwilom wyciagnyli z wody, no i jakiś obcy.

Ojciec: - To łoni wyciagnyli mojego synka z wody?

Obcy: - Tak, to jo, panoczku.

- Ojciec (groźnie): - A kaj, pieronie, jest copka, co?

W nocy ło trzeciej jakiś karlus łązi na czworakach po ulicy. Podchodzi drugi jego kamrat i pyto:

- Hanys, pierzynie, cyś zgłupioł? A cóż ty sam robisz?
- Jo? A dyć szukom sto złotych!...
- Cego? Sto złotych?
- No dyć!
- A to ci bracie pomoga... Po ćwierć godzinie:
- Hanys?
- A cego?
- A cyś je sam sicher stracił?

- Pieronie, przeca jo nie padoł, zech je stracił, jeno że ich szukom!

Hanys, spotkawszy Gustlika po roku niewidzenia go: - Kajś to tak długo bywoł?

Gustlik: - Dziepiero coch rok odsiedziol.

Hanys: - A za cóż to?

Gustlik: - Podkowach wzion jednemu gospodorzowi.

Hanys: - Toś za to aż rok dostol?

Gustlik: - No, bo się tak głupio zdarzyło, że z tą podkową do kupy był koń, wiesz!

- To pono w Katowicach majom budować taki dom ło dwudziestu sztukach?

- Piernika! Na tym gelyndrze przy schodach bych chciol jechać z wirchu na dół!

Jakiś psiarek siedzi se w parku na ławce, obok niego jakoś frela z pięknym białym pudlem. Raz, dwa, znajomość zawarta; psiarek zwraca owej freli uwagę, że ten pies byłby jeszcze piękniejszy, gdyby go się odpowiednio ostrzygło i że on mógłby zarozki to zrobić.

Frela odpowiada, że nie mo nic przeciwko tynu. Psiarek zabiero się do roboty i oporzadził pudla jak się patrzy. Po skończonej robocie żada 10 złotych. Na to frela:

- Ani myślą płacić, przeca to nie mój pies...

W pewnym państewku zaangażowano nowego kata. Jegomość ten, nim został katem, był dawniej opravcą, potem golarzem, w każdym razie umiał się z ostrymi narzędziami doskonale obchodzić. Kiedy mu więc oddano pierwszego skazańca, którego miał ściać, zauważył, że to jakiś znajomy, nie może sobie jednak nijak przypomnieć, kiedy go poznał. Pyta więc skazanego:

- Ja pana skądś znam? Na to skazany:

- To, wiedzom, bardzo możliwe, oni mnie downiej pora razy golili, ale ściać, to mię dziepiero majom pierwszy roz...

Spotyka Karlik Zeflika.

- Karlik, faronie jeden, po jakiemu ty do roboty nie chodzisz?

- Widzisz, do kina chodzą.

- Jak to, tak każdy dzień chodzisz?

- A dyć każdy dzień. Już ten film dowali w jednym kinie trzy razy, a jo furt chodzą i jeszcze byda chodził do innych kinów.

- A cy wdycki na ten som film?

- No toć, na ten som.

- A co ty tam widzisz?

- Toż słuhej! Tam jest tako gryfno dziołcha, co się sebyko do naga i prawie jak już koszula ściepuje, to ci jedzie pociąg i już nic nie widzisz.

- No, to co więcej chcesz?

- Widzisz, Zeflik, przeca tyn pieroński pociąg, wierzą, roz przijdzie nieskorzej!...



- Te, Hanys, jako jest różnica między sofą, a mrowiskiem?
- Nie wiem.
- No, pierzynie głupi, siednij se na mrowisku, to się dowiesz.

Hanys i Gustlik łążom po fehcie. Roz przyśli do jakigoś panocka i proszom pięknie ło wsparcie. Toć łoba som łobtargani i corni. Panocek ten dziwo się na łobuch i pado zły:

- Nie byda z wami godoł, dopóki nie zvekslujecie koszule - i mówiac to, strzelił dźwierzami. Hanys i Gustlik stoją na schodach zdziwieni.

- Jo ci terozki już blank nie poradzą spokopić, co tymu pieronowi z tego przyjdzie, jak jo łobleca twoja koszula, a ty moja!

- Żałuja, panie Kichol, nie mogą im nic pożyczyć! Musza się starać ło moich biednych rodziców.

- Ja? A jeich rodzice padali mi, że nie dostajom od nich ani grosika.

- No widzom! Jeśli nie dom nic moim ojcom, to im byda dowoł?

Jeden z naszych Śłazaków, nazwiskiem Hanys Lelek, nie mogąc nikaj w kraju dostać roboty, wywędrowoł na okręcie, kaj się zgłosił za hajcera, do Ameryki. Myślał se boroczek: jak się ino dostana do tego kraju, kaj dolary rosnom na stromach, to mi już bieda nic nie zrobi... Ale dostać się do Ameryki, to jeszcze nie wszystko, o czym się mioł nasz Hanys przyleżytość przekonać. W tej obiecanej ziemi dolarów bezrobotnych jest więcej niżby kto myślał. Toż nasz Hanys łąził i łąził z dnia na dzień, łod rana do wieczora i szukoł tej roboty. Nareszcie pewnego dnia szczęście mu się uśmiechnęło i dostoł robota w jakimś wędrownym cyrkusie. Bez dzień pomogoł ustawiać ten cyrkus. Zaś na wieczór zawołoł go dyrektor do siebie, kozoł mu wdzioć tako skóra od niedźwiedzia. Potym zawiedli go na arena i kozali mu się mocować z prowdziwym niedźwiedziem. Hanys, kiery zmiarkowoł, co się święci, struchłoł. Cofać się z areny było go gańba, bo to był chłop z naszej wiary. Zaś jak łostanie, pewny był, że go ta bestyja rozszarpie... Więc kiedy się ta walka zaczyno, zbliżo się nasz Hanys po lekku ku niedźwiedziowi i rzyko "Ojcze nasz" itd.

Wtem podskakuje niedźwiedź ku niemu i pado do ucha: - Pieronie głupi, a dyć się nie bój, bo jo tyż ze Śląska...

Zeflik Kotyrba i Gustlik Macalik poszli sobie kiedyś na wander. Przyszli do większego miasta, ale im się jakoś nie widziało, ufechtować nic nie mogli i tak głodni i pełni smutku tapiom sobie nad brzegiem rzeki i utyskujom nad swoim losem.

- Pieronie, Zeflik, abo się utopić, abo co, bo ci tego już nie wytrzymom.

- No to się utop, nicht ci tego nie broni - pado Zeflik.

Naroz Zeflik aż podskoczył i pado do kamrata:

- Gustlik, som pieronie pieniądze, cytoj! - i mówiąc to wskazuje tabliczkę, stojącą niedaleko brzegu, na której widnieje napis: "Za wyratowanie tonącego płaci Magistrat pięćdziesiąt złotych".

Na to Gustlik: - To cóż z tego, kaj mosz topielca?

- No, ty głupieloku! - pado Zeflik. - Ty bydziesz się topił, bydziesz ryczoł ratunku, a jo cię z wody wyciągną.

- Kiej nie poradzą pływać.

- To nic. Jo trocha poradzą i jakoś cię tam z wody wyciągną, nie bój się! Pięćdziesiąt złotych pewne, kieremi się po bratersku podzielimy i bieda się skończy.

Jak uradzili, tak tyż zrobili. Gustlik wchodzi na jakoś tam przybrzeżne kępka i nie namyślając się wiele, wskakuje do wody. Woda jednak w tym miejscu głęboka, ciągnie Gustlika w dół. Biedak więc zaczyna naprawdę tonąć i z wywalonymi oczami wrzeszczy:

- Zeflik, topią się... ratuj!

Tymczasem Zeflik stoi najspokojniej przed tablicą z wlepionymi nań oczami i ani myśli pomóc kamratowi. Po wielkich usiłowaniach udało się pół żywemu Gustlikowi jakoś wygramolić z wody. Podchodzi więc do Zeflika i pado:

- Czamuś mię nie ratował, tak jakechmy to łobgodali, o mało co, a byłbych się utopił. To kamrat, przyjociel tak robi? Co? To świnia by porządniej postąpiła, ty diobli soroniu, ty! Za to cię tak ino maznać w pysk, żebyś zaroz do tej wody wleciół.

Na to Zeflik:

- No, cóż się tak łozdzierosz? Dyć inoch chcioł twojego dobra i tyla.

- Jak to dobra? - pyto Gustlik.

- Ano, joch chcioł, byśmy więcej zarobili. Dyć cytej na tej tablicy! Sam stoi: "Za wyratowanie tonącego płaci Magistrat 50 złotych. Za wyciągnięcie trupa płaci się 100 złotych". No toż powiedz, chciołech twoja krzywda? I cy mom gowa na karku?...

Richard do Alojza: - Pieronie, Alojz, ale źle wyglądosz!

Alojz: - Nie dziwota, jak człowiek musi przy monterach harować od rana do wieczora.

Richard: - A długo to tam już robisz?

Alojz: - Po niedzieli mom zacać...

- Wiesz, Hanys, kupiłech ci se psa, wilka, a taki ci do mnie przywiązany, że za nikim nie pójdzie, ino za mnom, od nikogo żarcio nie weźmie ino łody mnie, nikogo ci nie uzre, ino mnie.

- Karlik, weź mycka i idź do sklepu! Kupisz wusztu, szynki, szwajcarskiej kejzy, styry flachy koniaku, dwadzieścia flaszek piwa, dziesięć cygor, no i kup żymel.

- Tatulek, a cy to wszystko mom wziąć na borg?

- No nie, żymły możesz zapłacić.

- Zeflik, powiedz mi, jako jest różnica między kozłem, a dyrektorem banku?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Toś trąba. Widzisz, kozieł wdycki sam trefi do kozy, zaś dyrektora banku trza tam dziepiero zawieźć.

A teraz wam opowiem coś inkszego, o dwóch bumelantach, kierymi byli Janek Rozbiłzbonek i Fronek Straciłwionek. Wybrali się oni roz do Koczkodonek gwoli jabłek. Ale gospodarze płonek pilnowali, toż naszym zawolokom nie dostało się nic. Chleba w kabzie nie było, a waluty tyż nic, toż smykom zaczynny za niedługo flaki porządneho marsza grać. Żli, jak sześć do kupy wziętych i związanych dioblów, położyli się na przydrożnej łące, naprzeciwno piknej willi. Rosło tam sporo szczawiu. Zaczęli liście garściami zrywać i jeść, kombinując, że mieszkańcy willi dojrzą ich i zlitujom się nad biedakami i dadzom jakiś porządny posiłek. Wyglądało tak, jakby się mieli nie pomylić, bo otworzyło się okno i ukazała się w nim postać szykowej kobiety. Naszym andrusom zaczęło serce bić raźniej, w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić. Ślinka zaczyna im napływać do ust. Wtem kobieta woła:  
- Hej, chłopcy! Idźcie se tam za dom, tam rośnie więcej tych liści i nie som takie skurzone.

Jak babeczka swojego chłopeczka z bumelanctwa wykurowała  
Hasło dnia: "Plan sześćioletni musi być i będzie wykonany" - domaga się, ażeby wam tu coś poklycił o bumelantach, inaczej o zawalcach, lebo gnojach, jak ich sam u nos na Śląsku nazywają. Otóż tak zwany bumelant jest to taki stwór, kiery nie lubi roboty w żodnej postaci i czynił bydzie wszystko, żeby się ino od roboty wymigać.

Rano, ledwie ślypie otworzy, już myśli, czym by się dzisiok od pracy wycyganic, symuluje więc choroba. To go boli głowa, to zaś łomie reumatyka abo trapi go morzisko... Jeśli się nijak wykręcić nie może i do tej pierońskiej harowy pójść musi, to więcej urzęduje w haźlu aniżeli przy warsztacie.

Przinojmniej roz na miesiąc chowo swoja teściowo, a przinojmniej śtyry razy w roku swoja starka... Zawsze pieron wymyśli coś ważnego na swoje usprawiedliwienie.

Toć wiadomo, że taki zatracony gnojek-bumelant to szkodnik, kiery przynosi gańbę rodzinie, kolegom, fabryce i jest zakałą załogi...

Otóż jeden z takich, górnik z zawodu, a Paulek mu było na miano, był takim właśnie bumelantem. Chłopisko młode, zdrowe, a mocne jak śtyry konie na owsie... a rębacz taki, że jak się kieregoś miesiąca założył z kolegą to śtyrysta pięćdziesiąt procent normy odwalił.

Ale cóż, jak przyszły na niego tak zwane "psie dni"

- jak chyciła go choroba zwana powszechnie "lyń-go-tropi", to go już żodno siła z domu do roboty wyciągnąć nie poradziła...

Paulkowa baba, Haźbietka, bardzo się skuli tego tropiła i przemyśliwała, jakby sam tego swojego lynia oduczyć bumelanctwa.

Kiejś rano, jak zwykle, Haźbietka budzi Paulka i pogonio go, coby wstoł po gibku, bo inaczej zaś szychta zmitręży. Chłop wreszcie dźwignął się i zaczyno lamencić:

- Nie gorsz się, babecko, ale jo dzisiok na szychta nie poda, boch bardzo jest chory!... Tak mię cosik w bebechach żere, że se rady dać nie mogą... - i padając to, łobrócił się tworzą ku ścianie... Hażbietka nic na to nie łodpedziała, rozpoliła ogień pod kuchnią i zabrała się do porządków w izbie. Po jakies godzinie woło Paulek:  
 - Hażbietko, nie dałabyś mi to ździebko kawy? Bardzo mię morzy!...  
 - Kawy ci się chce, chłopku? Dyc dałabych ci kawy, ale mi już wyszła. Byda musiała iść do spółdzielni i kupić nowej.  
 - Toż leć, dzióbeczku, leć, ale po gibku, bo wytrzymać nie poradzą...

I poleciała Hażbietka, długo jej nie widać, wreszcie przychodzi i pado: - Nie byda ci Paulek, mogła uwarzyć kawy, bo spółdzielnia zawarto. Kierownik i jego kupczyk są chorzy...

- Cego, chorzy? - wrzeszczy Paulek - to jest cygaństwo! Bumlują te pierony! Przecach wczoraj z tymi pieronami godoł...

Po chwili zaś Paulek skamli:

- Hażbietko, cygaretki bych se zakurzył. Idź, dzióbeczku, do budki i kup mi dziesięć mocnych. Ale wstap tyż, babko, po drodze do piekarza i przynieś mi ze dwie żymły, boch głodny jak wilk...  
 Hażbietka poszła i jak jej nie ma, tak nie ma. Wreszcie po dwóch godzinach wraca.

- Pierona kandy! Ale tyż siedzisz! No mosz te mocne? Dowej!

- Toć psinco mom nie mocne. Kiosk zawarty!

- Czego, zawarty? Czamu zawarty?

- Zawarty, bo kioskarzowi zachorowała teściowo, toż musi jej robić obkłady...

- Obkłady? Bumelant pieronowy! Zawrzyć takiego strupa!... No, a żymły kupiłaś?

- Ni, bo piekorz chowo dzisiok swoja starcka i skuli tego zamknął sklep.

- To stopierońsko lipa! - skrzeczy Paulek. - Dyc to już czworto starcka w tym miesiącu! Wiela to ich ten bumelant mo, aże wiela? To się przeca można wścieknąć!... To są pierońskie porządki!...

Suł pieronami ognistymi i siarczystymi, aże się kurzyło...

Wreszcie wściekły wyskoczył z łóżka i wrzeszczy: - Hażbietko!

Dowej mi moje klamory! Idą do roboty!...

- Paulek, a ciebie co użarło? Do roboty? Przecasz ty chory, boroczku!

- Ja, us... molony, a nie chory. Już mi lepiej i nic mi nie bydzie... Idą!...

Hażbietka nic nie pedziała, ino się ukradkiem pod nosem uśmiechnęła i poszła do kuchni. A kiedy już Paulek wkłado na głowę czopkę i zabierol się do wyjścia, pado do niego:

- Paulek, chłopeczku mój!

- No, czego zaś?

- Dyc cię przeca głodnego nie mogą puścić do roboty. Pódź, mosz sam w izbie na stole kawa, żymłyj no i kęs kiełbasy. A nie zabocz zabrać ze sobą taj paczka mocnych, coch ci je kupiła...

- A to co zaś za szachrajstwo? Przecasz padała, że sklepy pozawierane i niceś kupić nie mogła?

- No dyć pozawierane, ale ino lo chorych, kierzy muszom i powinni pościć. Zdrowi jednak muszą jeść!...

Paulek zawstydzony połknął ta pigułka, uśmiechnął się i chwycił w objęcia żonę... Po tym podjod se festelnie, podziękował pięknie i poszedł na kopalnia. A stanawszy na swoim filarze, chwycił kilof i zaczął nim śmigać i se przyśpiewywać:

Rabie górnik węgiel, aż się łąta kiwa,

Jak mu ciężko idzie, piosnkę se zaśpiewa Oj dana, dana, od wczesnego rana, Oj dana, dana, do wieczora - prysk!

Dziwują się ludzie, skąd tako ochota?

Bo mnie lynch nie tropi - raduje robota!... Oj dana, dana, nawołuje w koło, Idźcie w moje ślady - bydzie wom wesoło!...

A w doma Haźbietka się radowała, że Paulka z bumelanctwa wykurowała.

### 30.Ło dziadach i inkszych smykach

Jakiś zawodowy żebrok, jak to padają łodpustowy, jedzie se na robota baną do Częstochowy. Siednył se wygodnie w trzeciej klasie, ale jechoł bez bileta.

Na najbliższej stacji chycił go na tym cygaństwie siafner, dopod go za kragiel, kopnął za respechtem kajś i wytrząsł z bany. Ale zanim pociąg ruszył w dalszo droga, dziod zaś niepostrzeżenie wloził do jednego z inkszych wagonów i jedzie dalej. Tu dopod go drugi siafner, doł mu pora razy w kark, kopnął w zadek i zaś go wyciep na peron.

Na tej stacji dockoł dziod drugiego pociąga, wloził i jedzie dalej. Ale sam dopod go zaroz jakiś bardzo zły i grubelacki konduktor, a przekonawszy się, że dziod jedzie bez bileta, kopnął go zaś pora razy kajsik i na następnej stacji wyciep z bany, kaj go łoddoł w ręce naczelnika stacji.

- Jak się nazywocie? - pyto go naczelnik.

- Kasper Torba.

- A kaj to chcecie jechać?

- A dyć panocku, jak to mój zadek wytrzymo, to bych chcioł dojechać do Częstochowy.

Pani do żebraka: - Wolicie talerz zupy czy 10 groszy.

Żebrak: - Jakoż ta mogą wiedzieć, panuchno, kiedych jeszcze zupy nie skosztował?

Jakiś przechodzień zwraca się do synka, kiery wiedzie niewidomego:

- Czy to twoi łociet, synku?

- A dyć moi.

- A łod kiedy to nie widzom?

- A dyć zwyczajnie, panocku, łod rana ósmej aż do wieczora, jak piźnie na zegarze dziewięć.

- A co się stało, staroszku? Przeceście wdycki stoli pod fara, a terozki żebrzecie kole dworca?

- No ja, dyć tak było, panocku, alech terozki to miejsce przy farze musioł dać zięciowi, jak wiano lo cery. Jo tam, wiedzom, już mom dość, niech się terozki łon dorobio.

- Litościwa osobo, aby grosik biednemu!

- Co, ty chacharze, gorzoła leci od ciebie, a dziadujesz i ani mycki nie sejmiesz z łeba?

- Przebocom, panocku, ale widzom tam na rogu stoi policyjon, jakby łobocył, zech sjon mycka, to by mnie za dziadowanie wzion do dziury, a tak se bydzie myśloł, że idzie dwóch przyjocieli.

Żebtrak żałośnie skarży się pewnej pani, do której zapukał po jałmużnę:

- Ja, ja, panucho, i joch mioł kiejs lepsze casy, kaj to ech we włosnym wózku jeździł.

- O, wy, biedaku - mówi wzruszona pani, wręczając żebrakowi złotego, - A kiedyście to mieli własny wózek?

- Ano, bydzie tymu styrdzieści lot, zarozki po urodzynie!

- Ja, ja, panucho, obaśmy kaleki. Jo, wiedzom, nie widza, a moja kobieta jest głuchoniemo.

- O borocki, a jak wy się porozumiewacie?

- A na migi, panucho, na migi.

Dziad (do przechodzącego): - Panocku, dają mi co, bo mom dziesięcioro dzieci!

Pan: - To jeszcze macie mało?

Dziad w Piekarach na kalwarii przed kościołem krzyczy:

- Kochane duszycki miłosierne! Nie łopuscejcie mnie tyż biednego sieroty! Nie mom ani łojca, ani matki, a ciotka boroka mię jeno z litości porodziła! Nie łopuscejcie mnie biedoka, a Pon Jezusek, co tu w tym kościele, w tym ślicznym ołtorzu mieszko, wom to stokrotnie wynagrodzi.

Jeden z pątników daje mu złotego i pyta, jak długo tu już przed tym kościołem stoi i jak ten kościół w środku wygląda.

Dziad odpowiada:

- Ho, panocku! Ja już tu siodom kielanoście lot. W tym kościele jest pono bardzo pięknie, ale to się już tam niech sami ło tym przekonajom, bo jo tam w nim, wiedzom, jesce nie był, skiż tego, iże nie chcą robić ciżby i że nie chcą zawodzac cudzym ludziom, co tu przychodzom na łodpust.

- A dyciech se terozki przypomniał, zech nie wloz do jednego kupca bogoca, kiery mi co rok dowo dziesięć złotych.

- No, łosmól go tam, a dycieś przyniósł tyla pieniędzy, że nom styknie, to mu te dziesięć złotych podaruj.

Ale tu dziad się zrywa z ławki i wrzescy:

- Podaruj! A mnie chto co podaruje?

### 31. Bery cienkie i rube, chude, tłuste i spod frópa

Kiejś przed teatrem w Katowicach stoł motocykl z przyczepą, którego właściciel widocznie pokrzepień się w jednej z pobliskich knajp. Przechodzeni Hany i Gustlik, obaj bezrobotni, a ujrawszy motocykl, stanyli i przyglądajom się maszynie ze wszystkich stron. Kiej się przekonali, że właściciela nie widać, pado Hanys:

- Te, Gustlik, pódź, przejedziemy się na tym pieroństwie...
- E, głupiś, jak to pojedziemy, kiej temu nie rozumiemy.
- Nie fanzol, pieruchu! Jo se tam dom rada, przecach się ucyl za ślusorza, to tam jakoś pójdzie.

Niewiela myśląc, Hanys siednył se na motocykl, pociągnął tam za jakiś knefel i richtig maszyna zabucała, zaśmierdziała i ruszyła. Gustlik skocył wartko do przyczepki i pojechali jak milion diobłów. Kiej już tak przejechali pora kilometrów, naroz tempo zesłało i motor stanął. Gustlik w przyczepce spocony, zgrzony, dycho jak miech kowalski i nie może ze zmęcynio słowa ze siebie wykrztusić. Hanys pado:

- Gustlik, pieruchu, co ci to?

Na to Gustlik, przyszedłszy do siebie, zacyno pieronić i pado:

- Pierziński giździe łośkliwy, żebyś z piekła nie wyloz, ty pieronie zapieronowany! Fajny z ciebie kamrat, jeszcze się głupio pytej! Przeca w ty pierońskim przyczepie nie ma dna i musiołech bez cołko droga lecieć na piechty, a ty, pieronie, jakbyś łośłuchł.

Pewien bezrobotny wybrał się ze swoim synkiem na wander szukać roboty. Kiedy tak sobie idą polami, lasami, pado ojciec do synka:

- Wiesz, Francik, jak znojda robota, i dostana pierwszo wypłata, to zarozki kupimy se los do loteryje, a jak wygromy, to se kupimy małego wieprzka i bydziemy go fajnie kormić, a jak wieprzek urośnie, to go zabijemy, narobimy kiełbos, krupnioków, leberwusztów i bydziemy se żyli, a jedli farońsko.

Na to Francik aż podskoczył, ślinka mu spłynęła do ust, klasnył w dłonie i pado:

- Jeckusie, tatulku, to bydzie ale fajnie, jo sama kiełbasa byda jodł. Tu ojciec buch syna w gęba i z pyskiem:
- Ty diobli najduchu, widzisz go, som wuszt bydziesz jodł, nie mozes se to tyż kasek chleba wziąć co? Kiełbasa terazki tako drogo...

Przed lombardem, kiejś nieskoro w nocy, dobijo się jakiś naprany karlus... wali we dźwierze aż się cołko chałupa trzęsie. Narozki łośtwiero się łośkno i właściciel domu, czyli gospodarz, wychylo łośb i pado:

- Cóż wy, pieroński chacharze, sam takie robicie larmo? Cegóż chcecie?
- Cego? - pado łośarty - jo sam chcą iść spać!
- Jak to spać, przeca wy sam nie mieszkocie! - pado gospodarz.
- No, ja pieronie, jo wiem, że sam nie mieszkom... ale sam som moje pierzyny.

Ciotka Barbórka i ciotka Stazyjka majom do kupy jedne sztuczne zęby. Ta z nich, kiero idzie na miasto, zabiero se zęby. Zaś drugo bez ten cas siedzi bez zębów w doma. Kiejś ciotka Barbórka prziszła z miasta, wyjmuje zęby z gęby i daje ciotce Stazyjce, po czym łozprowio, że była u kamratki, trefiła prawie na urodziny i jadła kołoc.

- Wiem, wiem - pado Stazyjka - jadłaś kołoc z kejzą, prowda?

Jak pado mąż do żony, kiej przechodzm bez ulica, a wielki ruch wozów i automobilów co chwila im zagrožo:

W pierwszym roku po ślubie:

- Dockej, dzióbecku, aż te wozy przejadom. Nigdy człowiek nie może dować dość pozór.

W drugim roku:

- Hejdla, dockej troszka, wóz jedzie...

Wóz! Dockej!

- Dowej pozór! Pod koła wleziesz!

W trzecim roku: nic.

W ósmym roku: cisza...

W dziesiątym roku:

- Czy fury nie widzisz?

W piętnastym roku:

- Czyś, pierzina, ślepo, cy co? Jak cię przejedzie, to fto bydzie płacił dochtora? Co?

W dwudziestym roku: (Nic nie pado, bo se myśli, że babsko roz przeca dostanie się pod koła i tonim sposobym diosi jom weznom).

Kielce cię bólom, ło jeckusie dyć to przeńdzie - pado Hanys Grychtolik, łowcorz. - Nabieresz se do gęby pełno wody ale blank zimnej. Nojlepszo na to świeżo dyszcówka. Weźmiesz se do gęby wody, cyś spokopiól? Potym nazbierosz se wiązka chrustu i tak ze trzy naramiącka drzewa. Na jedna ręka sosnowego, a na drugo ręka bukowego. Miarkuj se: trzy naramiącka drzewa. Potym wrzisz te trzy naramiącka do pieca. Potym weźniesz siarniczki i drzewo podpolisz. Zapolisz to w piecu, zmiarkuj Potym będziesz przykłodoł, furt przykłodoł, podwie blacha nie będzie cerwono. Aze będzie cerwono wiesz? Zaś jak będzie cerwono, ściepniesz se galoty i położysz je na stołku, abo na ławce... Na ławce, j miarkuj se. Potym dźwigniesz se koszula i siedniesz se na blacha - ale koszula musisz se dźwignąć, coby ci się nie spoliła. Toż se siedniesz na blasze - pamiętej! Terozki bydziesz cekoł, aże się woda w gębie zacznie warzyć. Bydziesz cekoł! Zaś jak woda będzie kipieć, to cię zarozki kielce przestanom boleć.

(Z Opolskiego) Spotkało się dwóch hawirzy (górników), kierzy hań downi społem chodzili na szychtę, a teraz już trzi miesiące jak dostali kindygunek i musieli iść na zielonom trowe.

- Sergust - prawi se Franek.

- Jak się mosz Gustlik, pierzyna! Na dyćzech cię już downo nie spotkoł na frysznym lufcie! Kajś się zakopoł? Pedoj!



- Dobry dzień, Francku? Nikajem się nie zakopoł, ale dyć już dwa tygodnie, jak mom robota!

- Co pedosz? Robota? Mosz już robota? a po jakimu? Jo przeca, chodzem od trzech miesięcy za robotom, a pierzyna nikaj ji nalyść nie moga!

- No, ja, wiesz jo się pomodlił do świętego Antoniczka i to zem roz dwa robota naszeł.

- No, to adije, bo ni mom czasu, muszem się śpichać, bo i jo się bedem modlił do świętego Antonika, to se też robotem najdem!

- Z Ponbóczkiem!

Tak poszeł Francek prościutko do kościoła i modlił się przed świętym Antonim o robotę, ale i tak ni móg robota nikaj znaleźć. Chodził do kościoła jeden, dwa, trzi dni, chodził cały tydzień, a roboty jak nie widać, tak nie widać.

Na ósmy dzień prziszeł do kościoła, a prawie za ołtorzem omiotoł kościelny proch. Hawirz wali prosto ku świętymu Antoniu, wyciagno pięści złożone i prawi:

"Święty Antoni, jak jo do jutra nie nojda roboty, to cię na nejdrobniejsze kęsy rozwalem". No i poszeł.

Kościelny się strasznie przeląkł, leci do farorza i prawi:

- Panie farorzu, źle!

- No, po jakimu? - pyto się go farorz.

- A bo był teraz w kościele jeden człowiek, przigrażowoł pięściami świętymu Antonimu i prawił, że jak do jutra roboty nie nojdzie, to go na ty nejdrobniejsze kęsy rozwali!

- A, to trzeba tymu zaradzić, bo szkoda by było tej wielki figury. Ale co tu zrobić?

- Panie farorzu, pierucha - a może by tak kościół zamknąć?

- Ale idź, idź kościół zamknąć. To przeca nie idzie! Aha, już wiem. Weź oto te małom figurkę świętego Antonigo, postów ją na tym samym miejscu, a te wielkom figurę przynieś tu. Jak te małom rozwali, to nie bydzie przeca tako szkoda.

Kościelny poszeł po te wielkom figurę, przyniósł jom na farę, ale o tej małej zapomniol i tak zaroz rano niesie te małom figurę do kościoła, ale ledwie postawił ją na miejscu, już przichodzi hawirz. Kościelny nie chcioł, aby go widziol, toż skrył się zaroz za ołtorz.

Francek przichodzi bliży, widzi małom figurę, ale wielki nigdzie ni ma, toż woło:

- Hej, bajtlik, a kaj som fater?

- A poszli po robota - odpowiadzo za ołtarzem skryty kościelny.

- No, to jo już teraz roboty nie nańdem, jak już i święci po robota chodzm! Pierucha!

(Z Cieszyńskiego) Do masarni wchodzi jejmość i żada dziesięć kilo mięsa w jednej sztuce. Rzeźnik odcina z ćwiartki żadany kawał i zapytuje, czy go ma pani dobrodziejce odesłać do mieszkania? Na co ona: - Nie, proszę pana, ja tego mięsa nie chcę kupić, chciałam tylko widzieć, ile ostatnio ubyło mi na wadze...

A znów kiedyś inna jejmość, wychodząc po zakupach z masarni, zgubiła kiełbasę. Jakiś miglanc, który szedł za nią, podniósł zgubę i wręczył ją paniusi. Ta, patrząc, powiada:

- Dobrze, panie, ale ja kupiłam całą kiełbasę! Na co odrzekł andrus:

- Ta też była cała, ale że mi się należy znaleźne, więc go sobie zaraz odgryzłem!...

Zeflik spotyka Gustlika, już downo się łoba nie widzieli.

- Jak się mosz, Gustliczku! Kajeś się to, pieruchu, stracił, że cię nikaj nie widać?

- Jo? - pado Gustlik - uczą się u szewca... ale mi to pierona już nie pasuje. Majster, pieroński grund łokowita ślepie, a jak lożarty, to za bele co biera lejty, boch j o wszystkim winien... Przidzie podatek z urzędu skarbowego, toch jo temu winien, skóra podrożeje, dratwa, abo smoła - to moja wina, kundman nie zapłaci za robota, joch winien, i tak, pieronie, porząd dookoła...

- No, a co z majstrową? - pyto dalej Zeflik - przeca skuli niej cię chyba nie piero, co?

- Jeszcze jak! - pado ze smutkiem Gustlik. - Przed styroma dniami urodziła majstrowe trojaczki. Majster się wściek i sproł mnie na kwaśne jabłko - tak jak bych to jo tyż był tymu winien...

Są tacy, kierym nigdy nie braknie dowcipu i kierzi na tak zwane "sztychnięcie" reaguja kontra sztychem.

Franek i Tomek tapia z knajpki ku chałupie. Żli, bo się o coś posprzeczali. Franek pado:

- Tomek, pieronie, ale ty mosz krziwe szłapy, dyć świnia by przez nie przelazła...

- Padosz, świnia? No to przelyż!...

- No cóż, Karlik, jakożes się tam po naszym wczorajszym bumlu dostał do chałupy? Szczęśliwie?

- Diobłać tam! Moja staro ani się słówkiem łod wczoraj do mnie nie łodzywo!

- E, toś ty, bracie, szczęśliwy, bo moja to ci jeszcze furt godo i godo.

W jednym z naszych fajnych domów w śródmieściu, na szczworym piętrze, pod mansardami u Grychtolików łobchodzm urodziny.

Braknyłol sztofu, czyli piwa, toż tyż posyłam jednego z kamratów, kiery był najmocniejszy w nogach, do knajpy naprzeciwo, po nowo baterijo flaszek. Nasz Gustlik, bo tak się zwoł, schodzi po schodach na dół i naroz patrzy, a sam w sieni na parterze leży se jakiś panocek. Był tyż naprany. Ale bardziej niż nasz Gustlik.

- Panocku, a cóż to sam robiom?

- Jo? Jo sam mieszkom.

- Kaj?

- A na pierwszym sztoku.

- A klucz łod dźwierzy majom to?

- Ja, sam we weście, w lewej kabzie.

Gustlik bierze panocka pod pachy i wiece go na pierwsze piętro. Wyjmuje mu z westy klucz, łotwiero dźwierze. Złazi na dół, a na dole, na tym samym miejscu, kaj przedtem, leży jakiś wysmarowany, corny i wygnieciony panoczek.

- Jejku, a cóż to sam robiom?
- Jo, jo sam mieszkom.
- Kaj?
- Na... a... pierwszym sztoku.
- A klucz łod antreju majom to?
- A mom we weście.

Gustlikowi nożyska zacynajom się trosycka huścić, ale rozum i sumienie pado, że trza przeca bliźniemu pomóc w przygodzie. Totyż bierze go pod pachy i wlecze z trudem na pierwsze piętro. Szuko we weście, klucyk znod, łotwiero dźwierze i wpycho w nie łóżartego. Kiej zaś śłoz na dół, patrzy, a tu na tym samym miejscu leży jakiś człowiek, ale wyglądo jak nieboskie stworzynie. Ubranie łobtargane, gęba i ręcycka podropane.

- Maryjo święto - wrzescy Gustlik - cych łóżarty, cy tyż dioboł straszy?... Chyto leżącego, aleć to żywy człowiek.
- Hej, słuchajom jeny, co sam robiom?
- Jo, jo sam mieszkom.
- Mieszkajom?... A kaj?
- Na... pierwszym sztoku.
- A klucz od dźwierzy majom? Naroz pijok podnosi łeb i patrzy na łogłupiałego Gustlika.
- Cof się, pieronie. Trzeci roz się nie dom łod ciebie wtrzaść do windy!

Jakiś poczciwy górnik wraca se z Barbórki do chałupy. Troszka niepewnie stoi na nogach i majstruje tam cosik kole zomka łod dźwierzy, ale nijak nie może łotworzyć. Jakiś przechodzień widzi, że nasz górnik miast kluczem wierci w dziurce cygarem. Podchodzi więc do niego i pado:

- Słuchajom jeny, przeca tym dźwierzy nie łotworzom, przeca to cygaro, a nie klucz.
- Co, pierona, cygaro? Widzom, co się to cłowiekowi przytrefić może, toch jo pierona kandy po drodze wykurzył klucz łod dźwierzy i jakoż to jo terożki wlezą...

Feliks Tyrpoc po wypłacie wstąpił se na jednego, trefił jak zwykle kamrata, no i z jednego zrobióło się kilka i tak dobrze naprany wraca do domu. Na dworze ćma, jakby chto atrament wyłoł.

Tyrpoc jednak gramoli się, naroz włoz na słup ogłoszeniowy. Trzymo się więc obiema rękami i chodząc naokoło, maco, maco i końca się domacać nie może. Kiedy tak paręnaście razy obszedł dookoła, pot zlewa jego czoło i Tyrpoc zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć:

- Pierona, retong, bo mnie zamurowali!

Kiejś w sobotę po wypłacie, jeden z naszych karlusów, mocno naprany, podchodzi do jednej z aptek i wali w drzwi jak w bęben. Po pewnym czasie zjawia się stróż nocny.

- A cóż to tak pierom do tych dźwierzy i ludziom spać nie dajom? Takie robić w nocy larmo! Nie gańba im to, co?

- Przebocom, ale mnie tak pierońsko zębiska bolom, że nie mogą już wytrzymać i chcą se kupić jakie lekarstwo...

- Ja, lekarstwo... mnie jak bolom zębiska to tam nie szukom pomocy żodnego lekarstwa, ino idą do dom, do baby i już... Jak łona mnie przygarnie ku sobie, to i ból i zęby diobli bierom!

- Ja, pierona padajom? Toż pedzom mi terazki, kaj mieszko ta jeich baba, zarazki poda do niej.

Przed jakąś destylą napranego Hanysa Tyrpałę spotyko jego kobieta.

- A ty stary łożyroku, nie wstydzisz się, co, tak wylazić na droga? Nie gańba cię?

- Hejdla, mosz recht, wstydzą się i nie mogą tak iść do dom! I mówiąc to, włazi zaś nazod do szynku.

Zeflik Chyrtoń wloz se do knajpy i wypił coś łosiem "czystych". Skończywszy ta robota, pado do kaczmorki:

- Bydźcie tacy dobrzy, frelko, i zapiszcie se tam ta porcyjo, bo jo nie mom pieniędzy.

Kaczmorka, wściekła, wyjeżdżo na Chyrtonia z pyskiem:

- Wy, chacharze diosecki, wy łożyroku lagremencki, po co ślepiecie tyla, jak nie macie pieniędzy?

- A cóż se to myślom, frelko, dyć jakbych miał pieniądze, to myślom, żebych ich tak lekkomyślnie przepijol? Nie ma tak dobrze!

Hanys Ciskocz, wracając z pracy do domu, ogromne miał pragnienie. Chcąc se trochę kurz węglowy splukać, wstąpił do knajpy, a stanawszy przy szynkwasiu powiada:

- Frelko, nalejom mi tam jednego, ale wartko, bo bydzie wielki krach. Wypiwszy powiada:

- Frelko, jeszcze po gibku jednego, bo łobocom, jaki za chwilka bydzie krach.

Frelka prędziutko nalewo, ale Hanys, wychyliwszy kubek, żado po roz trzeci jeszcze jednego, bo stopieroński bydzie krach!

Frelka, zaciekawiono do ostateczności, pyto:

- A cóż to za krach mo być?

- No dyć im nie zapłaca, za to coch wypił, bo wiedzom, nie mom pieniędzy.

Jacek Tyrpała wraca jak zwykle z knajpy do domu. Jest godzina pierwsza po północy. Staro się budzi i pyto, chtëra godzina? Jacek bez zająknienia pado:

- Dziesięć.

W tejże chwili jednak pisko wachtyrz:

- Jedna.

- Cyganisz! Wrzeszczy żona. Czy nie słyszysz wachtyrza, pisko jedna!

Na to Jacek:

- No cóż ty, głupio, przeca zero nie poradzi piskać.

Niejaki Kaczmarek w dniu wypłaty spotkał kamratów, z którymi włoż na jednego, no i doł se porządnie (jak to padajom) pod mycka. Tapie se ku domowi, ale ćma jak farona, nie może jakoś trefić. Naroz włazi na posterunkowego milicji, który pełni służbę i zna naszego kompana. Posterunkowy więc pyta:

- czego to tak szuka? Na to pijany:  
 - Prze... e... bocom, czy nie wiedzom, kaj sam mieszko Kaczmarek?  
 - Czego? Kaczmarek?... No przeca łoni się nazywajom Kaczmarek.  
 - No dyć jo wiem, że się tak nazywom, ino, pierona, nie wiem, kaj mieszkom!

- Ty, Richard, kiere piwo jest lepsze: biołe cy corne?  
 - Dej mi, pierzynie, pokój z czornym piwem! W Sylwestrach wypiół dwanoście zajdli biołego i było mi dobrze, a potym mię diobli skusili i wypilech łosiem zajdli czornego, to ci mi bez dwa dni było tak niedobrze, zech se rady nie wiedzioł!

Zeflik Kapudrok wrocoł ze szychty, trefił kamrata i poszli se łoba na "jednego". Tyn "jedyn" jednak przeciągnął się nieskoro do późnej nocy.

Zeflik miał baba jak farona, wiedzioł więc, co go czeko, jak przydzie do chałupy naprany. Seblyk se w sieni buty i cichutko włazi do izby, podchodzi na palcach do kolebki i kolebie swego najmłodszego. Wtem budzi się jego połowica i zdziwiono pyto:

- A ty, łożyroku diosecki, cóż to tam tak trzaskosz tom kolybkom?  
 - A dyć Pietrek zaś takie mo złe spanie i już go tak bez dwie godziny huśtom i huśtom i nijak nie może usnąć, a nie chciołech cię budzić, dzióbku...  
 - Zawrzijżys ten pysk, ty diobli cygonie, dyć jo sam Pietrka mom w łóżku kole siebie!

Stary i młody Chyrtoń robią do kupy na grubie. Wracając z szychty, wstapili se do karczmy na jednego, żeby se kurz z piersisków spłukać. Niedługotrwało, a pora pijanych bukslików rozpoczęło bijatkę, w którą wciągli tyż starego Chyrtonia i jeden z buksów maznął fatra w łeb. Młody Chyrtoń, widząc to, pado:

- Fater, pierona, niech wos tyn gizd jeszcze roz piźnie, to jo mu pokoża.

Buks walnął zaś starego w kark.

- Fater, nie bójcie się, niech jeszcze roz spróbuje to łobocy!  
 Fater dostoł jeszcze jedna piguła. Na to pado młóc  
 - Pierzyna, fater, wiecie co, pójdźmy lepiej do dom, boby my jeszcze łobadwa dostali.

Gustlik Tyrpoł i Francik Łykała, stare ślepoki, chcieli się łod gorzoły odzwyczaić i ślubowali, że już na kieliszek ani spojrzom. Ale, że to w doma skiżj choróbska, kierego nigdy przewidzieć nie można, zawsze trocha gorzoły się przydo, postanowili kupić flaszka koniaku, co też zrobili. Gustlik bohatersko wytrzymał bez trzy dni, ale na dalszy post brakło mu już sił. Zachodzi więc do Francika i pado:

- Wiesz, Francik, tak mi jakoś dzisiok niedobrze i taki się czują chory, że muszą się napić troszyczka koniaku.

Na to Francik:

- Ja, mój braciszku, przychodzisz za nieskoro, joch tyż wcoraj bez caluški dzień bardz był chory.

Jeden z milicjantów na Placu Wolności w Katowicach znod obywatela, chtóry se widać w ten dzień mocno zaloł chroboka. Borok leżoł na drodze pod latarniom. Milicjant podnosi go z trudem i pyto:

- Cóż to łoni sam śpią, cy co?
- Ni, jo sam nie... e... śpią.
- No wstano, jo ich zawieda do dom.
- Dobrze - pado ulelany - pódźmy!
- A kajż to mieszkajom - pyto milicjant.
- A dyć w Rybniku!

Ona: - To bardzo pięknie, Zeflik, przyłazić do dom z knajpy ło trzeciej w nocy!

On: - Ja! A to pięknie łod ciebie nie spać do trzeciej w nocy, co?

Ona: - Dyć jo cekom na cia łod sześciu godzin i nie spałach wcale!

On: - No widzisz, dzióbku, jo zaś siedzą skiż tego łod sześciu godzin w knajpie, bo cekom, cobyś usnyła!

Pijok: - Że stoją przed dźwierzami mojego mieszkanie, to pierona zicher, jeno nie wiem pierona, cych w środku, cych tyż jest w sieni?

Jakiś pijany na drodze kolebie się mocno z jednej strony na drugo. Naroz sztuchnył jakiegoś przechodnia.

- Cóż to, pierzyński łożyroku, ślepyś, cy co?... Nie widzisz ludzi?

- Toć widza, pie... pie... ronię, nawet tuplowanie. Za... za... miast łonych jednego, toch widzioł dwóch!

- To cóż? Toście mnie nie potrzebowali tyrpać!

- No toć, toć... alech chcioł przeca, pierona, przeńść między wami.

- Co na to poradzić, mój sąsiedzie? Chłop mój w koździutki dzień łożyro, gospodarstwo zaniedbuje w doma nie siedzi, jeno porząd w szynku.

- Ło, moiściewy, dyć na to jest rada...

- A jako? Godejcież, sąsiedzie!

- No, toż załóźcie szynk, to bydzie wtedy wdycki siedzioł w doma.

- Widzisz, toś mię zaś wcoraj łocyganił, ty łożyroku diosecki! Pedzioleş, że idziesz do kamrata, a poloześ do szynku...

- Po jakiemu, Hejdla? Przecach cię nie łocyganił bo mój kamrat, widzisz, siedzioł w szynku.

Na jednej z kopalń zachorował jeden z koni cugewych. Przywołano lekarza weterynarii. Ten, zbadawszy konia, napisał receptę, wręczył ją stajennemu i za ordynował, co następuje:

- Pójdziecie z tym do apteki i dostaniecie tam pudełko żółtego proszku. Wstapicie potym do kancelarii i każecie sobie tam wydać arkusz białego papieru. W stajni skręćcie z niego grubą rurkę, wsypiecie do niej całą zawartość pudełka, następnie otworzycie koniowi pysk, rurkę z proszkiem wsuniecie mu do gardła i z całej siły dmuchniecie.

Stajenny Gmyrek zrobił, jak mu pan doktor kazali. I kiedy manipulował przy koniu, weterynarz z kierownikiem kopalni poszli se na papierosa. Naraz z trzaskiem rozwarły się drzwi stajni, wypadł z nich Gmyrek, żółty jak jajecznica, plując i charkając.

- A wam co się stało? A na to Gmyrek:

- A dyć to wszystko ten pieroński zuber narobiół. Jakech mu wraził ta rułka, to gizd nie czakół, a dmuchnął przodziej.

W pewnej miejscowości miano przeprowadzić nową drogę. Na miejsce zjechał ze sztabem robotników inżynier geometra i od razu zabrano się do pracy. Mierzono wzdłuż i wszerz, od rana do wieczora, a mnóstwem palików wytyczano nie bez trudu nowy gościniec. Kiedy ta żmudna praca została wykonana, inżynier prosił wójta tej miejscowości, by przez niedzielę strzeżono palików przed złodziejami i by nie ruszano ich z miejsca.

Gdy w poniedziałek drogowcy stanęli do pracy, z przerażeniem stwierdzili, że palików nie ma. Inżynier poszedł z piorunami do wójta, od którego takie otrzymał wyjaśnienie:

- To ja, panie inżynierze, kazałem wszystkie paliki powyjmować z ziemi, ażeby ich nie skradziono i przechowałem je w urzędzie gminnym!...

W pewnej wsi ożenił się młody rolnik. Parę dni po tym fakcie wniósł do urzędu gminnego podanie następującej treści:

"Ja podpisany, proszę Urząd Gminy, by pozwolono mi wybudować przy moim domu oborę, bo się ożeniłem i mam teraz krowę".

W archiwum pewnego miasteczka nagromadziło się od niepamiętnych czasów mnóstwo akt. Całe sterty tych zakurzonych papierzysków uniemożliwiały składanie nowszych roczników.

Zwrócono się tedy do władzy wyższej, a przedstawivszy kłopotliwy stan rzeczy, proponowano spalenie starych szpargałów, które już nikomu nie będą potrzebne.

Po kilku miesiącach nadeszła wreszcie odpowiedź następującej treści:

- Zezwala się na spalenie starych aktów, z tym, by przed zniszczeniem takowych sporządzono z każdego egzemplarza po jednym odpisie...

Z wojewódzkiego urzędu statystycznego przesłano do jednej z podległych gmin żądanie sporządzenia następującego wykazu:

- Podać, ilu w ubiegłym roku zmarło w gminie mieszkańców. Z tych, ilu naturalną śmiercią? Wójt zaraportował jak następuje:  
 - W naszej gminie zmarło razem osiemdziesiąt osób, z czego śmiercią naturalną zmarło siedemdziesiąt dziewięć osób, a tylko jedna z pomocą lekarza...

Pewien przemysłowiec przechwalał się, że ma książkowego, który u niego w służbie posiwiął.

- To nic takiego - mówi jego przyjaciel - ja mam od roku stenotypistkę, której się już trzy razy zmienił kolor włosów. Wpierw była brunetką, następnie blondynką, a teraz jest ruda.

W teatrze wystawiono sztukę Szekspira "Ryszard III". Aktor, grający główną rolę, w jednej ze scen wyciąga w kierunku widowni ramiona i woła z patosem:

- Konia! Konia! Królestwo za konia!

Wtem z galerii odzywa się głos:

- A osioł może być?

Na to, niezbity z tropu, aktor:

- Owszem, niech pan tu zejdzie!...

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz wyjść za mąż za niego? Chłopiec ma nienaganną przeszłość, no i przyszłość przed sobą - mówi matka.

- Możliwe, mamusiu! Jednak jego terażniejszość absolutnie mi nie odpowiada...

Pewien znany literat wyjechał na polecenie swojego lekarza do Włoch w celu poratowania zdrowia. Któregoś dnia otrzymał z kraju od znajomego list niefrankowany takiej treści: "Powodzi mi się dobrze! Pozdrawiam. J.M."

Pisarz, oburzony tym głupim żartem, za który musiał zapłacić karne porto, postanowił dać filutowi nauczkę. Zapakował do skrzyni duży kamień i przesłał to owemu znajomemu, nie opłaciwszy należności pocztowej. Do przesyłki tej dołączył kartkę następującej treści: "Oto kamień, który spadł mi z serca po przeczytaniu wiadomości, że powodzi ci się dobrze. Pozdrawiam. Twój X."

Pewien mój znajomy opowiadał mi:

- Z moim ojcem kupiłem dom w X. Niedaleko nas mieszkała wdowa z pasierbicą. Z tą wdową ożeniłem się ja, a wkrótce po tym z jej pasierbicą ożenił się mój ojciec. Przez ten ożenek moja żona stała się synową, a zarazem teściową mego ojca, jej pasierbica jest moją macochą, a ja jestem ojczymem mej macochy i teściem mego ojca. Mojej macosze, która jest moją pasierbicą, urodził się syn. Jest on moim przyrodnim bratem - jako syn mego ojca i mojej macochy - ale jako syn pasierbicy mojej żony jest jej wnukiem, a ona jego babką, ja zaś jestem dziadkiem mego przyrodniego brata. Wkrótce i mnie urodził się synek, więc moja macocha stała się przyrodnią siostrą mego syna, a zarazem jest jego babką, bo on jest synem jej pasierba, a ojciec mój jest szwagrem mego syna, bo



przyrodnią siostrę ma za żonę. Ja jestem pasierbem przyrodniej siostry mego syna, więc mój syn jest moim wujem, a ja jestem jego bratem, jako że on jest synem mojej macochy. Moja żona jest ciotką mego syna, syn moim dziadkiem, mój ojciec jest moim zięciem, a ja jestem swoim własnym wnukiem.  
Kto nie wierzy - niechaj sprawdzi!

- Wiecie, Gracyno, ten mój Pietrek to mądrala, ten wom mo ale gowa!

- Co wy padocie! A cóż to zaś takiego wystudyrował?

- Ano wiecie, wymyślił wom takie gniazdo lo kur. Kiej wom kura śniesie jajco, to się dno łod tego gniazda łotwiero i jajco skulnie się do szufłodki, kiero jest pod spodkiem tego gniazda. Kura się łobejrzy i widzi, że nie ma jajca, myśli, że się łomyliła. Siodo se zaś na gnieździe i snosi nowe jajco, kiere się zaś skulnie do szufłodki i tak się wom porząd szydzi i skłodo, skłodo, tak że nieroz i do kopy dociągnie...

- A cóżeś ty Zeflik kupił swojej starej na dzieciątko?

- Jo, ano kupiłemch ji coś na kark. Zgadnij co?

- Wierzą korole.

- Ni.

- Krzyżyk?

- Ni.

- Można leńcuszek?

- Ni.

- Można boa?

- Ni.

- No to już teraz nie wiem, pieronie, co jeszcze na kark pasuje.

- Nie wiesz... a dyć kęs mydła.

Byli se roz dwaj bracia, zwali się... zresztą wszystko jedno jak się tam zwali. Gustlik był szwiec, Zeflik poszoł do lotników i łostoł pilotem. Roz na święta zrobił Zeflik Gustlikowi niespodzianka i przilecioł na aeroplanie do brata w odwiedziny. Ładował na polu, kiere przilygało do domecku Gustlika i było jego, to jes szwieca własnościom. Naturalnie ładując potrojtoł mu aeroplanem żytko i w dodatku wyrzył łogonem aparatu srogo dziura. Toż Gustlik, jako dobry gospodarz, gorszył się skuli tego i sprzeżywoł Zeflika, padając:

- Ty, pierzinie diosecki, nie mosz dość placu do furganio na gościńcu? Dziwej się, mamlasie, coś mi to porobiól!...

Zeflik jednak brata przeprosił, no i jakoś się poszkodowany udobruchoł.

Kiej se festelnie podjedli i popili, jak to zwyczajnie przy świętach, łosprowiali ło swoich przeżyciach i Zeflik pado do brata:

- No, Gustlicku, na mnie cas, musza pofurgaćj zanim się blank zećmi.

Kiej już narychtował aeroplan i puścił motor, pado do niego Gustlik:

- Wiesz, Zeflicku, nie wia, jak się to na takim pieroństwie lato, może być mię tak kaszceek przewiózł?

- Dobrze - pada Zeflik. - Chociaż mi już pilno, ale co się nie robi lo braciszka, siadej...

Gustlik siod se do aparatu, Zeflik go porządnie poskami poprzywiązywoł, żeby casem nie wylecioł i polecieli.

Kiej byli coś na pięćset metrów, łobroco się Zeflik do brata i pyto:

- Gustlik, cujesz co?

- Nie, nic... pado Gustlik. Zeflik wjechał na wysokość tysiąca metrów i zaś pyto brata, cy co cuje?

- Nie, nic!

Zeflik śmignął jeszce wyżej i zaś pyto:

- A terazki cujesz to co? Na to Gustlik:

- Nie berej, pierzinie, porząd, a jedź wyżej, bo to jest jednak fajnistio rzecz to furganie.

Zeflika to jednak dopolało, że brat twardy, biere se to furganie tak z lekceważeniem. Nie namyślajac się zrobiół coś trzi koziołki, takie jak to padajom "lopingi". Kiej zaś aparat wyrównół, pyto:

- A teraz, Gustlik, cujesz? Na to pado Gustlik:

- Ja, terazki dopiero cuja, bo to, coch mioł w galotach, mom terazki na kraglu. A jedź pieronie na dół, bo mię to miliońsko łechce!

Hanys Zwada i Gustlik Stuchlik dobrymi byli kamratami. Ale roz powadzili się ło dziołcha i z dobrych kamratów przemienili się w śmiertelnych wrogów. Nie godali ze sobom coś bez pora miesięcy. We Wielgi Tydzień poszli se jednak do spowiedzi i postanowili się ze sobą pogodzić.

Spotkali się przed kościołem i Hanys podszedł do Gustlika, podowo mu ręka i pado:

- No, Gustlik, nie gorsz się już na mię. A terazki ci życa ze scyrego serca wszystko to, co i ty mię życys. Na to zachnął się Gustlik i pado:

- Hanys, pieronie, zaś zacynos?

- Te, Richard, łobejrzyj ino na zegarze, kiero terazki godzina.

- Za świerć godziny bydzie styry.

- Trąbo! Jo nie pytom wiela bydzie za świerć godziny, jeno chcą wiedzieć, wiela jest terazki! Rozumiesz?

Kiejsik idą drogom i naroz widza zbiegowisko. Jakiś chłop wadzi się z babom. Ło co im tam szło, nie wiem, dość że się wadzili festelnie. Zbiegowisko robi się coroz większe, ludzi naokoło stoi już cało kupa. Ci, kierzy łostatni przyśli, stowali już na czubki palców i wyciągali łeby, żeby cosik łobocyc i usłyszeć. Naroz woło jeden, kiery stoł blank na zadku:

- Hejda! Przezywejcie tam głośniej, bo my sam na zadku nic nie słyszemy!

Trzech kamratów, tęgich sportowców, łosprawiają se o sportach i o wielkim w nich udziale kobiet.

- Moja Zefla ci kiejs na Hucie zrobiła skok wzwyż na 3 metry 60 centymetrów.

- Moja Gretla zrobiła skok w dal na 5 metrów 40 centymetrów.

- To nic, pierona - pado trzeci - moja staro przed Godami zrobiła skok w bok i do terozki jej nie ma w doma.

Był se roz w Mysłowicach stary Łyżcorz, filut z niego był wielki, ino że kulawy i kalectwo to dokuczalo mu bardzo. Za to życie uprzyjemniała mu tabaka, którą namiętnie sznupoł i bez której żyć nie mógł. Pewnego razu wracając do domu, szedł przez łąkę, chciał se bowiem drogę skrócić. Cóż, kiedy przez łąkę płynął potok, który po deszczu napełnił się po brzegi wodą. Biedny Łyżcorz zafrasował się nie lada, bo wracać ze swoją kulawą nogą nie bardzo mu się uśmiechało. Więc klęka se pięknie nad rowem i rzyko:

- Pan Bócku, dej mi ta przykopa szczęśliwie przeskoczyć, a jak jom przeskoca, toż ślubują Ci, że już na Twoja chwała więcej tabaki sznupać nie byda.

Wstał, wzion rozpęd, skoczył i rychtyk przedostoł się szczęśliwie na drugi brzeg rowu. Zadowolony, że mu się to udało, wyjmuje z kabzy tabakierka, posznupoł se fajniście i pado:

- Ależ się tyż Pon Bócku doł łoszukać, aże doł łoszukać!

Joch se wyrachował, że chory może na sześć roztomaitych sposobów wyzdrowieć:

1. Chory nie posyło po dochtora, i chory wyzdrowieje.

2. Chory posyło po dochtora, dochtór nie przichodzi, i chory wyzdrowieje.

3. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, nic nie zapisuje, i chory wyzdrowieje.

4. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, zapisuje lekarstwo, chory jednak nie posyło po nie do japytyki, i wyzdrowieje.

5. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, zapisuje lekarstwo, chory kożę z japytyki przynieść, ale go nie zażywo, i wyzdrowieje.

6. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, zapisuje lekarstwo, chory kożę go przynieść, zażywo go, i mimo to wyzdrowieje.

- Ale tyż to majom gryfno kryka, farona!

- Ja, gryfno to tam łona jest, ino wiedzom za długo lo mnie.

- No, toż se kozom kasek urżnać.

- A cóż se to myślą, takiego fajnego gryfu nie byda psuł...

- No, ale słuchajom, przeca jo padom, żeby se ta kryka na dole kozali urżnać.

- A dyć na dole, na dole to łona nie jest za długo...

- No jakoż to, panie Gramuła, te moje galoty fertik to, cy nie?

- A dyć już, już fertik! - pada Gramuła.

- Fajny majster z nich, sześć tydni murksują przy głupich galotach. Widzom, Pon Bóg w sześć dni cały świat stworzył, a łoni głupich galot uszyć nie poradzom!

- Ja, widzom, w sześć dni Pon Bóg świat stworzył, to richtik. Ale łobejrzom se świat, jak wyglądo, a łobejrzom se moje galoty!

- Wiedzom, panie Kneflik, jak ich tak widza, to zawsze mi się spomni przysłowie: "Komu Pon Bóg da urząd, to mu do i rozum".

- Ja, ale przebocom, jo przeca nie mom urzędu!

- Nie majom? No widzom, jak to zawsze fajnie trefi.

Jedna frela, chcąc mieć modno figura, tak wyrobioła ze sobą, że wychudła jak szcypa. Kiejś idzie drogom, a tu z jakiejś chałupy wyskakuje psisko i... na nią.

Jakiś karlus leci, podnosi kryka, żeby psa łodegnać, kamrat do niego:

- Dej mu pokój!... Cego się dziwisz? Biedny pies nigdy jeszcze nie widzioł tyła kości na roz.

- Słuchajom jeny, a cy ten weker jest dobry?

- Jak to, cy dobry?

- No, cy łon tyż zicher łobudzi, jak się go nakręci?

- Jeszce jak! Toć jakby się casym zacion, to ino stanom i potrzebom z nim, to zarozki zacnie tyrceć jok gupi.

- I cóż ty na to Karlik - pado Lelonkowo do swego chłopa - nasz mały Stanik wypedzioł dzisiok pierwsze słowo.

- Ja, a każ to było? - pyto uradowany Karlik.

- No dyć Maryjka poszła z nim do łogrodu zoologicznego i jak stanyła przed klotką z małpicami, a Stanik ujrzoł orangutana, to razym zawołał: "Tata".

Kneflik cyto kiejś swojej Zefli w gazycie ło sułtanie z Maroka, że mo łon coś trzysta kobiet. Zefla westchnęła głęboko i pado:

- Mój ty Bożycku!

- Cóżeś se tak westchnęła? - pyto Kneflik.

- Ano wiesz, bo se tak myślą, jaki by to z ciebie był usmolony sułtan.

Jeden masorz chce se zakpić z drugiego i pyto:

- Te, słuchej, jeśli śtyry cielęta wożą 180 kg, to wiela wozy stary byk?

- Włyż, pieronie, na woga, to ci zarozki powiem genau.

Posługacz w zoologicznym ogrodzie:

- Jak mnie sam panucho widzom żywego, rozech tymu lwu nastąpił na łogon. Pani z przerażeniem:

- Wielki Boże! I cóż się stało? Posługacz:

- A dyrektor sproł mnie jak nieboskie stworzenie...

Agent od ubezpieczeń z "vesty":

- Wiedzom, jo im radzą niech się u nos zabezpieczom łona łod wypadku. Przy jeich szczęściu toch jest zicher, że se jutro złomiom ręcyso abo co inkszego i za pora dni bydom mieć pieniądze.

W pewnym hotelu siedzi w poczekalni grupa gości. Wtem wchodzi znajomy ich, znany kobieciarz, Pytlik, który ma strasznie zapuchnięte oko. Zdziwieni znajomi pytają, co mu się stało? Na to Pytlik:

- Ano, miołech niemiły wypadek. Jakoś pani źgnęła mnie szpyndlikiem od kapelusza w oko.
- Jak to? - pytajom znajomi. - Tak przez przypadek?
- Nie przez przypadek, ino tylko przez dziurka od klucza.

Naczelnik do urzędnika:

- Słuchajom ino, panie Gnojek, co to mo znaczyć? Przeca mi przed chwilą łosprowiali, że wczoraj nie mogli przyjść do roboty, bo jeich brataniec złomół noga, a terozki patrzą bez łokno i widza, jak se na drodze szpacyruje!
- Ja, szpacyruje, to isto, panie szefie, jeszce borok nie wie ło swoim nieszczęściu.

W czasie przedstawienia w teatrze, jakoś porka (łon i łona) zachowujom się bardzo głośno, to znaczy, że porząd ze sobom coś łosprowiam. Jeden panoczek, kiery już tego mo dość, pado:

- Może byście, państwo, już przestali? Nie mogą dosłyszeć ani jednego słowa!
- Dzisz go, jaki mi pon, nie poradzi dosłyszeć ani słowa!... A cóż wos to może łobchodzić, co jo se sam łosprowiom z mojom babom, co?
- Słuchajom jeno, matka, ten listek jest za ciężki, musicie jeszce jedna marka przylepić, tako samo.
- Maryjo! A dyć nie piętom ino, nie piętom! Przeca listek bydzie po tym jeszce ciężejszy.

- Antek, powiedz mi, czamu koń, kiej mu padosz "wista" - skrećo na lewo, a jak mu padosz "hetta", to idzie na prawo?
- A cy jo wiem?
- Widzisz pieronie, nie gańba cię to! Nigdy bych se nie był myśłoł, żeś taki mamłas, przeca to każdy koń wie.

- Hanys, a tobie co się stało? Z czego to mos tako buła na cole.
- A to mię wcora Gustlik tak gichnoł wodom.
- Cego? Wodom? Przeca z wody nie dostanie się takiej buły.
- No ja, widzisz, ale ta woda była we flaszcze.

- Widzisz mój dzióbku, pado Gustla do swojego narzyconygo Karlika, kiej się pobieremy, to byda z tobom dzielić wszystkie twoje smutki i zgorszynio.
- Jo tam, dzięki Bogu, ni mom ani smutków, ani zgorszynio.
- No, dyć jo ci tyż padom, że jak się pobieremy...

- Dają mi mendel jajec, ale żeby wszystkie były łód cornych kur.
- Ja, łód cornych kur, a cy to można poznać?
- No toć, że można, jo każde jajco poznom, cy jest łód cornej kury, cy łód biołej.
- No wiedzom, jak tacy mądrzy, to niech se sami wybierajom. No i kupująca wybrała. A wiecie, jakie wybrała? Nojwiększe!

Nie ma bodej cłowieka, kieremu by życie nie wypłatało kiejś jakiegoś figla. Że tak jest, posłuchajcie:  
Przed paru dniami jeden z naszych furmanów, co to z gruby łozwozi ludziom wągłe, dostał rano na grubie kartka z poleceniem, że mo na ta i na ta ulica w Mysłowicach zawieźć śtyrdzieści cetnorów wągło kostka.

Wągłiel ten łobsztaluwała pani Habryka Marta. Nasz furmon wągło nafoluwoł i pojechał, kaj mu kozali. Kiej przyjechoł na miejsce, bieda, bo nie wie lo kogo to wągłe. Nie wiadomo cy nie poradził cytać, cy tyż miano było tak niewyraźnie napisane, zaś pytać kogoś było go gańba, toż sztudyruje, sztudyruje i wysztudyrowoł, że jest to zicher "fabryka masła" - miast Habryka Marta.

Uradowany ze swojej mądrości, furmon pyto się jakiejś kobiecinki, kiero z tej chałupy wylazła:

- Słuchajom jeny, matka, cy sam jest "fabryka masła"?
- Ni - pado kobiecina - fabryki masła sam nie ma, ale mieszko sam na zadku jakoś handlyrka, co masło sprzedowo...

I rzeczywiście przypadek zrządził, że handlyrka tam mieszkała i w som roz tyż była łobsztaluwała fura wągło.

Furmon przekonany, że to istno ta, bo przeca fabryka masła a handlyrka masła to prawie jedno i to samo, wzión i bez wszystkiego wągłe zwałił na droga. Kiej handlyrka prziszła z targu do dom, widzi, to nie jeji wągłe, boć łona łobsztaluwała jeno dwadzieścia cetnorów, a nie śtyrdzieści. Totyż wągło do piwnicy nie kozała sciepać. Wągłe to leżało se bez całko noc przed chałupom, ale że to jesień momy piękno, wągłe się po leku ulotniło, wierzą wyschło, abo tyż ludzie roztrajtali cyli łoznieśli na nożyskach, a mieszkało ich tam w tej chałupie cołko kupa! Toż i nie dziwota. Nazajutrz pomyłka się wyjaśniła, widocznie pani Habryka Marta musiała reklamować.

Furmana na grubie sprzezywali od mamlasa i tromby i peć nie peć musioł pojechać pod fabryka i wągłe nazod pozbierać na fura.

Radowały się konie, kiere terozki miały znaczni lżej, niż przedtem. Za to nasz furmon klon tysioncami zapieronowanych pieronów na pierońsko fabryka masła, kiero jest, a kierej ni ma.

Kiejś Walek Kopocz wykopoł w biedaszybie fura wągła, zawióz do miasta na sprzedaj. Stoł boroczek przed jednym domem, przed drugim, ale jakoś nie mioł szczęscio, żoden wągło nie chcioł kupić.

- Ano, myśli se Walek, nie chcom kundmany przyjść do mnie, toż musza jo iść do kundmanów

Przeczytoł na kamienicy szyld jakiegoś dochtora, wali więc do niego i zwoni. Puścili go do pocekalni ceko, potem wyloz dochtor, zawołał go do pokoju ordynacyjnego i mówi:

- No, seblyczcie łachy!

Walek pado:

- Panie dochtor... jo...

Ale dochtor, jakiś nerwowiec, nie doł mu przyjsć do słowa, jeno skrzecy na Walka, że się mo seblyc. Walek pado:

- Ale panie dochtor... jo przeca...

Dochtor jednak był nieubłagany, zapieronił, no i Walek, rod nie rod, ściagnał łachy i stanął nagusieńki przed dochtorem.

Ten Walka łobklupoł, łobmacoł, kozoł se pora razy pokazać język, kozoł mu kucać, padać, a nie mogąc nijakiej choroby zmiarkować, pado:

- A cóż wom to do stu diobłów brakuje? Walek pado:

- A dyć nic, panie dochtor, joch im jeno chcioł sprzedać fura wagło, ale mi nie dali przyjsć do słowa...

W knajpie siedzi se pora kompli, no i popijajom festelnie. Jeden z nich, srogi miglanc, pado do towarzyszów:

- Chłopczy, zgodnijcie, co łostało sam w tej próżnej butelce? Chto to zgadnie, temu zafundują jeszcze kwarytka.

Komple zaczynajom zgadywać. Jeden pado, że powietrze, drugi zaś pado, że kropki gorzoły, trzeci pado, że dno, cworty, że ściany itd., ale zgodnyć zaden nie poradził. Pytajom więc, co łostało w tej flaszcze?

Na to pado miglanc:

- Pierony głupie, nie wiecie? Ano łostało miejsce na nowo gorzołka.

Robotnik, pracujący na dole w kopalni, mówi do swojego kolegi:

- Wiesz, kamrat, żeby mi tak ło ten jubileuszowy zegarek nie szło, to zarozicki bych tą pierońską robotą strzelił.

Słowa te usłyszał sztygar, ciekawy więc pyto się robotnika:

- A długo to już robicie na grubie? Na to robotnik:

- No dyć dzisiok pierwszo szychta.

Z dachu budującego się domu trzypiętrowego ślecioł cieśla, ale tak szczęśliwie, że mu się nic nie stało Ludzie opowiadali sobie o tym, aż jeden pado:

- To nic takiego. Jo kiejsiech ślecioł z drabiny, kiero była bez dwadzieścia metrów długo i nic mi się nie zrobiło.

- To przeca nie może być, pado ktoś drugi. Po jakiemu to?

- A po temu, żech ślecioł z pierwszego szczebla tej drabiny.

Do szynku przyszoł karlus, siednył se przy stole i łobsztaluwoł kwaretka. Jak jom wypioł, łobsztalowoł jeszcze jedna. Idzie potem do bufetu i pado do gospodarza:

- Słuchajom jeno, panie szynkierz, czy łoni zapłacili to już ta gorzoła?

- No, tociech zapłacił, pado gospodarz, te jak sztaluja towor, to go tyż musza zapłacić.

Na to karlus:

- Widzom, panie gospodarz, joch jeno to chcioł wiedzieć, bo jak łoni już ta gorzoła zapłacili, to jo jej nie musza już płacić, bo na co mamy jeden towar dwa razy płacić... no nie?

Jakiemuś lajermanowi na odpuście uciekła papuga, która ludziom wydawała karteczki z wróżbą. Widać sprzykrzyło jej się to rzemiosło, no i nie bardzo musiało jej być dobrze u chlebodawcy, dosyć że uciekła i pofurgnęła w świat.

W pierwszej napotkanej wiosce usiadła zmęczona koło jakiejś zagrody na drzewie. Zauważył ją gospodarz, a że jeszcze tak cudackiego ptoka nie widzioł nigdy, podlaz po cichutku na drzewo i już wyciągo ręka po zdobycz, wtem papuga otwiera dziób i gada:

- Czego chcesz?

Wystraszony chłop o mało nie zlecioł z drzewa. Po chwili zdjął jednak mycka i powiada do papugi:

- Przebocom, alech jo myśloł, że łoni som ptok!

- No widzom, i takech już dość ukarany. Coś gorszego nic już nie może mnie spotkać. Fabryka mi się spaliła. Ojcowie zginęli w ogniu. Musiołech ogłosić plajta. Do tego skozali mnie na trzy lata dozoru. Kobieta mi uciekła. Co mnie terazki jeszcze może w życiu gorszego spotkać?

- No, no, słuchajom jeny. Niech nie grzeszom, boby jeich kobieta jeszcze mogła przyjść. Dopiero by to mieli, mieli...

- Wiesz, Haźbieto, śniło mi się dzisiok, żech był w niebie.

- Ja? No i jakoż tam było?

- Ano stoł tam przy dźwierzach święty Pieter i padoł mi, że w niebie jedna minuta to jest prawie tysiąc lot, a jedyn złoty, to jest tysiąc złotych.

- No, a nie padołeś, żeby ci jednego złotego pożyczoł?

- Tociach padół, ale święty mi łodpedzioł: "Doczkej, syneczku, jedna minuta".

- Cy to prowda, że Szóstok wszystko, co mioł, zapisoł na sierociniec?

- Ja, to prowda, wszystko!

- A wiela to po nim łostało?

- A dziesięcioro dziecek.

- Słuchej, Richard, pożycz mi dwadzieścia złotych, bardzo mi som potrzebne.

- Żałuja bardzo, ale nie mam sam pieniędzy.

- No, a w doma?

- W doma? Dziękują pięknie, wszyscy som zdrowi.

- Jak widzom, moja staro pije na śniodanie herbata, jo zaś wola kawa.

- No to majom komedyjo warzyć zawsze dwa napoje.

- Po jakimu? Przeca łoba pijemy herbata.



- Mamulko, cy jo mogą z Zeflikiem i Richardem iść na droga. Chcemy się podziwiać na zaćmienie słońca.
- Ja, dobrze syneczku, idź, idź, ino dej pozór, a nie stoń se za blisko.

W knajpie siedzi se przy piwku styrech kompli i łosprowiajom ło rozmaitych przigodach cyganiąc, wiela wlezie. Prawie łosprowiajom ło szportach i ło pływaniu.

Jeden z panoczków, kiery jest podróżującym, inaczej rajzendrym, pado:

- O, to jeszcze nic! Joch łońskiego roku często miał przygoda jechać do Ameryki. I prawie, kiej nasz okręt miał zaś łodjechać nazod, stanył kole mię jakiś młody człowiek i zawołał:

- "Do widzynie, moi państwo!" I naroz buch do morza. Złękli się wszyscy, chcieli skoczyć na ratunek, ale młodziak zginał we wodzie i tylechmy go widzieli. Kiejchmy zaś przyjechali do Gdyni i łokręt nasz zatrzymał się w porcie, naroz wyłazi z wody ów młodziak i pado:

- "Dzień dobry, państwu!". Marcha ta bez caluško droga płynoł se wedle łokrętu i żoden go z nas nie spostrzegł.

Kiej nasz cygon skończył te swoje cygaństwo, naroz przy drugim stoliku zerwoł się jakiś jegomość, łoskłada ramiona i biere go w objęcia, padając:

- A niechże ich uściskom. Nareszcie mom świadka, kiery to wszystko widzioł. To jo, widzom, ech jest ten istny, ło kierym łosprowioli.

- Co łoni som żyniaci?

- Ni, te znaki na gębie to, widzom, mom łod kota.

- Dziwej się ino, Mari, jakich se fajny sztof kupił na szakiet.

- Co? To mo być fajne? Przeca to hadra, a nie żoden sztof. Ja, ja, ty ślimoku, już ty tam se poradzisz wybrać co, ażę wybrać?

- Dzisz, dzióbku, prawie to samo mi też padali moi kamraci, jakech się z tobą miał żynić.

- Szymek! Joch słyszoł, że twoja cera mo się wydać za tego ślimoka Szurgoła. Chcą ci jeno po przyjocielsku pedzieć, że to chachor i że już siedzioł pięć miesięcy w hareście.

- Cego? Pięć? Widzisz, jaki to gizd i jak mię to łocyganił. Mię padół, że jeny siedzioł trzi!

Pani radczyni wróciła z badań do domu. Uradowany męzulek pyta:

- Powiedz, Kociu, czy byłaś mi też wierna?

- Tak samo, jak ty mnie!

- Taaak? No, moja droga, już ty mi do badań nie pojedziesz!

Na lekcji zoologii:

- Te, Sowa, wymień mi jakie zwierzę, które uważasz za najbardziej leniwe?

- Płoszczyca, panie profesorze!

- Dlaczego płoszczyca? - pyta dalej profesor.
- No bo przeca ten gizd bez cołki dzień nie wyłazi z łóżka.

Kandydat na żyniaczkę pado do stręczyciela małżeństw:

- Ale słuchajom jeny, przeca jo się z tom kobietom, co jom rajom, nie mogą żynić. Przeca łona mo jedna noga krótszo.

- Ale słuchajom ino, pado stręczyciel:

- Co to łoni przy tym uszporujom! Przeca może się zdarzyć, że i z kożdą inkszą dziołchom może być to samo. Włeci pod "śtrasbanka" abo auto, cóż potem bydom mieć z tego, ino koszta na dochtora i aptykorza. A sam już majom wszystko gotowe!

- Dzióbku, prziszyłaś mi to już ten knefel do szakietu?

- Ni, Hanysku. Nie mogłach tego knefla zność, tożech wzina i zaszyłach dziurka.

Nauczyciel, ucąc bąków gramatyki, pyto:

- Buła, powiedz mi, jak będzie "kura" w piątym przypadku?

Buła: - (milczy).

Nauczyciel: - No, jak zawołasz na kurę?

Buła (uradowany) - Cipka, cip, cip...

Jakiś bukslik jedzie se banom i porząd się dropie po karku. Naroz wyciągo zsa krągła jakieś małe stworzonko, przyglądo mu się bez chwilka, po czym wyrzucio go bez łokno i pado:

- Nie chcesz, łowado, spokojnie jechać do dom, toż tapej pieronie piechty!

W tym samym przedziale siedzi jakiś miglanc i ciągle chlisto, czyli pluje, na przeciwległe ściana wagonu. Jakiś oburzony pasażer pyta:

- Hej, słuchajom jeny, czamu to tak porząd plujom na ściana, co?

- Czamu? No bo sam przeca stoi napisano: "Nie pluć na podłoga!"

- Słuchajom jeno, sołtysie, czamu to sam u wos w caluńskiej wsi widać jeno dzieci bose?

- Ha, no cóż robić, panoczku, takie się już urodziły.

Chińczyki na "Kleofasie"

Usłyszolech, wiecie, pora dni temu w angielskim radyjoku bardzo ciekawo wiadomość z naszego Śląska. Prawił tam "spiker", jako to jakiś dyplomata belgijski oświadczył, że w naszych kopalniach pracujom Chińczyki.

- Pieronie, Karlik - padom se - mieszkosz sam, a nic o tym nie wiesz. Musisz przeca choćby jednego takiego żółtego fyrnioka trefić i se z nim pogwarzyć i spytać się go, po co sam do nos przyłoz?

Niewiela myśląc, poszołech na pierwsze do mojego przijociela, profesora Józefa Wypiera, kiery poradzi tym żółtym chińskim językiem szwandrać...

- Powiedz mi proszą, kochany profesorze - padom do niego - jako to trza godać z Chińczykiem?

- Hm, jak godać z Chińczykiem? Ano jo myślą, że po chińsku.
- Po chińsku. No tela, to jo tyż wiem. Ale godej, jak jo po chińsku nie poradzą... Prziszołech sam, ażebyś mię tego, Zefliczku, nauczył!
- Dobrze - pado profesor - za pół roku, jeśli mosz ochota, Karlicku, bydziesz już poradził kiela zdań wypedzić poprawnie po chińsku. To ci gwarantują.
- Do dioska z takom gwarancyjom - pomyślołech - kiej mię już teraz, zaroz, trza z tymi żółtymi pogodać...
- Nie było jednak rady. Myślą, jakech sam już prziszoł, to niech nie bydzie po darmo. No i zarozki zabrołech się do pierwszej lekcji. I padom wom, żech nie pożałował. Nauczyłech się tych wyrazów sporo: "Ciang", "bang", "kaj", "ciong", "fu", "hung". Poradziłech to już gładko wypowiadać, jeno żech nic a nic nie zapamiętał, co to pieroństwo znaczy. Pocieszył mnie profesor i objaśnił, że w chińskim każde takie "Ciang", "bank", "kaj", "fu", to mo ze setka inkszych znaczeń i może być na nasze przełonaczone jak: lampa, kilof, krowa, ciele, influendza, gorzoła itd.
- Z takom srogom wiedzom o chińskim języku poszołech terozki na kopalnia szukać tych żółtych obywateli, z nami zaprzyjaźnionych. Wybrołech się na "Kleofas", jako że mi tam było najbliżej, no i kajech za młodu fedrował. Sjechołech na dół i pytom się jednego znajomego górnika:
- Te, Francik, może byś mi pedzioł, kaj to sam na dole u wos robiom te Chińczyki?
- Jakie zaś Chińczyki? - dziwuje się Francik.
- No, nie macie sam na Kleofasie" takiego żółtego górnika?
- Żółtego?... Zaroz, zaroz, Karlicku, doczkejcie, jeden sam był taki żółty...
- No widzisz, padom i ucieszyłech się.
- Chciołbym se z nim pogodać.
- Dyć możecie se iść do niego. Fedruje na chodniku, przy piątym oddziale.
- Dobra, Francik, dziękują ci! Ino powiedz mi jeszcze, jak do tego pieronika mom zacząć godać?
- Jak? Ano prosto z mostu. Przidziecie ku niemu i zawołacie: "Gustlik, stary mazoku, jako ci leci?" Bo on się zwie Gustlik Mrugała.
- A cóż se ty ze mnie błozna robisz, Francik? Przeca godołech przodzi, że to Chińczyk.
- Eh, berocie i tela. Prawiłech wom, że był żółty, ale to skuli tego, że się obćkoł bestyjo tłustym mięsem, popił zimnym piwskim no i dostał...
- Morzyska? - padom.
- Nie, żóltaczki...
- Spieroniłech Francika, ale psinco mi z tego przyszło. Nie dołech jednak za wygrano i postanowiłech, że musza tych Chińczyków znojsć, a choćby się w mysie dziury zakopali. Nie przidzie mi to z trudem, jako że klycił ten dyplomata, mo ich sam na Śląsku być aż pół miliona.

Poszołem do innych oddziałów. Łązą z jednego filara na drugi, zaglądom wszędzie, ale nikaj żodnego żółtego nie widza...

Aże w końcu podskoczyłem z radości. Bo kiejech się przeciskoł bez jeden nowo wyrąbany gonek, słyszą, jak się chtosik wydziero:

- Kaj... kaj... kaj... le... le...

- Pieronie, mom go! Chińczyk! - wrzasnólech - Ciang, ciang, fu, bang, kaj, kaj, fu, fu...

Na jeden roz wypowiedziólech to wszystko, co mię profesor bez cołkie dwie godziny nauczył. A ten mi na to:

- Kaj... kaj... le... le... leziesz, ty pierzyńsko marcho. Nie... e... e...e wi... widzisz, że... e... e sam le... le... leży faj... faj... fajka? Cia... cia... ciąg tu... tulejo us... molono, bo... bo... jak cię gięgichna, to... to... zarozki ło...ło... łoboczysz Chi... Chi... Chińczyka.

Nie czekołem już, aże mię gichnie, alech śmiatoł, aże się ze stropu sypało.

Jednech tylko miał terazki życzynie... żeby tak dostać w łapy tego klyciorza, kiery nafanzolił w świecie o tych Chińczykach na Śląsku. Przytrzymałbych go temu górnikowi, kiery się boroczek zdziebko jakoł... I kierego bez to wzionech za Chińczyka.

Niech by go gichnył łopata bez łata!...

Karlik skacze

Ni mogą się, choćbych chcioł, pochwolić, zech się w swoim życiu nazbyt kamracił z lotnictwem. No boi tak, moi mili, jakech jeszcze był takim malućkim Karlickiem, kieremu śpikol wisioł z nosa, a koszula z galot wyglądała, a nie srogim Karlik ze siwom brodom, nie było wtenczos jeszcze lo nos młodych ani modelarni, ani szybowisk, ani tych roztomaitych much, szerszeni, salamandrów, lebo jastrzębi. Nie bawilichmy się tyż tymi pięknymi roztoliczymi modelami lotniczymi, jak to terazki moje wnuki czyniom, jeno wyczynialichmy i puszczałi na hołdach znane "drachy", inaczej latawce, roztomaite gwiazdy, kwadraty, trójkąty...

Przyznom się, zechmy sporo z tego mieli uciechy, jak się taki kolorowy "drach" wzbił w powietrze, ale tyż i łostudy było skuli tego nie mało i lamentowano, zwłaszcza ze strony kochanej mamulki:

- Karlik! Pódz ino sam, ty drachu... Zasioł mi ściagnył ta rolka nici, ty jancykryście! Nici mi są potrzebne na twoje stargane galociska, chacharze zatracony, a nie na drachy... Doczkej, jeszcze ty bydziesz miał za swoje, za ten szlips tatulka, kieryś wywlókl i zrobiól z niego łogon lo dracha... Skoranie z takim syncyskiem, nic ino drachy i drachy! Do nauki się lepiej zabierz, inaczej łostaniesz siedzieć, berdyjo diosecko... Byda jo ino musiała pójść do rectora i poprosić go, żeby ci te drachy wykurzył... ty drachu!

Toć pewnie, że te mamulczyne obietnice realizował często tatulek swoim pasem na moich galotach, aże bych se zapamiętoł na długo te swoje nieświadome latawcowe emocje...

Potem, jakech z Karliczka wyrósł już na srogiego Karlika, moje kontakty z lotniczymi terminami ograniczały się do roztomaitych

"beczek" i "korkociągów". Ale że niewielka miały łone wspólnego z lotniczą akrobacją, toż wola o nich nie wspominać...

Nie myślćcie jednak, moi mili, żebych nie był entuzjastą lotnictwa, przeciwnie, jezech jego najgorętszym wielbicielem, raduje mię każdy sukces naszej uskrzydłonej młodzieży, każdy postęę naszych lotniczych spraw. Nic przeto dziwnego, żech spróbował skoków spadochronowych w Parku Kościuszki. Wybrołech się tam ze swoim ślubnym dzióbeczkiem, na to miło polana, kaj stół wysoki, potężny maszt do lotniczych ćwiczeń.

Rojno tam było. A nojwięcej slectiono się tam z całego kochanego, naszego Śląska małych Gustliczków, Zefliczków, naszych Barbórek i Maryjek. No jakże, przeca i nasze dziółszki lubią lotać... i pociągo je piękny lotniczy sport. Dziwom się na garnącom się do skoków młodzież, radują się jej entuzjazmem, aż sam naroz podchodzi do mnie jakiś starszy panoczek z pokaźnym brzuszkiem, takim, jaki se isto ino lotnik może wyhodować i pado:

- Karlicku, prosimy, ażebyście wykonali skok na spadochronie.

Dziwom się na szczyt wieży. Tak na łoko - 40 metrów! Padom więc:

- A łobywatel to nie może?

I zacznom się łozglądać, w kiero by strona bryknać... No, ale się nie dało, bo lotnik chycił mię za kneflik i zaczon namowiać, że takie skokanie to bardzo przyjemne, że nie sądzi, żeby mię strach łoblecioł, żech przeca z "chłopców, co się nie bojajom" - i tak mi deptoł po honorze i ambicji.

I cóż było robić. Uściskołech mego ślubnego aniołeczka, wzionech do gorści paryzoi i z nojwiększom ochotom i trzęsącymi się szłapami - poszołech pod ta zakłeto wieża... Coch miol inkszego zrobić? Nie może się przeca Karlik zblamirować, no ni?

Jakech zaczon włazić na to wiezo, roztomaite myśli skokały mi po głowie, wola jednak ło nich nie godać... bo isto łobrazilby się na mię śmiertelnie ten panoczek, kiery mię na ten skok był namówił... Padom se jednak po łozwodze, pierona, roz kozie śmierć!

Na wierzchu już, na tej małej platformie, zacznini mi przypinać ten spadochron. Jak mi go przypieni, pytajom się:

- Gotów?

Westchnyłech i łodpowiadam:

- Gootów!

- No, to lu!...

- Śmiało, Karlicku! - pado jakiś młody człowiek. Myślą se:

- Jakbych cię tak maznął, ty snoplu razym byś był gotów, pieronie!

Jakosiech niebacznie spojrzoił w dół i włosy stanyły mi na brodzie!...

Wszyściutko takie maluśkie, o tycie... Nawet moja staro tako była maluśko, jak mój kanarek w klotce... Ale co to wszystko znaczy, jak sam bracie mosz styrdzieści metrów pod sobą... Juzech chcioł łodbić i się wycofać, ale kiejech se pomyśloł, że wiecznom wzgardom mogą łokryć Karlikową firmę i łostać pośmiewiskiem tych wszystkich snopłoków, kierzi ze zadartymi nosami stoli pod wieżą i ze zazdrościom spojierali na moje trzęsące się galoty, toż zdecydowałech się... zawarłech łoczy i... hop! skoczyłech.

Zaszumiało mi w łebie, przepaść się pod nożyskami łotwarła, aże nogle jakiś trzask się rozlyg nad mojom głową i zawisech w powietrzu. Bioły, srogi grzyb spadochroni łotworzył się nade mną i zaczął spokojnie, wspaniale, jak pióreczko ptoka, spływać ku ziemi. Co to za rozkosz, moi drodzy, tego wam ani nie mogą łopedzić, to się ino czuje... Skoroch poczuł, żech szłapami zetknął się z ziemią, zerwołech się, ażeby zaś pocwankać na ta wieża i skoczyć zaś po roz drugi. Ale nici z tego, snopluki mię już do tego nie dopuścili. Musiołech się z tym pogodzić, bo im się przeca tyż coś z tego noleżało.

Toż niech se zuchy skokajom. Niech rośnie w nich odwoga, mężność, niech się rozwijo sprawność.

I wam, moi drodzy przyjociele, wam wszystkim, chceście już chłopcy dojrzałe, gorąco polycom te skoki, kierych po łotwarciu wieży możecie dokonywać. Bo nom przeca wszystkim jest potrzebno sprawność do pracy i obrony, w tych wielkich chwilach budowanie lepszej przyszłości. A takom sprawność dowo nom właśnie lotnictwo, szybownictwo, spadochroniarstwo. Toż pyrisk, kamraty!

Do częstego widzenia się na wieży, na lotniskach i szybowiskach...

### 32. Bieda w biedaszybie

Bajka współczesna dla małych i dla dużych dzieci.

ZAPOWIADACZ

Pewien biedny śląski górnik, pozbawiony przez szalejący kryzys i bezrobocie pracy, wybrał się do takiego zaczarowanego lasu, w którym ponoć znajdowały się pod ziemią skarby. Tak mu to kiedyś w dzieciństwie opowiadała jego nieboszczka starka. Upatrzawszy sobie miejsce pod starym rosochatym dębem, zabrał się do kopania, wierząc święcie, że wykopie skarb, chociażby niewielki, aby zakupić ten kęs chleba dla chorej żony i sześciorga głodujących dzieci. Pracując tak uparcie przez parę dni, miał szczęście, bo dokopał się węgla, w którego pokłady las był bogaty. Toteż uradowany, kopiąc kilofem, wesoło sobie pośpiewywał:

GÓRNIK

Kopia węgiel co dnia w lesie, aże echo wiater niesie. Kopia dzisiok, jak i wcora, tak łod ranka do wiecora (kopie). Łup... łup... łup...

ECHO

I Łup... łup... łup...

GÓRNIK

Cy dysze pado, wiater wieje, jo się z tego wdycki śmieje. Tak łod świtu aż do nocy, kopia przy boskiej pomocy. Łup... łup... łup...

ECHO

Łup... łup... łup...

GÓRNIK

Co do dioska, gowa maći porząd troska... Zdo mi się, jakby przeciągle jeszcze chtosik kopoł wagle. Zdo mi się, że ftosik woło (słucha). Kaj tam, cisza naokoło... Widać mamiom jakies maryl, echo godo - robi caryl... Do roboty bier się chłopie, strach ci chleba nie wykopie... Łodgoń strachy Panie Boże... Pobłogosław, to

pomoże. A trza pilnie kopać przecie, bo w chałupie bieda gniecie... Jak człek pracą nie wydoli, chleba nie bydzie ni soli... (kopie). Łup... łup... łup...

ECHO

Łup... łup... łup...

GÓRNIK

Oj, pierzyńsko bieda, co gniecie, to gniecie. Ło świcie wychodzą na robota, harują do samej prawie nocy, nie przymierzając jak ten koń, a bieda marcha - wróż to gorszo. A przeca nie lynia się przy robocie, na gorzołka nie tracą, korczma łobchodza z daleka, piwska nie miołech w gąbie, wierzą, już ze dwa lata. Galociska na mnie łoptargane, ledwie się trzymajom kupy... A nieroz, mój Boże, jak wyłażą z chałupy na robota, to babie ani dzieckom kaszczka chleba łostawić nie mogą. Nic ino się bieda bezkurcyjo na mnie uwziena... Alech i jo się uwzion! A fto przetrzimo, łobocymy... Ale tej przejętej biedzie, tyż na smutny koniec przidzie. Jak gizd wlezie kiedy w droga, łeb jom gichna, złomia noga... Łup... łup... łup...

ECHO

Łup... łup... łup...

GÓRNIK

Co za głosy, mocny Boże! Ftoś mię podrzyźnio w tym borze... Co jo słówko, to łon słowo, porząd słyszą go za gową. E, niech se godo, co mi szkodzi, nie boja się, boch nie złodziej (kopie). A może ftoś zbłądził w tym borze, na droga trefić nie może? Isto tak jak wiatr niesie, bo ftóżby sam łaził po lesie... (krzyczy) Hej! jest tam fto? Hop... hop...! Hop... hop...!

ECHO

Hop... hop...!

GÓRNIK

W imię Boga, komuż tędy bez las droga?... Pozór chopie, ftosik idzie... dziód to stary. Jakiż dziwny... Nie do wiary, siwo broda, łach stargany, ogień w łoczach, w ręce kostur łobciosany... Wszelki duch niech Boga chwali... żeby poszoł se już dali...

DZIADEK

Kto mię woła, w imię Boga, kto mię woła? Kto tu cudze skarby kopie?... Czego szukasz - powiedz chłopie?

GÓRNIK

Dyć jo kopia, nie widzicie? Musza zarobić na życie!...

DZIADEK

Idźcie lepiej do dom chłopie, grzeszy ten, co tutaj kopie. Skarb tu święty!... Już od wieka on z kilofem nie zna człeka...

GÓRNIK

Dzisz, mądrala! A wom dziadu co do tego? Nie przywódciesz mię do złego... Święty skarb je, czy nie święty, joch bez bieda wynajęty... Byde kopoł, jak mi kożę, żodno godko nie pomoże... W domu bieda je za progiem, idźcie dziadu z Panem Bogiem.

DZIADEK

Ale to grzych, przykozanie siódme Boże! Kradzież biedzie nie pomoże... Jeszce się człek nie z bogacił, kiery krzywda ludzką płacił. Do dom idźcie, o tej porze zło się włóczy po tym borze... Sam niedobrze wieczór być, do dom jeśli chcecie żyć...

GÓRNIK

Nie boja się! W doma wszystkich tropi bieda, jakech zaczon, kopać byda... Padom bieda, dziecek sześć, baba chora, a trza jeść. Jak się węglo już doklupia, to i sprzedom, chleba kupia...

DZIADEK

Ale tu naokół nas, godom przecie, święty las. Tu nie wolno kopać, ciąć, ni źle myśleć, ani kłać...

GÓRNIK

Przeca nie kina, ino kopia, można skarbu się dodropia... Nie wykopia, nie zapłacona, za co chleba kupia, za co? Jak się kopać nie powinno, to robota dajcie inno... Odmowiajom, straszom, bajom, a mnie flaki marsza grajom... (do siebie) Dobrze to starymu godać... Ale jakbyś tak miał w chałupie choro baba, dziecek sześć, co wołajom "tata jeść!" To inakszej byś zaśpiewał i kopaniu się nie dziwoł...

DZIADEK

I jam głodny, bo wśród bora nicem nie jodł już od wczora...

GÓRNIK

Nie jedliście? Mocny Boże! Toć że chleba nie ma w borze... Pomóc bych wom z serca rod, ale cóż, kiej se mnie dziod! Lecz doczkejcie, nie biadajcie, chleba kaszczek jeszcze mom, joch nie głodny, to wom dom... Mocie, jedzcie, co Bóg daje, i wom widza sił nie staje! Mocny Boże! Widać przecie, nie ino mnie bieda gniecie... Ho! Ho! to nacyjo i zawzięto jest berdyjo, jak się człeka roz przycepi, to go co dzień gniecie lepi...

DZIADEK

Bóg wom zapłać, chleb schowejcie, w domu, żonie, dzieciom dejcie... Lecz nie kopcie! Na Boga rany, skarb ten tu zaczarowany! Bierzcie kilof, idźcie do dom, tu nie kopcie, jo wom godom.

GÓRNIK

Czamuż to? Godejcie dziadku, niech się dowiem na łostatku. Dobrze godać, nie kop sam, czy się doma dziwać mam, jak mi zamrze baba, dzieci, jak tam z głodem śmierć przileci?...

DZIADEK

O tem potem! Zaradzimy, bez grzechu was nakarmimy. Wy chacieście mnie nie znali, sami głodni, mnieście dali, ten łostatni kasek chleba, coście do roboty mieli... Jeno dobry człek się dzieli! Żeście mnie poratowali i ostatek z serca dali, chcę wam pomóc i pomogę dziś na dalszą życia drogę. Posłuchajcie...

GÓRNIK

A dyc słuchom dziadku, słuchom...

DZIADEK

Wśród tego boru, daję wam tu do wyboru, do wyboru rzeczy trzy! Trzy rzeczy co pomyślicie, to się spełnia... Zobaczycie!

GÓRNIK

Jezusiczku! Rzeczy trzy! Sam w tym lesie, bez niczego? Nie poradza wedle tego! Tak bez baby, bez porady? Mój Bożyczku, nie dom rady. Trza namyśleć się choć krzyna, toć ustąpcie choć z godzina!

DZIADEK

Na to zgoda! Widzę przecie, że tak zrazu nie możecie bez namysłu. Lecz kiedy się namyślicie, kciukiem krzyża znak zrobicie, wpierw



na czole i powiecie kilka słów i na piersiach krzyżyk znów. Słowa, które pedzieć macie, dobrze se zapamiętacie: Na górnika to żądanie i Skarbnika rozkazanie - tako rzecz niech mi się stanie. Czy w zawieja, czy wśród burz, mo się spełnić, no i już!

GÓRNIK

Święty Boże, czy to śnik, dziadku, dziadku! Cóż kiej znik! Panie Skarbnik... ozwijcie się. Ino wiater echo niesie! Co jo poczną? Wybrać trzeba, czy jo wiem? Można by chleba, szpyrki, kawy albo soli? Som trzi rzeczy do mej woli, a sam potrza rzeczy stu! Galot nie ma, butów (spluwa) tfu! Co sam wybrać? Wszyscy święci! A cas leci bez pamięci. Żeby baba była tu, toby rzekła, a tak? (spluwa) Tfu! (słysząc pukanie) Co to zaś? Dzięcioł? (pukanie) Chociech stary, ale takie strachy, takie czary, nie były sam nigdy w lesie! (nadsłuchuje, słysząc pukanie) Czy w tym dębie siedzisz biesie? Czy tyż wiater głosy niesie! (głośno) Chto je w dębie? W imię Boże, niech się łożwie, jeśli może!

WOLNOŚĆ (w pniu dębu)

Jam jest Wolność, córa Piasta!

GÓRNIK

E! Godanie, to cygaństwo jest i basta. Znom dokładnie ten las cały, lecz sam baby nie bywały! Skąd zaś dzisiok bez uroku, prziszła baba i ło zmroku? Ino głos twój wiater niesie, nic nie widza, pokoż że się!

WOLNOŚĆ

Wyjść nie mogę! Wyjścia strzeże mi czarownik!

GÓRNIK

Chto? Nie wierzą. To cygaństwo je wierutne. Niech sam przyidzie, łąb mu utnę.

WOLNOŚĆ

Jam w tym dębie jest zakłeta, wróg mi srogie nadał pęta. Wiek za wiekiem czas się trawi, póki mnie kto nie wybawi!

GÓRNIK

Cóż mom zrobić, by cię zbawić! Trza kilofem diobła sprawić?

WOLNOŚĆ

Masz trzy rzeczy do wyboru, więc jak jedną mnie wybawisz, dwie dla siebie pozostawisz, to szczęśliwy wrócisz z boru.

GÓRNIK

Co sam wybrać? Byle cosi, jom wybawia, kiej tak prosi. Trza się brać do przedsięwzięcia, wypróbować te zakłęcia, i łąbaczyć, czy się stanie, to Skarbnika łąbiecanie.

DIABEL

Hip! Hop! Hop! Tu jest ten chłop, skuszę go wnet, odwiode het, wódki mu dam, wszak ludzi znam, zapomni znów zakłęcia słów...

GÓRNIK

Wszystko jedno! Czas spróbować, cóż mam próżno kombinować. Albo prowda abo łąganie, takie jeny obiecanie...

DIABEL

To cygaństwo, zwykłe łąganie! Nic się, mówię wam, nie stanie... szkoda czasu i zachodu, mom tu flaszkę, chcecie miodu? Gorzołeczka aż się śmieje... Pijcie, oko wam zbieleje?

GÓRNIK

A to co za nowe dziwy? Kogo to zaś Pon Bóg niesie po zaczarowanym lesie?

DIABEŁ (odskakuje)

Dajcie spokój... Takie słowo w lesie mówić tu, niezdrowo. Pójdźcie lepiej, mówię wam, ja tu jedną karcznię znam. Co zechcecie, to tam mają... prawie darmo rozdają! Jest gorzałka, wino, piwo, chodźcie prędzej, chodźcie żywo. Ja zapłacę! Mam pieniądze. Chodźmy razem, ja nie zbłądzę!

GÓRNIK (do siebie)

Co za pysk, co za poczwara! Skąd sam prziszła ta psiopara... Czy to człowiek? Diobół może? Same cary dziś w tym borze.

DIABEŁ

No człowiecze, chodźcież już, karczma stoi obok tuż! Hip! Hop! Hop! Co z was za chłop. Ucieka czas. Czeka ją nas!

GÓRNIK

Skądście wy, czego chcecie?

DIABEŁ

Zaprościć was na jednego! Zjemy tłusto też do tego, że tak ciężka macie dolę, mi was żal, toż wam z serca sprawić pragnę skromny bal.

GÓRNIK (do siebie)

Diobół gisz. Łeb jak u kruka. Ho... ho... ho! Wiem, coś ty za sztuka. Chce do grzychu przywieźć człeka, trza go wygnąć, czas ucieka.

DIABEŁ

Pójdź, już czas. Czego stoisz, wina się kieliszka boisz?

GÓRNIK

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

DIABEŁ

Oj-oj-joj! Nie trza tak, ojoj, zmykam, dosyć tego, (do siebie) tu za krzakiem sobie stanę, jeszcze cię chamie dostanę! Nie pomoże boska wrzawa, wiedz, że tu jest z diabłem sprawa!

GÓRNIK

Wykurzyłeś piekła plemię. Górnik nie jest bity w ciemność! Jest spokojny, nie chce zwady, jak trza, do i diobłu rady. Chcioł mnie skusić kuternoga, szwob paskudny... zawalidróga... A teraz do przedsięwzięcia. Cych zapomniół te zaklęcia?

DIABEŁ (ostrożnie)

Górnik słuchaj! Moja rada, nie rób czarów, nie wypada. Czary jest to brzydka rzecz, pójdźmy razem, pójdźmy precz!

GÓRNIK

Podziesz dioble, już, pokrako! Bydzie z tobą byle jako! Iść sam stąd, ani się śni, rogi ze łbem zetnę ci. Nie chcesz, doczkej, jo ci pomogą, zaraz dioble znajdziesz droga (żegna go) w imię Ojca, Syna, Ducha...

DIABEŁ

Już... już... idę - widzisz zucha! Diobół chłopu już nie skusi! jeszcze słuchać chama musi... Co za czasy dziś nastają... (ucieka)

## GÓRNIK

Głodnym! Flaki marsza grają... Łód rana robia przy dębnie, nie miólech kaszczka jodła w gębie... toż dla czarów doświadczenie, byda żadoł do jedzynio...

Na wyraźne me żądanie i Skarbnika łozkazanie tam w chałupie i sam w lesie fura jodła duch prziniesie. Czy w zawieja, czy wśród burz, mo się spełnić, no i już (Grzmot i przeciągły gwizd, słycać turkot nadjeżdżającego wózka).

Boże, co zaś widzom moje łoczy, z takich czarów świat się mroczy. Kokot w wozie, zamiast konia, jodła tyle, kiej dło słoniu... Ło, Maryjo! Co sam tego... szpyrka, chleb i moc inkszego... Jeno koń, co to przydźwigoł, takiegoch jeszcze nie widziół:

Trza spróbować, ździebko tego i tamtego, wszystko dobre że aż dziwo... (zajada)

Widać... Skarbnik, co doł rady, nie mo gowy łod parady. Jak powiedział, tak się stało, czy tam w doma tych maszkietów nie za mało się dostało... Siedem ich jest... siedem gąb... zładują wszystko pod dąb... jo som nie zjem. Wezmą babie, dzieciom do dom, jeszcze drugim biednym podom... Człek se podjod, aże miło, a sam prawie nie ubyło. Styknie nom na miesiąc jaki, a wikt to nie byle jaki! Skoroch podjod tak fajniście, trza rzec drugom, oczywiście też dokonać... Szkoda czasu, bo i noc włazi do lasu (żegna się). Na górnika to żądanie i Skarbnika łozkazanie, Wolność co sam zakłeta, niech diabelskie sciepnie pęta! Czy w zawieja, czy wśród burz, mo się spełnić, no i już! (straszny wichler, grzmoty, jakby trzęsienie ziemi)

Matko Święta! Wielki Boże! Czy to koniec świata może? Błyskawice i pierony, sam i tam na wszystkie strony... Co to znaczą znaki te? Czych łobudził można złe? (po chwili) Jezu święty! co za zmiany. Kaj ten las zaczarowany... same mury, wieże, dachy... (po chwili) Wygnołech ze zamku strachy. Wygnołech ze zamku czorty. Co to górnik teraz warty! Co robotne warte ręce! Teraz biedzie łeb ukrećę... już wiem jak... już się nie boja... już niczyja bieda moja...

## WOLNOŚĆ

Bóg wam zapłać, od lat przeszło pół tysiąca byłam w pętach, czekająca wybawienia. Strzegł mnie wróg, przez was mnie wybawił Bóg!

## GÓRNIK

Prawią jaśniej! W mym rozumie wymiarkować to nie umia. Chtoście wy som. Kajście byli? Czyście tyle nagrzeszyli? Chto wos więził, że każdy krok was pilnował jakiś smok? Jo tego pojąć nie umia, prawcież jaśniej, nie rozumia.

## WOLNOŚĆ

Mówić dużo, szkoda słów, gdym jest wybawiona znów, chcę wam tylko złożyć dzięki za podanie bratniej ręki, żeście niepomni własnej troski, z mocy, którą z łaski boskiej dzisiaj macie, skorzystali i pomocną dłoń podali. Nie chcieliście skarbów, złota, nie nęciła was ochota zostać królem, bo są tacy... wy chcecie żyć z własnej

pracy... w własnym domu, z dziećmi, z żoną, mieć swą starość  
zapewnioną. Czart was kusił, lecz wbrew woli człek się skusić nie  
pozwoli.

GÓRNIK

Niech se kusił, się nie boja, łon wie swoje, a jo swoje! Koždy  
robi tak, jak musi, ino głupca diobeł kusi.

WOLNOŚĆ

Jeszcze raz wam składam dzięki, weźcie pierścień z mojej ręki, on  
wam dopomoże z biedy, jakbyście w nią wpadli kiedy.

GÓRNIK

Bóg wam zapłać, choć tam bieda, mię piestrzenia nie potrzeba.

WOLNOŚĆ

Weźcie proszę, on poradzi... z Panem Bogiem...

GÓRNIK

Niech Bóg prowadzi! No a teraz wielki czas zrobić. Z Biedą koniec  
raz:

Na górnika to żądanie i Skarbnika łozkazanie, niech się Bieda roz  
łodczepi i niech nom się wiedzie lepiej. Czy w zawieja, czy wśród  
burz, mo się spełnić, no i już! (grzmoty) Ho! błyskło się. Widać z  
tego, że na Bieda idzie sąd! Pomóżcie mi wszyscy święci, niech się  
Bieda nie wykręci. Teroz chnetki przyjdzie Bieda, zrobią cosik, co  
się przyda, na przyjęcie, powitanie, i daj Boże, pożegnanie... Ta  
łopata mi się przyda, bez niom w szybie zginie Bieda... (świst  
wiatru, trzaski konarów drzew i piekielny chichot)

BIEDA

Witam, witam mój ty drogi... chociaż ledwie wlecza nogi, przeciech  
prziszłam sam do ciebie, bo przy tobie mi jak w niebie... Robisz  
podrząd, bez ustanku, do wieczora od poranku, co zarobisz, mnie  
się przida, boch jo przeca Twoja Bieda ukochana tak mi tęskno już  
od rana, w twojej chacie jeść co niema... Po kryjomu szlach do  
ciebie tukej w las, bo też dzisiok, jak i jutro, nic już nie  
rozłączy nas... Co zarobisz swoją pracą, sama zjem... bo i na co  
mam się dzielić, po co, z kim? Apetyt mam doskonały, mogę jeść i  
dzień cały, ciągiem głodno, ciągle braki, wikt u ciebie lada jaki,  
wciąż kapusta i ziemniaki. Żadne zbytki, patrz, jakie mam chude  
łydki! Może masz sam mi co dać? Już nie mogą z głodu stać!  
Gryzłabym póki by stało... Ażby w zębskach mi trzeszczało... Pół  
wołu byłoby mało...

GÓRNIK

To jo robia, a tyjesz?... Chcesz jeść, to i zarób też!

BIEDA

Kiej jo jeno jadać lubię, a robotą się nie chlubie. Ty rób, masz  
praktykę w tym, co zarobisz, jo ci zjem.

GÓRNIK

Nieźleś wymedytowała, aleś się i łoszukała... Łod dziś nie dom ani  
krzynki, ni kruszynki, łodrobinki.

BIEDA

Ale czemu? Tyle latek tyś mi płacił ten podatek. Tylem lat przy  
tobie żyła, tyś pracował, a joch tyła. Było dobrze, tak zostanie,  
mój ty luby, me kochanie... Nie odejdę ni za chwilę, tak mi z tobą  
dobrze, mile...

GÓRNIK

Ja ci padom, póki czas, łodczep się już roz od nas!  
Społem żyć już nie będziemy i dziś się sam łozejdziemy!

BIEDA

Iść od ciebie?! Ani mowy! Tyś chłop dobry, tyś chłop zdrowy! Może mosz sam ty, mój panie, łobiod swój albo śniadanie. Dej, dej wartko, jo to zjem, nie bydzie zachodu z tem!

GÓRNIK

A leży tam kole szybu, spójrz pod dąb, mnogo prawda, więcej, jak na jeden ząb...

BIEDA

A widzisz, wiedziałam święcie. Zjem to zaraz w tym momencie.

GÓRNIK

Spróbuj jeny, czy dosz rady. Słuchaj, jo nie szukom zwady, ale spróbuj, czy dosz rady.

BIEDA

O jej, co to? Coś wbrew woli dojść do dębu nie pozwoli. Coś mnie trzymo! Puść! Powoli... nic wziąć z jądła nie dozwoli! Podaj proszę, włóż do ręki, kawał mięsa, skróć me męki!

GÓRNIK

Nie proś, bo to nie pomoże, chcesz, do szybu, ździebko włóżę, ty możesz do szybu wleźć i se tam spokojnie jeść...

BIEDA

Dobrze, zgoda, wrzucaj proszę, ale dużo, nie po trosze...

GÓRNIK

Masz sam wieńców pięć kielbasy, chleba, sera, to frykasy. Jak zjesz wszystko, koniec z Biedą, jeśli mało, jeszcze przydom. Dobrze... wlaźła... niech tam siedzi. Niech się Bieda w szybie biedzi. Teraz ziemiom szyb zasuję, już jej nic nie uratuje. Niech do końca świata siedzi i nos już więcej nie biedzi. (żegna się) Na górnika to żądanie i Skarbnika łozkazanie, Bieda w szybie niech łostanie! Nie by da już kopoł dalej, nich się Bieda-szyb zawali... (słychać grzmot zawalającego się szybu). Mosz! Siedź! Teraz moga śpiewać dana, bo już Bieda pochowana! Już nie wyjdzie między ludzi, już nom życia nie utrudzi. Chto zarobi, ten jeść będzie, już nos Bieda nie łobsiędzie.

STANIK

Hop! hop! Tato, czyście w lesie? Kaj wos szukać, ozwijcie się, chodzą, szukom, znaleźć nie moga, kajście tato sam, na Boga?

GÓRNIK

Dyć to Stanik, synku mój! Sam jest, sam jest, tacik twój! Idź prościutko, potem w lewo, znajdziesz kaj to srogie drzewo.

STANIK

Tatuliczku mój kochany! Póďtecie już, póďtecie do mamy.

GÓRNIK

A czy jeszcze czarów mało, godej synku, co się stało?

STANIK

Tatuliczku! Póďtecie do dom! Coś się stało, jo wom godom! Pełno izba do powały, chleba, mięsa sklep tam cały. Chto to przyniós, nic nie wiemy, lecz nie szkodzi, my to zjemy. I komora pełno cała, mama aże wyzdrowiała!

## GÓRNIK

Dzięki Bogu za ratunek, skończył się już nasz frasunek. Póđź do matki, na zapusty łod dziś co dnia łobiod tłusty. Póđźże Stanik wartko do dom, do mamulki, jo ci godom. Bieda w szybie już zabita, w szybie zdechnie, no i kwita! Radość odtąd w śląskiej ziemi, śląsko Bieda diosi wzieni! Diosi wzieni, już i kwita, pijmy za zdrowie Skarbnika!

**33.W niedziela przy żeleźnioku**

(Tło akustyczne: zegar wybija godzinę jedenastą, Gustlik ziewa przeciągle)

## GUSTLIK

Eee! Nie ma co siedzieć, noc się zbliży, wszystko polekućku pouciekało, trza i mię bydzie pocwanckać ku chałupie. Żebyście aby tego żeleźnioka nie byli wytrzaśli z izby. Jakoś raźniej człowiekowi było na duszy, jak się poliło w nim i buczało szykownie, no i cieplej było...

## KARLIK

Tak, tak, synek, tobie nigdy nie wygodzi. Roz mu za gorko, żeleźniok już niepotrzebny, zawozdo, a jak go nie ma, to szkoda żeleźnioka, jeszcze zimno, przydołby się... a czemu, po co? Mój Bożyczku! dyć kiedy o mnie szło, toby piecyk jeszcze stoł no a jak trzeba, toby grzoł. Ale cóż w drugie święto, łoński poniedziałek, jak wiesz, przyszło to moje cołkie bractwo na ten śmiergust no i na kroszonki, no i jak to zwykle przy takich przyłyżytościach bywo, przodzi się posikali, potem się pogniewali, potem się przeproszali, a na końcu na zgoda potańcowali. Trudno im było odmowiać. Przeca młodzi, to i zabawić się godzi. Mało się to napościli bez sześć tydni.

## GUSTLIK

No dyć, dyć. Ino że pośród tych młodych w pierwszo pora wywijoł z niejakoś Haźbietkom jeden jeszcze blank młody, bo bez włosów na łebie - nazywoł się- doczkejcie, nazywoł się nie przymierzając Karlik! Jak majtnoł dziołchom w łobracanym "Roz na lewo, roz na prawo", tak zawadził o żeleźnioka, żeleźniok ryp na ziemia i diosi go wzieni.

## KARLIK

O tak, tak... mosz prawie. Terozki se przypominom. Fajnisty to był karlus. Taki, jak to padajom, i do tańca i do różańca. No a dziołcha jako szykowno. Toteż nie dziwota, że wywijali: Niejeden tulejowaty i wiecznie utyskujący Gustlik, mógłby se go za wzór wziąć.

## GUSTLIK(zły)

I co się zaś mię chytocie? Coch wom zaś zrobił, aże co?

## KARLIK

Materyjo, synek, dyć to przeca nie o tobie myślą, kajżby tam. Tak samo jak ty nie myślołeś o mnie, godając o Karliku, tak jo, godając o tobie, nie myślą o Gustliku... prawda? Co se ta bydziemy wypominać inkszych i psuć się wieczór pięknie rozpoczęty. Chyciłbyś się harmoniki, nowo mosz, jak widza, no i zagrołbyś coś

szykownego... ale, ale pokaż mi ino ten twój instrument, boch dotąd nie miał czasu się go obejrzeć.

(Bierze harmonijkę, która wydaje pełny nieskoordynowany dźwięk) Piernika! klękejcie narody! Dyć to prawie jak organy. Czy to ta samo coś to kiejsik pora miesięcy temu groł sam przy żeleźnioku na niej. Godoleś wtenczos, że ma cosik czterdzieści registrów. Czy to ta sama.

GUSTLIK

Nie. Tamta była pożyczana, miała siedem registrów, a ta mo szesnaście registrów. I jest już moja.

KARLIK

Twoja? A czyś ją to kupił i kaj.

GUSTLIK

Toć żech ją kupił. Przecach ji nie ukrodl. Przysłali} mi ją z Italijs.

KARLIK

Z Italijs? A czy na bórg czy też za gotówka?

GUSTLIK

Aleście też to ciekawi... a sami godocie wdycki, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła!

KARLIK

O jeje, jeje! Dyć się ino pytom. Jak nie chcesz pedzieć, to nie musisz. Zagrej lepiej i już. Jo ji tam spłacać nie byda...

GUSTLIK

Wiadomo, wy ta płacić nie lubicie. Jo wom też nie koża. Byda po placach chodzował i groł. Nazbierom waluty i byda spłocoł i już. Ale do żeleźnioka weźnecie się za to inkszego Gustlika. Jo już u wos fedrować nie byda. Terozki zagrom wom jeszcze coś na pożegnanie. Posłuchajcie!

KARLIK (pomrukuje)

GUSTLIK (gra)

No jakoż Karliczku! Podobo wom się ta harmonika.

KARLIK

O! Bardzo mi się podobo! Ale bardziej mi się jeszcze podobo...

GUSTLIK

Co?

KARLIK (przekomarzająco)

Ten tuleja co na niej gro.

GUSTLIK

No to pięknie. Toż terozki się z nim pożegnejcie, a za tydzień mile wspominejcie. Łostońcie z Bogiem i chowcie się na szpyrka.

KARLIK

Słuchejno Gustlik! Czy cię co użarło czy co? Czegoś ty się dzisiok tak uwzion na mnie? Toż to tako chcesz robić narodowo zgoda? Tochmy na to dzisiok do kupy wysłuchali pięknego przemówienio naszego wicepremiera o konsolidacji, o wspólnym fedrowaniu dla ojczyzny i wszystkich jej obywateli, a ty, mazoku, terozki bieresz dudy i uciekosz? Słuchej synek, nie dopolej mię, bo jak chyca pasa, to ta złość z ciebie zarozki wykurza. A jeszcze jedno ci powiem. Łode mnie oberwiesz dzisiok, a wszyscy inksi, kierzy jeszcze nie śpiom, a chcą tego twojego żeleźnikowego dudlanio, ci

należą ci dziepiero jutro, jak cię trefią we wąskiej uliczce, jo cię bronił nie byda, to ci padom. Trudno... pado się cierp ciało, kiedy ci się grać nie chciało, (po chwili) No czego nic nie godosz? Gustlik słuhej. Wybierej, abo łostoń i dostaniesz flaszką piwa... abo...

GUSTLIK

No widzicie, tak po ludzku mieliście zarozki do mnie przemówić, (śmiej się) Jak jest piwo, to łostana.

KARLIK

O ty bezkurcyjo. Tak mnie zrobić na błozna, widzieliście pragliwca, jak jest piwo, to łostanie. Tak jak bych sam browar mioł, a dy mosz, napij się. Chocioż to ostatnio flaszką i niech ci się mnoży, jo się wody napiją. Czego nie robi się dło przyjaciela i dło świętej zgody.

GUSTLIK

O nie, Karliczku. Nie ma z tego nic. Zgoda narodowo wyglądo inaczej. Flaszeczka ta wypijemy się pospołu, sprawiedliwie, po połówce. Dowojcie szklonki (słychać nalewanie piwa). To tak, za wasze zdrowie Karliczku.

KARLIK

Ło ty bezkurcyjo kochano. Dejże pyska. Choćeś nie dziołcha, niech cię aby wycalują. Fajny z ciebie synek i żeleźnioka nie opuścisz - prowda.

GUSTLIK

No toć że nie! Takech wos ino chcioł podroźnić. Któżby naszych kochanych rodaków i tych bliskich i tych dalekich łozeweseloł aby bez te półgodzinki w niedziela. Choćby im łosłodzoł smutek, którego tyła na świecie. Zapomnijmy ło niem i kochajmy się i wierzmy, że razem pospołu, w zgodzie, w miłości i zjednoczeniu lepsze lo nos wszystkich nadejść musi jutro. Zaśpiewejcie Karliczku Wasz tygodniowy przegląd łod Francika a jo wom pobasuja. W myśl pięknej sentencji: "Grejże Karlik, bydziesz w niebie, a Gustliczek wele ciebie". Zaczynomy.

Nie wszystko złoto, co tak się świeci Choć radowały się na śmiergust dzieci. Chłopczyńska rade dziołchy sikają, A te im rade się odwdzięczają. Och kaj te czasy, kiedy my sami Se tak gonili z tymi flachami (bis)

I już po świętach - wszystko zjedzone,  
 No i bajtliki ogołocone.  
 Teraz na nowo trza zaś harować  
 By ten pierzyński col wyfedrować.  
 No ale cieszcie się nom żoładki  
 Bo za niedługo - Zielone Świątki (bis)  
 Że rząd francuski już ździebko bielszy  
 Toż i Italiok do niego śmielszy  
 W ostatnim czasie już obradują  
 Isto się wkrótce zaś skolegują.  
 Zrobił to wszystko Anschluss z Austryjom  
 Widać nie wierzy Duce berdyjom. (bis)  
 Już wyrachował jeden nasz urząd,



łże nom ludzi przybywo porząd  
 Zaś dwa i pół nos milionów więcej.  
 Mię zaś od downa pytanie dręczy:  
 Czy też przybytek - tak kolosalny -  
 Bydzie mógł wchłonać - Okręg Centralny  
 (bis).

Jest taki ludek, co się dziwuje, że tam komusik wszystko klapuje.  
 że się spinają, jakby ku niebie Choć pełno pychy mo każdy w łebie.  
 Bóg nieroz dźwigo aż tak wysoko By potem mogli upaść głęboko  
 (bis).

Naród nasz dzielny, naród nasz zdolny  
 I każdy Polak - w Ojczyźnie wolny, Bo jego duszy ona nie żado Do  
 garców żoden mu nie zagłado. Ludziom tu wolno - kiej chcom -  
 strajkować, Wolno koźdemu... i popyskować (bis).

Na świecie kiepsko jest polityka,  
 Bo iże nie chcom słuhać Karlika.  
 Za dużo godki dziś o pokoju,  
 By nie wybuchło nom cosik w moju.  
 My momy w Polsce tu takie zdanie:  
 Fto by chcioł lejtów - ten je dostanie (bis).

#### **34. Na wycieczce w Tychach**

Gustlik warzy piwo, Karlik klyci bery a Haźbietka śpiewo  
 (Tło akustyczne: w piwogródku tuskim słyhać gwar licznych  
 wycieczkowiczów, kwartet z Gustlikiem na czele wygrywa jakąś  
 melodię)

GUSTLIK

Co się to Karliczku dzisiok porobiło?

KARLIK

A co się miało porobić?

GUSTLIK

No, pocyganiliście farnońsko! Przeca się nazywało:  
 że na swacynie w Tychach Gustlik warzy piwo, Karlik klyci bery a  
 Haźbietka śpiewo, a sam ani jedno ani drugie.

KARLIK

Jak to ani jedno ani drugie? Przeca wszystko jest wedle programu.

GUSTLIK

Nie godejcie bele co! Kaj sam program. Jo piwa: warzą, a Haźbietki  
 tyż nie ma...

KARLIK

No, mój kochany, zmiany programowe są dozwolone, że ty piwa nie  
 warzysz to żodno strata, fajnie by to piwo smakowało jakbyś go  
 nawarzył. Isto bychmy się wszyscy potruli przy takim usmolonym  
 piwovarze. A jeślibychmy z tego wyszli cało, toby już sicher  
 nichto tego fajnistego trunku nie wzion do gęby. Pij, jak mosz co,  
 a nie warguj tela, żeby ci zaś tak gordziela nie ścisło jak  
 łośkiej niedzieli. Jak słyhać to ci tam jeszcze w chyrtoniu  
 kocur siedzi.

GUSTLIK

Jeje, jeje! A dyc się tak ło tyn mój gordziel już nie starejcie. Widzicie przeca, że wydobrzeź. Robiłem se kompresy zimnym piwem na zewnątrz, a smarowałem gorkiem od wewnątrz. Terazki zaś mogą łod początku. Sam w Tychach nie tacy pragliwi jak wy. Czybych to był zachorował, kiebyście byli dowali tego sztofu więcej. Ale wdycki było za mało, godo człowiek, śpiewo i gro podrząd a śpiewać darmo boli gardło toż i nie dziwota, żech się struny nadwyrężył...

KARLIK

No tyś, toć już jo widza, że by sam terazki na fest łostaniesz w tych Tychach, ale nie z tego nic. Bez śtyry tydzie możesz się sam topiąc, ino się przodzi koż ubezpieczyć łod nieszczęśliwego przypadku.

GUSTLIK

Jakiego zaś przypadku.

KARLIK

No jakbyś tak, czego nie daj Boże, wpod do jakiej beczki abo kadzi. Mało ich tam sam. A jo żech przekonany, że w kożdo bydziesz swój pragliwy dziób wtykoł.

GUSTLIK

No, jak widza, to z wos fajny przyjociel. Nie ma co, ale w gębie... Szlechtujecie mię wiela wlezie.

KARLIK

No no, przyjociel w gębie, toś tyje braciszku...

GUSTLIK

Po jakiemu jo?

KARLIK

Po temu, że kożdej niedzieli jak przychodisz do mnie na fedrunek to wdycki przodzi do izby włazi gęba - pragliwo piwa - a dziepiero potem przyjociel... czy nie jest tak.

GUSTLIK

Dobrze, dobrze spamiętom se to. Już jo tam u wos piwa do gęby nie wezna, aże nie... kiej mi tak wymowiocie. Łobejdzie się.

KARLIK

Wesele cygona bez marcypona. No toć. Nalejesz] się dzisiok na forant do basa, na śtyry tydzie, żeby j stykło, ci padom.

GUSTLIK

A czamu to na śtyry tydzie prawie?

KARLIK

Temu, że łod dzisiok wyprzęgom! Idą na urlopij Musza się przeca tyż ździebeczko łodpocząć. Przy takim wrziciwrzole jak ty toby człowiek roz dwa pojechoł do Abrahama. A jo braciszku jeszcze chcą żyć.

GUSTLIK

To niedobrze!

KARLIK

Czamu niedobrze?

GUSTLIK

No bo co jo sam borocek byda som robił.

KARLIK

Co? Bydziesz pił piwo! Ale za swoje! A potem nauczysz się bez ten czas pora nowych kasków, bo porząd na tych swoich dudach grosz ino te same kaski i blamierujesz mię.

GUSTLIK

Oj źle! Widza, że już po mnie. Karlika nie bydzie, Gustlik w bidzie.

KARLIK

No, no nie starej się. Śtyry tydzie przeleci jak nic, potem zaś do Pon Bócek bydymy fedrować z nowym zapałem, ale ino wtedy jak się poprawisz.

GUSTLIK

Karliczku, a kaj to pojedziecie?

KARLIK

Nie wiem jeszcze. Napiszą ci widokówka, to bydziesz wiedzioł, ale dziepiero jak przyjadą nazod.

GUSTLIK

Karliczku! A kajż to Hażbietka. Czamu to dzisiok u nos nie śpiewo? Czy to nie przyjechała jeszcze z tego paprycznego kraju?

KARLIK

Toć przyjechała, ale byś jej nie poznoł, tako ci czorno. Nie chciała przyjść dzisiok, bo się boi, żebyś się nie wystraszył. Padała mi, że przyjdzie jak wybieleje i zaś nom potem cosik szykownego zaśpiewo... Nie ma rady, synek, musimy cierpliwie doczkać. Z kobietami to tak wdycki. Jak się tako uprze i powie nie, to nie! Ani na piękne słówko, ani nawet na piwo jej nie weźmiesz. No ale synek dość tej familijnej pogwarki. Kiej ci dali piwa, toż fedruj, bo wiesz, że za darmo umarło, nie po tochmy sam przyśli, żeby się wadzić. Bier się z komplami do roboty. Dobrze, zagromy wom Czyjeż to póleczko nie orane - to bydzie roz - na drugie zagromy wom kroćzoka, ułana i cygana.

GUSTLIK (po skończonej grze)

Karliczku, to to nasz łostatni fedrunek dzisiej? Nie docie to co nalepszo na pożegnanie?

KARLIK

Nie łostatni, a przedostatni. Ty też nigdy ostatniego piwa nie pijesz. A co ci to mom pedzieć?

GUSTLIK

No jakechmy w Tychach, to powiedźcie cosik ło piwie i jego ofiarach.

KARLIK

Dobra. Toż posłuchej:

Hanys Łykocz, kiery strasznie przoł piwu, tak nie przymierzając jak ty, zachorował na uszy i grozi mu niebezpieczeństwo głuchoty. Dochtór, do kierego Łykocz poszeł po porada, stwierdził, że chorobę wywołał nadmiar używano alkoholu. Zabronił więc Łykoczowi pić, inaczej, jak mówił, ogłuchnie zupełnie. Łykocz wziął sobie zakaz doktora do serca i przez kilka tygodni ani skosztował tego eliksiru. Skutek był ten, że Łykocz wyzdrowioł i słyszał dobrze jak dawniej. Po jakimś pół roku spotyka ów doktor naszego Łykocza na ulicy i woła: Hallo, hallo, panie Łykocz! Łykocz nic, idzie

dalej. Doktor woła powtórnie. Łykocz nic. Doktor więc biegiem za nim, dopadł go, łapie za rękaw i mówi:

Hej, Łykocz, widzę, że z waszym słuchem znów gorzej, pewnieście zaś piwsko trąbili? Na to pado Łykocz:

Wiedzom panie dochtór, jo im coś powia, jakech przestoł pić, toch słyszoł, to prowda, ale wszystko, coch słyszoł, nie było takie dobre jak piwo. (śmiechy)

No, jeszcze jednego:

No, wiesz Wojtek, zawszech se życzył kiejch był samotny, aby dostać kobieta, kiero by miała trzy zalety: pierwsze, aby w towarzystwie była fajnom damom, w kuchni aby wdycki była dobrą kucharką, a jak bydziemy sami, coby była dlo mnie miłą zolytnicą.

- No i co znodeś tako?

- O ja, znodech. Ino, że te przymioty są u niej trocha na łopach.

- Po jakimu.

- Ano, tak, widzisz... w towarzystwie jest zolytnicą, w kuchni jest wdycki fajnom damom, a jakechmy są dokupy sami, to pieron wdycki jest kucharką. (śmiechy).

No jeszcze jeden na przydatek:

Richard i Stanik, dwa takie nasze buksliki spotykają się na drodze. Richard beczy.

- Czego to buczysz - pyto Stanik.

- Łu, łu - bo mi zdech mój pies...

- Toś tuleja i trąba. Mię niedowno umarli tatulek, a nie beczą.

- No ja - pado Richard - kiebyś tak jak jo był tatulka wychowoł łod szczynioka, to byś tyż beczoł. (śmiech)

KARLIK

Joch z fedrunkiem już gotowy.

GUSTLIK

Teroz Przegląd tygodniowy.

KARLIK

Dobrze Gustlik, chytej dudy, niechaj słucho niby, chudy.

Otóż w Brzezince cosik się dzieje, żelazobeton w ziemia się leje. Toć tam stowiają stacyjo nowo a pięćdziesięciokilowatowo. Cieszy się Karlik, że chnet pół świata Nasz Śląsk usłyszcy i z nim się zbrata.

Za miedzą mało żelaza mają toż ze smętorzów kraty zbierają.

Fiihrer za kanał śle adiutanta ździebko się boi stowiać na Kanta.

W swoim pałacu chodzi se Duce patrzy na północ i cosik mrucy.

Stalin uszczypnął kajś Japończyka. Myśli:

Korzystne jest polityka, przeca japs w Chinach teraz zajęty toż bydzie wolno mu wlyżć na pięty. Japończyk chytry coś manewruje, a diosi wiedzą, co tam planuje.

Czechy zmortwienie ogromne mieli iż kuratela przyjać musieli. Toż jeden sprytny lordzik angielski mo im befsztyczek sprawić wisielski. Churmami do nos ci uciekają co na Hitlera łaskę gwizdają. W Miemcach chorują na aryjczykow w Polsce za dużo momy indyków, kierzy się strasznie roztopierzają i biednym kurkom pojeść nie dają. Toż trza indyków stąd wyforować A zatem kurki lepi futrować.

Staro upiekło kołoc fajnowski bo dzisioj odpus mamy Janowski. Kołoc, żywołki jak śnieżyk bioły, takich nie majom Niemcy bęcwoły. Borocy teraz ersatze mają, a zamiast mąki, trocin im dają Joch miał wyjechać do Neapolu (śmiech Gustlika) Gustlik, nie śmiej się głupi ucholu. Wszystko za darmo mi dować chcieli A jednak tam kej mię nie ujrzeli. Cóż mi Neapol i jego dziwa kiedy tam nie ma tyskiego piwa.

### **35.Kiep ten, co więcej daje, niżli może!**

Działo się to w czasach, kiedy Śląsk po pierwszej wojnie światowej, po narzuconym mu plebiscycie, a w końcu po krwawym powstaniu ludu roboczego powrócił po sześciu wiekach niewoli i wyzysku do swojej polskiej Macierzy. Niestety, nie całą śląską ziemię spotkało to szczęście!...

Machiawelskie szachrajstwa zagranicznych maklerów dyplomatycznych sprawiły, że Śląsk podzielony został na dwie części, na tzw. Śląsk polski i niemiecki. Tysiące Polaków skazano na dalszą niewolę i poniewierkę pod panowaniem butnego i mściwego Prusaka. Wyniszczona długoletnią wojną Polska nie posiadała ani siły, ani też wypróbowanych, szczerych przyjaciół - by wspólnie ramię przy ramieniu wywalczyć sprawiedliwość. Chcąc nie chcąc, musiała się z dokonany łajdactwem pogodzić.

Nastaly tedy lata tzw. sąsiedzkiego współżycia, które więcej było niż ciężkie. Odczuł to na swej skórze zwłaszcza lud pracujący, który pod faszystowskim knutem, żyć był zmuszony. Wprawdzie zawarto mnóstwo umów i paktów, gwarantujących "mniejszościom" po obydwu stronach swobodę i opiekę, tych jednak zakłamaną Prusak nigdy nie wypełniał. Dla siebie żądał zawsze jak najwięcej, sam nigdy niczego nie dotrzymując... "Mniejszość" niemiecka po stronie polskiej żyła sobie jak u Pana Boga za piecem, mimo tego wiecznie była niezadowolona i "krzywdzona", natomiast los większości polskiej po stronie niemieckiej godny był pożałowania. Świadczą o tym liczne dokumenty, zachowane z tych czasów, oraz żyjący świadkowie, którzy to piekło w Reichu przeżywali.

Polskę i Polaków zohydzano systematycznie i zawieszono wszystkiego. Ppowietrza, ziemi, wody, chleba, mięsa i tłuszczu... zwłaszcza że żywność była po stronie niemieckiej ograniczana i dla konsumpcji racjonowana.

Głodzono pruskiego obywatela, jako że już wtedy (z czym nie krył się Fihrer) zbrojono się do nowego napadu na Polskę i przerabiano masło na armaty, zaś wygłodzony patriota pruski wycieczkował masowo na polską stronę i opychał się... Nie broniliśmy im tego, raz, żeśmy naród słynący z gościnności, po drugie, że u nas chleba, kiełbasy i innych smakołyków było pod dostatkiem... Polak zawsze poczciwy i dobroduszny rozumował, że żarłocznego smoka najłatwiej ugłaskać, jeśli mu się da do syta nażreć!

Tyle na marginesie wesołej opowiadki, która teraz nastąpi: Rzecz dzieje się na odcinku granicznym, niedaleko stąd.

Nadeszły święta wielkanocne, zawsze w Polsce radośnie obchodzone. Granicę polsko-niemiecką dzieli przepływająca tam rzeka. Strony

polskiej pilnuje żołnierz, po drugiej zaś patroluje pruski Grenzschutz. Jest wczesne rano, z dala dolatuje głos dzwonów kościelnych. Kiedy po obydwu brzegach rzeki zrównali się strażnicy, zatrzymał się Niemiec i woła:

- Gut morgen kamerad!...

- Dzień dobry! - odpowiada Polak.

- Dziś Wielkanoc - mówi Niemiec - a my tu musimy chodzić i pilnować nie naszego dobra.

- Trudno - odpowiada Polak - dobro Państwa to także i dobro nasze... a służba nie družba!...

Czy ty wiesz kamrat, że tu u nas w Niemczech jest taki zwyczaj, że sobie ludzie na Wielkanoc dawają podarunki? Ja też tobie taki przygotowałem podarunek, masz, chwytaj!

I mówiąc to, przerzucił przez rzekę paczuszkę zawiniętą w papier i obwiązaną sznurkiem.

Polak zdziwiony tą niecodzienną uprzejmością szwaba podziękował, no i rozeszli się każdy w swoją stronę. Zaintrygowany prezentem Polak rozwinął paczuszkę, poczem zaczerwienił się, następnie zaś pobladł z oburzenia. Zaklął szpetnie, splunął i cisnął wszystko w rzekę. Zawartość paczuszki pochodziła z pruskiej "latryny", którą syn „Herrenvolku” chciał w swej głupocie zakpić z Polaka.

Żołnierz nasz oburzony do żywego tym chamstwem myślał, jaką by Prusakowi dać nauczkę, i wymyślił.

Poszedł do strażnicy, wyjął z szafki skrzynkę, którą był otrzymał na święta od swoich rodziców. Dobywszy noża, odciął kęs kiełbasy, kawał wędzonego boczku, dołożył do tego parę jaj, sporą pajdę kołacza, owinał to wszystko w czysty papier, włożył do kartonika, obwiązał i poszedł na swój odcinek, wyczekując nadejścia Prusaka. Kiedy go się doczekał, w takie odezwał się słowa:

Hej kamrat, posłuchaj!...

I nas ojcowie nasi uczyli grzeczności, chcę ci się odwdzińczyć... chwytaj! Mówiąc to rzucił paczkę zdumionemu Niemcowi i dodał: Jesteśmy kwita, każdy daje, co może!

### 36. Stanik bydzie górnikiem

KLYCINO

Dobry wieczór Karlicku! Jak widzicie zasięch sam do wos prziszła, myślą że mię przeca nie wyciepniecie. Prowda?

KARLIK

Kajby zaś! Zacny gość wdycki miły jest w chałupie... Szczęść Boże! Witejcie chmosiu i siodejcie.

KLYCINO

A kajż to wasza kobieta, nie ma ich w doma?

KARLIK

Ale jest, jest, ino że przed trzema godzinami wyszła na pięć minut do somsiadki... Razym przidzie, a jakby nie, to pošlymy po niom milicjanta.

KLYCINO

Ale, ale, już milicjanta. Dejcie kobiecie pokój, niech se tam dziebko poklyci... Dyć wy, chłopy, jak się z chałupy wyrwiecie,

to tyż potym nie wiecie, kiej zaś do niej przyjsć nazod... Już my się tam na tym znomy, aże znomy...

KARLIK

No dyc, dyc ino że my to wdycki łodpokutować musimy. Niedowno spotkołech mojego somsioda, z kierymechmy się pospołu wybrali do naszej świetlicy na zebranie, no i po niemechmy się zdziebko zasiedzieli... Pytom się go:

- No i co tam Alojs wiele ciebie? Jakożeś się po naszym wcorajszym zebraniu dostał do chałupy! Szczęśliwie? A na to łon:

- Diobłać tam! Moja staro się od wczora jeszcze ani słówkiem do mnie nie łodezwała... A na to padom jo:

- E, toś ty bracie szczęśliwy, bo moja jak ci wcoraj zaczyna godać, to ci do terozka godo i godo!...

KLYCINO

No toć, wy tam wdycki coś musicie na baby wymyślić! A pięknie byście bez tych bob wyglądali...

KARLIK

Wiadomo, tak jak rolnik bez pługa abo górnik bez karbidki i kilofa... Padajom, że my chłopi, tochmy som gową domu, ale wy, baby, toście tym karkiem, kiery tom gową kręci, jak mu się podobo...

KLYCINO

I dobrze tak moiściewy, bo kieby nie tyn kark, to nie jedyn z wos byłby już ta swoja gowa stracił... Już tam Pon Boczek wiedzioł, co robi, kiej wom w tym rajy stworzył Ewa. No, ale prziszło tyż i mój Stanik, i to jak widza z pięknem pukietem kwiotków no i z podarunkiem, kiery dlo wos z węglo wystrugoł. Bo musza wom pedzieć, że mi nie dowoł pokoju i porząd mię molestowoł, żebych z nim poszła do chrzestnego Karlicka, bo musi wom podziękuwać za dorada i żeście mu wskozali droga do górniczego zawodu, kiery mu tak przypod do smaku... No Stanik, toż godej terozki, tak jakeś mi to zapowiałoł.

KARLIK

Witej Stanik! Pięknie żeś tyż roz prziszed nawiedzić swojego, starego chrzestnego. I co mi to pięknego powiesz, ha?

STANIK

Dyciech, chrzestny, prziszło z mamulką do wos, ażeby wom podziękuwać za to, żeście moich łojców przekonali i namówili ich, coby mię dali na to , górniczo szkoła. Jo się z tego bardzo radują, i downoch już mioł chęć łostać górnikiem, ino zech się boił...

KARLIK

Boleş się łostać górnikiem! A czamuż to?

STANIK

Nie, górnictwach się nie boił, ino tego, że mię łojcowie nie bydom chcieli puścić. Nojwięcej to już bruździli ciotka Spycyno, padali, że to na gospodarskiego syna nie pasuje iść na górnika...

KARLIK

No, ale tyś tymu nie uwierzył, co?

STANIK

Toć ni! No ale mogło się nie udać, że jednak postawia na swoim... Dziepiero, jak mamulka przišli łod wos chrzestny i łopedzieli coście to wszystko pedzieli ło górnikach i że górnictwo to nojpiękniejszy zawód na świecie, i że nasza Polska tela mo korzyści i chwały z pracy górnika, dziepiero uwierzyli i wszystko się łodmieniło. Za to tyż chrzestny wdzięczność dlo wos me serce przenika i proszą przyjmijcie te kwiotki i ten podarek od waszego Stanika.

KARLIK

No dziękują ci synek za wszystko. A toś mi dziepiero zrobiół niespodzianka... Dziwejcie się ludzie, co za piękno popielniczka i to z wagło. To twoja robota?

STANIK

Moja, chrzestny, dlo wosech to zrobiół, przyjmijcie z dobrego serca.

KARLIK

Dziękują ci synek, dziękują! Narobiłeś mi radości co niemiara... Widza, że z ciebie majster nie lada jaki i mądry z ciebie jest synek... Bydom z ciebie mieli pociecha i ojczyzna, i polsko społeczność, i łojcowie, no a dziołchy to się bydom prały ło ciebie, jak łostaniesz tym inżynierem górniczym... Powiedz tyż ciotce Sprycynej, że górnicy są nojlepszymi mężami, a że tak jest, pokożesz ty, jak się ożenisz...

KLYCINO

No, no Karlicku, widza żeście już gotowi robić wesele, a do tego jeszcze jest bardzo daleko... A potym zaś tak nie wychwolejcie tych waszych górników, bo jeszcze pomyślom, że to prowda. Chłopiska wszystkie jednakie, cy to rolnik, górnik lebo inkszy sztudyrok wszyscyście po jednych pieniądzech... Nic ino zgorszynio z tym nosieniem...

KARLIK

Klycino, przestońcie! Nie kidejcie żurem! Sami w to nie wierzycie, co godocie. To tak prawie jak Musiolicka, kiero tyż kiejsik padała mi:

Ani se nie możecie pomyśleć Karlicku, jakie to som przyjęte diobły te wszystkie górniki. Padom wom, kieby mi mój pierwszy nie był umar, to za nic na świecie bych się nie była wydała za drugiego górnika... No widzicie, jakie to są baby.

KLYCINO

Dyć, dyć, już wy się tam wdycki poradzicie wymigać, tak prawie jak ten kocur, jakbyś go nie ciepnył, to wdycki na szłapy stanie... No ale Stanik, zbierejmy się, na nos czas, w doma jeszcze hołda roboty.

KARLIK

Zarozicki, dockejcie jeszcze ździebeczko. Powiedz mi jeszcze Stanik, kiej się to do tej szkoły górniczej chcesz zapisać!

STANIK

A dyć jużech jest zapisany.

KARLIK

Już?



## STANIK

No tak. Tatulek zarozki na drugi dzień, jak mamulka byli u wos, pojechali se mnom do Tarnowskich Gór i poszlichmy razym do tej szkoły. Tam mię przepytali, co poradzą, a potym się tyn pon dyrehtór uśmiechnyli pod nosem, potym chycili mnie za czupryna, potrzęśli niom i pedzieli:

No dobrze mój chłopcze, jak się będziesz pilnie uczył, to zrobimy z ciebie uczciwego i dzielnego górnika. Zapisali mię potym do takiej srogiej księgi i pedzieli:

Po wakacjach mój synu, zgłosisz się tu w szkole, no i już było po wszystkim.

## KLYCINO

Nie po wszystkim Karlicku, nie. Jak się nazajutrz we wsi dowiedzieli, że się Stanik zapisał do szkoły górniczej, zacyni się nasi gospodarze schodzić u nos ze swoimi syncyskami i pytać się, co, kaj i jak?... Wszyscy chcom terazki swoich synków zapisać do górniczej szkoły... mój stary to się nie móg łognać, tela się dopytywali...

## KARLIK

No, to pięknie, widać, że zmańdzeli gospodarze i że nauka nie poszła do lasa... Czem więcej bydymy mieli dobrych górników, tym więcej bydymy mieć waglo, a czym więcej bydymy mieć waglo, tym bogatsi bydymy i tym bardziej nos bydom w świecie szanowali. Ciebie zaś Staniczku za ta radość jakoś mi dzisiok zrobił, zabiera ze sobom do Wrocławia na ta naszo polsko wystawa. Dobrze?

## STANIK

Dziękują wom chrzestny! Mamuliczko złoto, jak jo się radują!...

**37. SŁOWNICZEK GWAROWY**

Słowniczek gwarowy

a b o - albo

a c h i k - kieliszek wódki

a d y ć - a przecież

a n c u g - ubranie

animować - namawiać, zachęcać

anlegować - przyłożyć, przymierzyć, wycelować

a n t r e j - przedpokój

b a b r a ć - malować

b a d y - uzdrowisko, kąpielisko

bajtlik - 1) portmonetka, 2) mały chłopiec

bajukać - chodzić na czworakach

b a k a n - wstręciuch

b a l i - także, owszem, nawet

bań a - kolej, pociąg

b a n i a r z - kolejarz

b a n k a - tramwaj

bańtować - hałasować, tłuc się

bas - brzuch

b a s a k - grubas

bebechy- 1) wnętrzości, 2) pierzyny  
 b e k - płacz  
 b e r a - bajka, baśń, opowieść  
 berać - opowiadać bajki, baśnie, opowieści  
 b e r a n i e - opowiadanie  
 b e r d y j a - tu: przekleństwo  
 bergdyrektor - dyrektor górniczy  
 bergman - górnik  
 b e z - przez  
 bezkurcyja - tu: przekleństwo  
 bieraszyb - prymitywna, płytko kopalnia węgla, eksploatowana przez  
 ubogą ludność na własny użytek  
 bildowany - wystrojony, wyszkolony  
 b i z a - lampas, wypustka  
 blamirować - kompromitować  
 b l a n k - całkiem, zupełnie  
 błecha - pchła  
 b o c z o ń - bocian  
 boła (boa)- kołnierz futrzany  
 b o m b o n - cukierek  
 borg - kredyt  
 borak, boraczek - biedak, biedaczek  
 brewider - dobitnie, dokładnie  
 brele - okulary  
 brillenszlanga - okularnik  
 bubikopf- ondulacja  
 buks, bukslik- łobuz, leniuch, chuligan  
 bula - lampa łukowa  
 bumel - pijatyka  
 bumlować - leniuchować  
 buntej koszula - koszula kolorowa  
 bździnka - nic  
 cajtung - gazeta  
 cera - córka  
 cesta - droga  
 chachor- zły, niedobry człowiek, chuligan  
 chlistnać - pluć  
 chmosia - kumosia  
 chmoter - kum, kumoter  
 chnet - wnet  
 chłop - mąż  
 chyrtoń - gardło  
 ciepać, ciepnąć - rzucać, rzucić  
 ciepnąć się - rzucić się  
 cip, cip - przywoływanie kur  
 cipka - kurka  
 ciskacz - ładowacz węgla  
 coby - aby  
 cug - 1) przeciąg, 2) pociąg  
 cygareta -papieros  
 cmawy - ciemny

ćma - ciemność  
dać pozór - uważać  
deka - pokrycie  
derka - koc  
destyla - wyszynk wódki  
diasecki - diabelski  
diasek - diabeł  
diasi - diabli  
dinst - służba  
doczekać - poczekać  
doklupać się - dokopać się  
do kupy - razem  
dopalać - gniewać, denerwować, dokuczać  
drach - latawiec  
dudlanie - granie  
durch - ciągle  
dyć - przecież  
dyliny - podłoga  
dzieciatko, na dzieciatko - prezent pod choinkę  
dziepiero - dopiero  
dziołcha - dziewczyna  
dzisiok - dzisiaj  
dziwać się - patrzeć się  
dźwierze - drzwi  
elefant - słoń  
fajnie - ładnie  
fajnisty - bardzo ładny  
fajniście - bardzo ładnie  
fajnowski - bardzo ładny, dobry  
fajny - ładny  
fakla - pochodnia  
fanzolić - bredzić  
fara - probostwo  
faron - piorun  
faroński - pioruński  
farońsko - pioruńsko, dobrze  
farorz - proboszcz  
fater - ojciec  
fedrować - urabiać węgiel  
fedrowanie - urabianie węgla  
fedrunek - urobek  
fedrung - urabianie węgla  
fenik - tu: grosz  
ferniak - chłopiec, kawaler  
fertig - gotowy  
festelnie - fest  
festelny - bardzo mocny  
filar - calizna węgla zawarta między chodnikami, wyrobisko powstałe wskutek urabiania węgla odcinkami  
flek - plama

forant - zapas  
forbaj - przeszło, było  
forszus - zaliczka  
freia - panna  
frelka - panna  
frop - korek  
fry szny - świeży  
furganie - fruwanie  
furt - precz  
fusbalk - piłka nożna  
futer - pasza, siano, karma, żywność  
futrować - karmić  
gadzina - zwierzęta  
galoty - spodnie  
gały - oczy  
gańba - wstyd  
gazda - gospodarz  
gdowa - wdowa  
gelynder - balustrada, poręcz  
genau - dokładnie  
gerycht - sąd  
gibać się - spieszyć się  
gibki - prędko  
gibko - prędko  
gichnąć - lunać, oblać, położyć się, przewrócić się, wystrzelić  
gid - łobuz, przezwisko zwierzęcia  
gielnik - kromka chleba  
gizd - łobuz, przezwisko zwierzęcia  
głupielok - głupiec gnojek, leniuch  
gnój - leniuch  
Gody - Boże Narodzenie  
golacz - fryzjer  
golarz - fryzjer  
gon - polowanie  
gorcki - gorący  
gorko - gorąco  
gorol - człowiek spoza Śląska  
graczki - zabawki  
gruba - kopalnia  
grubelacki - grubiański, niedobry, zły  
grubelacko - grubiańsko  
grundelak - nieokrzesaniec  
gryf - zręczność, szykowność, piękność  
gryfnie - zręcznie, szykownie  
gryfny - zręczny, szykowny  
gumin - guma  
hadra - szmata  
haja - awantura  
hajcer - palacz  
bajcować - palić  
hajer - rębacz (w kopalni)

hań - tam  
harcer - kanarek (z gór Harzu)  
harest - areszt  
harynek - śledź  
hawierz - górnik  
haziel - ustęp, ubikacja  
hut - kapelusz  
ibercijer - krótki płaszcz męski  
inakszej - inaczej  
infanteria - piechota  
influrenca, influrencja - grypa  
inkszy - inny  
ino - tylko  
isto - pewno  
istny - pewny, prawdziwy  
Italiok - Włoch  
Izbetka - izdebka, pokoiok  
ja - tak  
jakla - bluza, bluzka  
jancykryst - antychryst  
jeckusie - okrzyk przestרחu (w rodzaju: Jezus Maria)  
jejkusie - okrzyk przestרחu (w rodzaju: Jezus Maria, jejku)  
jeno, jeny - tylko  
jerum - kłątwa (znaczy tyle co: piorun)  
kabat - marynarka  
kaczy dziób - przyrząd w kopalni do urabiania węgla  
kafej - kawiarnia  
kaj - gdzie  
kajsik - gdzieś  
kajs - gdzieś  
kamracić się - kolegować, przyjaźnić się  
kamrat - kolega  
kamratka - koleżanka  
kanona - armata  
kapa - 1) deska potrzymująca strop, 2) kaptur, płaszcz z kapturem  
kapelanek - wikary  
kapka - trochę, odrobina  
kapsa - kieszeń  
kapudrok - kapelusz  
kara - taczka  
karbidka - lampa karbidowa  
karlus - młody chłopak, kawaler  
kasarnia - koszary  
katejmusek - katechizm  
kąszczek - kawałek  
kej - gdzie  
kejza - ser  
kibel - wiadro, ubikacja  
kichol - nos  
kidać - 1) lać, 2) kłamać

kiej - kiedy, gdy  
kiejby - gdyby  
kiejsik - kiedyś  
kiejś - kiedyś  
kiela - kilka  
kielanaście - kilkanaście  
kiele - koło, obok  
kielec - ząb  
kiery - który  
kindygunek - zwolnienie  
klabuster - plama na ubraniu  
klachacz - plotkarz  
klachać - plotkować  
klachy - plotki  
klamory - stare graty  
klapa - łóżko  
klapować- pasować  
klecić - opowiadać, mówić od rzeczy  
kleciarz - człowiek opowiadający od rzeczy  
klety - pogawędka, rozmowa  
klipa - zabawka dla dzieci  
kmin - cwaniak  
knefel - guzik  
kneflik - guziczek  
kokocik - kogucik  
kokot - kogut  
kokotek - kran  
kole - koło, obok  
koło - rower  
krach - awantura, kłótnia  
kragiel - kołnierzyk  
kraszanka (kroszonka) - jajko kurze o skorupce zabarwionej na jeden kolor jako tradycyjna ozdoba wielkanocnego stołu  
kriegsgerichtsrat - sędzia wojenny  
kromflek - obcas  
kropacz - kropidło  
kropka - kropla  
krupniok - kaszanka  
kryka - kij, laska  
krzesić - cucić  
krzynka - okruszynka, odrobinka  
kucać - kaszleć  
kucanie - kaszlenie  
kuczer - woźnica  
kundman- stały klient  
kupej - przedział (w wagonie)  
kupowaty - pełny  
kust - utrzymanie, wyżywienie  
kwarytka - ćwiartka wódki  
kwaternik- sublokator  
laga - kolejka przy picciu

lagramencki - niegodziwy, przeklęty, diabelski, sakramencki  
 lajerman - kataryniarz  
 lakszuły - lakierki  
 landsman - krajan  
 larmo - awantura, hałas  
 latoś - tego roku  
 lazaret - szpital  
 leberka - wątrobianka  
 leberwuszt - wątrobianka  
 lebo - albo  
 lejty - bicie, lanie  
 leopard - lampart  
 lewka - lewa ręka  
 libsta - narzeczona  
 lombard - zakład kredytowy, instytucja udzielająca pożyczek pod  
 zastaw ruchomości, przedmiotów wartościowych lub towarów.  
 luft - powietrze  
 lump - zły, niedobry człowiek  
 łachy - ubranie  
 łata - fartuch skórzany  
 łośki - ubiegły  
 majtnąć - wywinać  
 makówka- makowiec  
 małowiela - niewiele  
 małpica - małpa  
 mamlas - gamoń, niedołęga  
 mantekler- kogut  
 mantel - płaszcz  
 maras - błoto  
 marcha - paskudnik, szkodnik, niedołęga  
 maszhauz - budynek w kopalni, w którym znajdowały się  
 urządzenia, maszyny  
 maszkiety - łakocie, słodycze  
 maszyniok - maszynista w kopalni  
 mazok - niedołęga  
 maznać - 1) uderzyć, 2) rzucić  
 medycyna - lekarstwo  
 miano - imię mieć  
 prawie - mieć rację  
 mieć recht - mieć rację  
 miglanc - spryciarz, cwaniak  
 milioński - bardzo duży  
 miliońsko - bardzo dużo  
 moczka - sos, przyprawa  
 morzysko - rozwolnienie  
 murchla - stara kobieta  
 murskać- szyć długo, guzdrać się  
 muter - matka  
 muterka - matka  
 myśliwiec - myśliwy  
 nabańturzony - nadąsany, niezadowolony

naćkać s i ę - najeść się  
 nafanzolić - naopowiadać bzdur, nakłamać  
 najduch - niedobre dziecko  
 namazać - naoliwić  
 naprany - pijany  
 naramiaczko - naręcze  
 naskwol - naumyślnie  
 nasuć - nasypać  
 nazdać - nawymyślać  
 nerwowiec - człowiek nerwowy  
 niekiery - niektóry  
 nieskoro - późno  
 nikaj - nigdzie  
 obćkać się - najeść się  
 obersztajger - nadsztygar  
 obklupać - opukać, zbadać  
 obleczenie - ubranie  
 odchlastnąć - oderżnąć  
 odsapka- wypoczynek  
 odsztuchnąć - odtrącić, odepchnąć  
 oduldać się - upić się  
 onaczyć - słowo określające różne czynności  
 opaprać się - ubrudzić się  
 opoważyć się - odważyć się  
 opypcieć - dostać pypcia  
 oskrobiny - obierki  
 osmolić - zlekceważyć  
 oszkliwiec - obrzydliwiec  
 oszkliwy - obrzydliwy  
 oszkubek - tu: zły, niedobry człowiek  
 oszydzić - oszukać  
 owada - niedobry człowiek  
 ozonaczyć (rozonaczyć) - tu: zabić  
 ożarty - pijany  
 ożreć się - upić się  
 ożyrok - pijak  
 pachać - chodzić, latać  
 paka - areszt  
 panuchna - pani  
 papla - twarz  
 papry - lekarstwo  
 paryzol - parasol  
 patrona - nabój  
 paża - pazucha  
 pąknąć się - posunąć się  
 pedzieć - powiedzieć  
 petrolej- nafta  
 pieczonka-mięso pieczone, smażone  
 pieruch - piorun  
 pierzyn - piorun  
 pierzyński - pioruński



pierzyńskie - pioruńskie  
 piestrzeń - pierścień  
 piguła - uderzenie, raz  
 piskać - gwizdać  
 piznać - 1) uderzyć, 2) wybić godzinę (o zegarze)  
 płonka - gatunek jabłek  
 płoszczyce - pluskwy  
 pocwanckać - pójść, wleźć, wdrapać się  
 po ćmoku - po ciemku  
 podciep - podrzutek, pokraka  
 poderdać- pójść powoli  
 podwiel - zanim  
 podziwać - patrzeć  
 po fehcie - po prośbie  
 pofurgać - pofrunąć, polecieć  
 pogibku - szybko  
 pojczany - pożyczany  
 poklabustrowany - poplamiony  
 poklecić - naopowiadać  
 po lekku - powoli  
 policyjan - policjant  
 pono - podobno  
 popieronić - kłać  
 popukać - popękać  
 porząd - ciągle, stale  
 posypka - kruszone ciasto  
 poszkopić - pojać, zrozumieć  
 poszmerać - poszemrać  
 posznupać - powąchać, zażyć tabaki  
 potrajtać - poniszczyć  
 powadzić się - pokłócić się  
 pozłotka - złoty pasek wymalowany na garnku  
 pozór - uwaga, baczenie  
 prać - strzelać  
 pragliwiec - chciwiec  
 pragliwy - chciwy, łakomy  
 pranie - bicie  
 prasknąć - 1) skoczyć, 2) strzelić, 3) trzasnąć  
 prawić - mówić, powiedzieć  
 preswuszt - salceson  
 procnie - ciężko, trudno  
 przac - sprzyjać, kochać  
 przeca - przecież  
 przeciepać - przerzucić  
 przekopyrtnąć się - przewrócić  
 przeonaczyć - 1) przywrócić rozum, 2) przetłumaczyć  
 przesłępać- przepić  
 przefurgnąć - przefrunąć  
 przygrażać - wygrażać  
 przykopa- rów  
 przyleżytość - okazja, sposobność

przynależytość - okazja, sposobność  
 przypryczyć - przynieść, przyciągnąć  
 psiapara - kłątwa  
 psiarek - psiarz  
 psinco - nic  
 pukiel - grzbiet, garb  
 pusz - puszystość  
 pykać - palić fajkę  
 p y r s k! - rodzaj pożegnania  
 pyszczyzka - kobieta lubiąca dużo mówić  
 rabsik - zbój  
 radośnik- chrzciny  
 radyjak - radio  
 rajcula - kobieta lubiąca dużo mówić, plotkarka  
 rajtować - jechać konno  
 rajtowanie - jechanie konno  
 rajza - podróż  
 rajzender- podróżnik  
 razem - zaraz  
 rektor (rechtór) - nauczyciel  
 rektorka (rechtorka) - nauczycielka  
 retong - ratunek  
 richtig - naprawdę, prawdziwie  
 rozpytlowany - rozgadany  
 roztoliczny - różny  
 roztomaity - rozmaity, różny  
 roztomiły - bardzo miły, najdroższy  
 roztopierzać się - panoszyć się  
 rożygać, rożygnąć - zapalić światło  
 ruby - gruby  
 ryć się - pchać się  
 ryjak - ryj  
 ryma - katar  
 rypnąć - 1) uderzyć, 2) skoczyć, 3) wystrzelić  
 rządzić - mówić  
 rzytula - kobieta  
 sam - tu  
 samura - samica  
 sarnik - samiec sarny  
 sądca - sędzia  
 schronić - sprzątnąć  
 seblec - zdjąć ubranie, rozebrać się  
 sebuwacz - przyrząd do zdejmowania butów  
 selier - woda sodowa  
 sergust - serwus  
 siafner - konduktor  
 siandara - żandarm, policjant  
 siarniczka - zapałka  
 siodłak - gospodarz, wieśniak, chłop  
 sjać - zdjąć  
 skamleć - prosić

skamracić się - zapoznać się  
 skiż - z powodu  
 skulnąć - stoczyć się  
 skuli tego - z tego powodu, ponieważ  
 ślepać - pić  
 ślepak - pijak  
 smolić - lekceważyć  
 smyk - łazik  
 snopel - 1) wydzieliny z nosa, 2) smarkacz  
 snoplak - smarkacz  
 soroń - człowiek nieokrzesany, gruboskórny  
 sorta - rodzaj, gatunek  
 spieronić - skłać  
 spluwa - rewolwer  
 spokopić - pojąć, zrozumieć  
 spucować - zjeść  
 spuszczać - jeść, zajadać  
 srogachny - bardzo duży, wielki  
 srogi - duży, wielki  
 starać się - martwić się  
 starka - babka, matka ojca lub matki  
 staroszek - dziadek  
 starość - zmartwienie  
 stracić - zgubić, zginąć  
 strom - drzewo  
 strup - zły, niedobry człowiek, wrzód  
 sturzić - strącić  
 styknać - wystarczyć  
 strzodek - środek  
 strzybny - srebrny  
 suć - sypać  
 swaczyna- podwieczorek  
 synek - chłopak  
 szalot - sałata  
 szakiet (szekiet)- żakiet, marynarka  
 szandara - żandarm, policjant  
 szantekler - kogut (por. franc. poetyckie chanteclair - kogut)  
 szczuka - 1) szczupak, 2) czkanie  
 szerga - hycel, opravca  
 szif - okręt  
 szkolorz - uczeń  
 szkuciny - włosy  
 szlachthauz - rzeźnia  
 szlechtować - oczerniać  
 szleper - ładowacz  
 szleperski - przymiotnik od szleper  
 szlips - krawatka  
 szluk - łyk  
 szłapa - noga  
 szmelcerz - robotnik pracujący w szmelcerni, wytapiacz w hucie  
 sznupa - nos

sznupaczka - nos  
 sznupać - wachać, zażywać tabakę  
 sznuptychla (śnuptych) - chustka do nosa  
 szola - winda  
 szolka - filiżanka  
 szparobliwy - oszczędny  
 szparować - składać, oszczędzać  
 szpasobliwie - żartobliwie  
 szpicaty - szpiczasty  
 szpyndlik - szpilka  
 szperka - słonina, skwarki  
 sztajger - sztygar  
 sztajfira - elegant  
 sztalować - zamawiać  
 szterować - przeszkadzać  
 sztof - 1) materiał, 2) piwo  
 sztok - piętro  
 sztrajchować - malować, cerować  
 sztreka - nasyp kolejowy  
 sztuchnąć - uderzyć, popchnąć, pchnąć,  
 szturknąć - pchnąć  
 sztudyrak - student, uczony  
 sztudyrować - rozmyślać, studiować  
 sztych - uderzenie, szturknięcie  
 sztychać - dotykać  
 sztychnięcie - uderzenie, szturknięcie  
 szucman - strażnik  
 szumny - piękny  
 szupnąć - spaść, upaść  
 Szwab - Niemiec  
 szwajcarska kejza - ser szwajcarski  
 szwandrać - mówić w obcym języku  
 szwiec - szewc  
 szychta - zmiana robocza (zwłaszcza w kopalni); górnicy, robotnicy  
 jednej zmiany  
 szyma - szelma  
 szynkierz - szynkarz  
 szynkwias - bufet, lada w szynku, w karczmie, przy której kupuje  
 się trunki  
 ściepnać - zrzucić  
 ślagzana - śmietana  
 ślimtrać się - płakać  
 śmiergust - śmigus  
 śmierkiejza - ser topiony, ser domowy  
 śnik - sen  
 śpichać się - spieszyć się  
 śpik - smarkacz  
 śpikal - wydzieliny z nosa  
 śtrasbanka - tramwaj  
 strofa - kara  
 strofowany - karany

śtrych - kreska  
 świdrzyć - zezować  
 świętówka - przymusowy dzień wolny od pracy  
 świgermutra - teściowa  
 świtać, świtnąć - kopać, kopnąć  
 tabula - tablica  
 taplać się - moczyć się w wodzie  
 tarabanić się - pchać się, leźć  
 tasia - torebka  
 taśka - torebka  
 tatulek - tatuś  
 tapać - iść  
 tapnąć - tupnąć, trzasnąć, uderzyć  
 tej - herbata  
 tepich - dywan  
 terozki- teraz, obecnie  
 terczeń - dzwonić  
 terknięty - głupi  
 terpać - trząść  
 toć - tak, a jakże  
 trapiduch - uprzykrzenie, to co trapi człowieka  
 trykołowy- trykotowy (tkanina)  
 tryngielt - napiwek  
 tuleja - niedołęga, trąba  
 tulejowaty - gamoniowaty, niedołączny  
 tuplikować - dobitnie tłumaczyć  
 tuplowanie - podwójnie  
 tupłówka - praca w niedzielę w kopalni  
 turnus - przymusowy dzień wolny od pracy  
 tygodnie - tygodnie  
 tyger - tygrys  
 vorwärts - naprzód  
 ubzdać sobie- umyśleć sobie, upodobać sobie  
 uchol - człowiek mający duże uszy  
 uchlastnąć - odciąć  
 ufechtować - uprosić  
 ulelać (ululać)się - upić się  
 ulelany - pijany  
 umszlag - okład  
 uszporować - uskładać, naoszczędzać  
 utropa - bieda, utrapienie, zmartwienie  
 wachmajster - wachmistrz, policjant  
 wachować - pilnować, stróżować  
 wachsztuba - wartownia  
 wachterz - stróż  
 wadzić się - kłócić się  
 wander - wędrówka  
 wargować - odpowiadać komuś w niegrzeczny sposób  
 wartko - szybko  
 wclepować, wciepnąć -wrzucać, wrzucić  
 wdycki - zawsze

weker - zegar, budzik  
werk - huta  
werkmajster - mistrz w zakładzie pracy  
westa - kamizelka  
weta - zakład, założenie się  
wic - żart, anegdota  
widełka - widelec  
wiela - ile  
wierch - wierzch, góra  
wodzionka - zupa z chleba  
woniaczka - wachanie  
wól nie wól - chcieć nie chcieć  
wrzyciwrzeł - 1) człowiek porywczy, 2) pijak  
wurszt (wuszt) - kiełbasa  
wurstlik (wurstlik) - kiełbaska  
wyciepnąć - wyrzucie  
wyćpać - wyrzucić  
wyfedrować - urobić węgla  
wykludzić - wyprowadzić, wyciągnąć  
wykludzić się - wyprowadzić się  
wyklupać - wytrzepać  
wykopyrtnąć się - wyrócić się  
wypedzieć - wypowiedzieć  
wysłępać - wypić  
wystudyrować - wymyślić  
wywoniać - wywachać  
wyzgierny - zgrabny  
zahaczyć - zapomnieć  
zabałamać - zbałamucić  
zadek - tył, dupa  
zadzierzeć - zatrzymać  
zagłówek - poduszka  
zajdęł - kufel  
zalać pałę - upić się  
zaletnica - zalotnica  
zolyty - zaloty  
zamorowany - zabrudzony  
zaobycz - zazwyczaj  
zapadlisko - dół  
zapieronić - zakląć  
zaraziczki - zaraz  
zarazineczki - zaraz  
zarazinki - zaraz  
zastawić - zamknąć  
zasuć - zasypać, zakopać  
zaszmatlać - zabrudzić  
zaślimtany - zapłakany  
zatrzasnąć - zabić  
za tyla - na tyle  
zawalak - leniuch, bumelant  
zawalec - leniuch, bumelant

zawiścić - zazdrościć  
zbańturzony - zbudzony  
zblamirować się - skompromitować się  
zbyczyć - źle zrobić, źle wykonać pracę  
zdrzadło - lustro  
zećmić się - ściemnić się  
zeprać - zbić  
zicher - pewny, bezpieczny  
zmarasić - pobrudzić  
zmiatać - uciekać  
zola - podeszwa  
zryć - otrzymać stopień niedostateczny na egzaminie  
zuber - koń pracujący w kopalni  
zwekslować - zamienić  
zwertować się - uwijać się  
zymft - musztarda  
zymftowy - musztardowy  
ździebko - trochę  
żeleźniok - piec żelazny do ogrzewania  
żemlok - kiszka z bułki  
żemła - bułka  
żemołka - bułka